



JO NESBO

NOCNY
DOM

POMYŚL,
ZANIM ODBIERZESZ

JO NESBØ

NOCNY
DOM

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka



Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału
Natthuset

Projekt okładki
MICHAEL J. WINDSOR

Polska wersja okładki
NATALIA TWARDY

Ilustracja na okładce
© Stephen Andrade 2023

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA-KUBANEK

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – Radosław Fiedosichin

Copyright © Jo Nesbø 2023
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6415-5

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Książki Jo Nesbø

CZEŚĆ I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

CZEŚĆ II

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

CZEŚĆ III

Rozdział 29

POWIEŚCI Z HARRYM HOLE

CZŁOWIEK NIETOPERZ

KARALUCHY

CZERWONE GARDŁO

TRZECI KLUCZ

PENTAGRAM

WYBAWICIEL

PIERWSZY ŚNIEG

PANCERNE SERCE

UPIORY

POLICJA

PRAGNIENIE

NÓŻ

KRWAWY KSIĘŻYC

INNE KSIĄŻKI

ŁOWCY GŁÓW

KREW NA ŚNIEGU

WIĘCEJ KRWI

SYN

MACBETH

KRÓLESTWO

ZAZDROŚĆ

ZEMSTA

NOCNY DOM

CZĘŚĆ I

Rozdział 1

– Z-z-z-zwariowałeś – powiedział Tom, a ja zrozumiałem, że się boi, bo zająknął się o jeden raz więcej niż zwykle.

Ciągle trzymałem nad głową figurkę Luke’a Skywalker’a, gotowy, żeby ją rzucić w górę rzeki, pod prąd. Z głębi gęstego lasu otaczającego rzekę po obu stronach dobiegł krzyk, jakby ostrzegawczy. Zabrzmiało to jak wrzask wrony. Ale nikt nie mógł mnie powstrzymać, żaden Tom ani żadna wrona – chciałem się przekonać, czy Luke Skywalker umie pływać. Poszybował teraz przez powietrze. Wiosenne słońce opadło nad wierzchołki drzew, które wypuściły już liście, i momentami światło migotało w powoli obracającej się plastikowej figurce.

Luke uderzył w wodę z cichym pluskiem, a to oznaczało, że przynajmniej nie umie fruwać. Nie widzieliśmy figurki, tylko wciąż zmieniającą się powierzchnię rzeki, która wezbrała od topniejącego śniegu i kojarzyła mi się ze spasionym wężem dusicielem, może anakondą, wijącym się w naszą stronę.

Przeprowadziłem się tu do krewnych, do tego zasranego miasteczka, zeszłej jesieni, tuż po moich czternastych urodzinach. Nie wiedziałem, co w takich miejscach jak Ballantyne robią gówniarze, żeby nie umrzeć z nudów. Ale kiedy Tom opowiedział, że teraz, w-w-wiosną, rzeka jest niebezpieczna, więc w domu surowo mu przykazali, żeby trzymał się od niej z daleka, przynajmniej było od czego zacząć. Namówienie Toma nie sprawiło mi kłopotu, ponieważ był taki jak ja, nie miał kolegów i w klasie należał do kasty pariasów. Dzisiaj na przerwie Grubas objaśnił mi sprawę kast, zaliczył mnie jednak do kasty piranii, a ja pomyślałem wtedy o tych rybach, które wyglądają tak, jakby miały w pysku piłę, i potrafią w ciągu kilku minut obgryźć z mięsa całego wołu. Dlatego wydawało mi się, że to fajna kasta. Dopiero kiedy Grubas doprecyzował, że ja i moja kasta stoimy niżej od niego, poczułem się zmuszony go walnąć, a on niestety poskarżył się nauczycielce, pannie Ćwir-Ćwir, jak ją nazywam. Zrobiła nam na lekcji długi wykład o tym, że trzeba być dla siebie miłym, i wyjaśniła, co się dzieje z tymi, którzy mili nie są – krótko mówiąc, kończą jako przegrywy, no i wtedy nikt już nie miał wątpliwości, że ten nowy chuligan z miasta rzeczywiście należy do kasty piranii.

Po szkole Tom i ja poszliśmy na drewniany mostek nad rzeką w lesie. Kiedy wyjąłem z plecaka Luke'a Skywalkera, Tom zrobił wielkie oczy.

– S-s-skąd go masz?

– A jak myślisz, kapuściany łbie?

– N-n-nie kupiłeś go u Oscara. T-t-tam już się skończyły.

– U Oscara? W tej szcurzej norze? – Zaśmiałem się. – Może kupiłem go w mieście, zanim się tu przeprowadziłem? W prawdziwym sklepie z zabawkami.

– Nie. Bo to tegoroczny model.

Przyjrzałem się Luke'owi uważniej. Czy to możliwe, żeby ten sam gość pojawiał się w innym wydaniu? Czy Luke Skywalker nie był tym samym durnym bohaterem Lukiem Skywalkerem po wsze czasy, koniec i basta? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Że rzeczy mogą się zmieniać. Że Darth i Luke mogliby na przykład zamienić się miejscami.

– Może zdobyłem p-p-prototyp – stwierdziłem.

Tom miał taką minę, jakbym uderzył go w twarz. Wyraźnie mu się nie spodobało, że go przedrzeźniam. Mnie samemu też się to nie podobało, ale nie mogłem się powstrzymać. Zawsze tak było. Jeśli ktoś jeszcze nie zdążył mnie znieubić, szybko dbałem o to, żeby tak się stało. To właściwie odruch – identyczny z tym, który sprawia, że tacy jak Karen i Oscar junior uśmiechają się i są mili, więc wszyscy ich lubią, tyle że mój odruch ma z przodu minus. Rzecz nie w tym, że nie chciałem być lubiany; ja po prostu wiedziałem, że oni i tak nie będą mnie lubić. Dlatego w pewnym sensie ich uprzedzałem, starałem się, żeby mnie nie lubili na mój sposób. Żeby mnie nienawidzili, ale jednocześnie trochę się mnie bali i nie mieli odwagi ze mną zaczynać. Tak jak teraz, kiedy widziałem po Tomie, że już wie, że ukradłem tę figurkę Luke'a, chociaż nie ma odwagi powiedzieć tego głośno. Zwinąłem ją podczas imprezy klasowej, którą Oscar junior urządził u siebie w domu i zaprosił na nią wszystkich, nawet nas, tych z kasty piranii. Dom był w porządku, wcale nie tak wielki i elegancki, żeby mi to przeszkadzało. Irytowali mnie przede wszystkim rodzice Oscara, tacy cholernie fajni, no i to, że wszędzie wałały się najlepsze zabawki. Najlepsze, jakie mógł zaoferować sklep z zabawkami jego ojca. Figurki transformerów, gry Atari, Magic 8-Ball, a nawet Nintendo Game Boy, którego właściwie nie było jeszcze na rynku. W czym zaszkodziłoby Oscarowi, gdyby stracił jedną z tych zabawek? Przecież nawet by tego nie

zauważył. No okej, może by się przejął utratą tej figurki Luke'a Skywalkera, która właśnie wpadła mi w oko. Leżała w jego łóżku jak jakiś misiek. Jak można być takim dziecinny?

– T-t-tam jest! – zawołał Tom, pokazując punkt na rzece.

Luke wystawił głowę nad wodę i zmierzał teraz w naszym kierunku z dużą prędkością, jakby płynął na plecach.

– Ma szczęście – orzekłem.

Figurka zniknęła pod mostkiem. Przenieśliśmy się prędko na drugą stronę i rzeczywiście Luke zaraz pojawił się znowu. Patrzył na nas z tym swoim idiotycznym półuśmieszkiem. Idiotycznym, bo bohaterowie nie powinni się uśmiechać. Powinni walczyć. Mieć zacięte twarze wojowników, pokazywać, że nienawidzą wroga tak bardzo, jak nienawidzą... w ogóle.

Staliśmy i patrzyliśmy, jak Luke odpływa. Jak zmierza ku światu, w nieznane. Ku ciemności, pomyślałem.

– Co teraz robimy? – spytałem. Już miałem to uczucie, jakby mrówki chodziły mi pod ubraniem, i musiałem się ich pozbyć, a jedynym sposobem na to było, żeby coś się działo, coś, co pozwoliłoby mi skupić myśli na czymś innym.

– M-m-muszę wracać do domu – powiedział Tom.

– Jeszcze nie. Chodź.

Nie wiem, dlaczego przypomniała mi się budka telefoniczna stojąca na pagórku przy szosie, na skraju lasu. Dziwne miejsce na zlokalizowanie budki w takiej małej miejscowości jak Ballantyne. Nigdy zresztą nie widziałem, żeby ktokolwiek z niej korzystał; w ogóle nie widziałem ludzi w tej okolicy, jedynie od czasu do czasu jakiś samochód.

Kiedy dotarliśmy do czerwonej budki, słońce opadło jeszcze niżej. Wiosna była na tyle wczesna, że szybko się ściemniało. Tom niechętnie przywłókł się za mną, pewnie bał się sprzeciwić. Tak jak wspomniałem, żaden z nas nie mógł przebierać wśród kolegów.

Wcisnęliśmy się do środka i kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi, dźwięki na zewnątrz się przytłumiły. Szosą przejechała ciężarówka z ubłoconymi oponami, z paki sterczały długie drewniane bale. Zniknęła na szosie biegnącej jak prosta kreska przez płaski monotony krajobraz pól w stronę granicy hrabstwa.

Na półce pod aparatem na monety leżała żółta książka telefoniczna – niespecjalnie gruba, mimo to najwyraźniej wystarczająca, żeby pomieścić wszystkich, którzy mieli telefon, nie tylko w Ballantyne, ale też w całym hrabstwie. Zacząłem ją przeglądać. Tom demonstracyjnie spojrzał na zegarek.

– O-o-obiecałem, że będę w domu na...

– Cicho!

Mój palec zatrzymał się na nazwisku „Jonasson, Imu”. Dziwne imię, na pewno jakiś świr. Podniosłem słuchawkę przymocowaną do aparatu metalowym kablem – wyraźnie bali się, że ktoś ją urwie i zabierze. Wybrałem numer Jonassona, Imu, wciskając metalowe przyciski. Tylko sześć cyfr. W mieście mieliśmy dziewięć, ale tutaj, gdzie na każdego mieszkańca przypadały cztery tysiące drzew, pewnie więcej nie potrzebowali. Potem wręczyłem słuchawkę Tomowi.

– C-c-co? – wykrztusił, patrząc na mnie z przerażeniem.

– Powiedz: „Cześć, Imu, mówi diabeł. Zapraszam cię do piekła, bo tam jest twoje miejsce”.

Tom pokręcił głową i oddał mi słuchawkę.

– Zrób to, kapuściany łbie. Bo inaczej wrzucę cię do rzeki – zagroziłem.

Tom, najmniejszy w klasie, cały się skulił i zrobił jeszcze mniejszy.

– Żartuję. – Roześmiałem się. W szczelnej, jakby próżniowo zamkniętej budce telefonicznej ten śmiech zabrzmiał obco, nawet dla mnie. – Dalej, Tom, pomyśl tylko, jak będziemy jutro opowiadać o tym w szkole!

Widziałem, że coś się w nim poruszyło. Myśl o tym, że komuś zaimponuje. Dla kogoś, kto nigdy nikomu niczym nie zaimponował, taki argument był rzeczywiście ważny. W dodatku użyłem liczby mnogiej, „będziemy”. On i ja. Dwaj koledzy, którzy razem robią kawały. Którzy wygłupiali się przez telefon i aż zginali się wpół ze śmiechu. Którzy musieli się objąć i podtrzymywać, żeby się nie przewrócić, słysząc, jak nieszczęśnik na drugim końcu linii rozważa, czy to naprawdę dzwoni diabeł.

– Halo?

Dźwięk dobiegł ze słuchawki. Nie dało się stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta, dorosły czy dziecko.

Tom zerknął na mnie, zdecydowanie pokiwałem głową. A on się uśmiechnął. Uśmiechnął się tym niemal triumfalnym uśmiechem i przyłożył słuchawkę do

ucha.

Samymi ustami zacząłem wymawiać słowa, a Tom patrzył na mnie i powtarzał, ani razu nawet się nie zająknąwszy:

– Cześć-Imu-mówi-diabeł-zapraszam-cię-do-piekła-bo-tam-jest-twoje-miejsce.

Zasłoniłem usta dłonią, by pokazać, że ledwie mogę powstrzymać śmiech. Drugą ręką zasygnalizowałem, że ma odłożyć słuchawkę.

Tom jednak nie odkładał.

Stał ze słuchawką przy uchu, a ja słyszałem tylko szum głosu na drugim końcu.

– A-a-a-ale... – wydusił z siebie Tom, nagle trupio blady. Urwał, jego biała twarz zastygła w zdumieniu. – Nie – szepnął. Uniósł łokieć i zaczął się zachowywać tak, jakby próbował odciągnąć słuchawkę od ucha. Powtarzał coraz głośniejsze: – Nie! Nie! Nie! – Wolną rękę przyłożył do szyby budki, jakby chciał się odepchnąć.

Naraz rozległo się jakieś mokre cmoknięcie i słuchawka wreszcie oderwała się od jego skroni. Zobaczyłem, że coś się do niej przyklepiło. Z głowy Toma płynęła krew, ściekając pod kołnierzyk koszuli. Spojrzałem na słuchawkę. Nie wierzyłem własnym oczom. Pół ucha Toma tkwiło przyklejone do zakrwawionej perforowanej części, przez którą słyszy się głos, a to, co nastąpiło później, było jeszcze dziwniejsze. Najpierw przez malutkie czarne otworki została jakby wessana krew, a potem, kawałeczek po kawałeczku, zniknęła cała połówka ucha. Trochę tak, jak znikają resztki jedzenia w odpływie zlewu.

– Richard – szepnął do mnie drżącym głosem Tom z policzkami mokrymi od łez; najwyraźniej wciąż nie miał pojęcia, że stracił pół ucha. – O-o-o-on p-p-p-powiedział, że t-t-t-ty i ja... – Zasłonił dłonią dolną część słuchawki, żeby tamta osoba nie słyszała jego słów.

– Tom! – wrzasnąłem. – Twoja ręka! Rzuć ten telefon!

Spuścił wzrok i dopiero teraz zorientował się, że jego palce w połowie już zniknęły w dziurkach słuchawki.

Trzymając za część do słuchania, próbował wyszarpnąć unieruchomioną dłoń. Nie udało mu się jednak, a z telefonu zaczęły się wydobywać odgłosy siorbania – takie, jakie wydaje mój przybrany ojciec, jedząc zupę – po czym jeszcze większa część ręki Toma zniknęła w słuchawce. Ja też złapałem słuchawkę, usiłując odciągnąć ją od Toma, ale bez rezultatu. Wzrzała się teraz aż po przedramię tuż pod łokciem; wyglądało to tak, jakby Tom stopił się z telefonem w jedno. Zacząłem

krzyczeć, a z nim stało się coś dziwnego. Popatrzył na mnie i wybuchnął śmiechem – wydawało się, że w ogóle nie czuje bólu, i tylko idiotyzm tej sytuacji rozbawił go do łez. Z ręki nie płynęła też wcale krew, jakby słuchawka zrobiła to, co – jak czytałem – robią ze swoimi ofiarami niektóre owady: wstrzykują coś, co przemienia ciało w miękką galaretkę, którą następnie pochłaniają. Ale po chwili słuchawka telefonu dotarła do łokcia i rozległ się taki odgłos, jak po wrzuceniu do miksera czegoś, co nie powinno być się tam znaleźć: brutalny dźwięk miażdżenia i mielenia, a teraz Tom również zaniósł się krzykiem. Łokieć zaczął się marszczyć, jak gdyby pod skórą było coś, co chciało się wydostać. Kopnięciem w tył otworzyłem drzwi, stanąłem za Tomem, objąłem go obiema rękami wokół piersi i zacząłem się cofać. Udało mi się go wyciągnąć zaledwie do połowy, bo metalowy kabel odchodzący od aparatu się naprężył, a słuchawka dalej wgryzała się w ramię Toma. Spróbowałem zatrzasnąć drzwi w nadziei, że zgmiotę słuchawkę o futrynę, lecz kabel okazał się za krótki, więc uderzyłem tylko Toma w bark. Wył, kiedy zaparłem się piętami o ziemię, ciągnąc z całej siły, ale moje buty centymetr po centymetrze sunęły po błocie, przybliżając się do budki telefonicznej i do tego ohydneho dźwięku miażdżenia, którego wycie Toma nie było w stanie zagłuszyć. Jakieś siły – nie mam pojęcia, jakie ani skąd się brały – w końcu znów wciągnęły go do budki. Nie dałem rady go utrzymać. Musiałem zwolnić uścisk wokół jego klatki piersiowej i w końcu stałem na zewnątrz, ciągnąc go za drugie ramię, wciąż wystające ze szpary w drzwiach. Słuchawka pożerała już bark Toma, gdy usłyszałem nadjeżdżające auto. Puściłem go i z krzykiem, wymachując rękami, wybiegłem na szosę. Zapewne jechała kolejna ciężarówka z drewnem. Ale się spóźniłem, zobaczyłem jedynie tylne światła znikające wśród zmierzchu.

Biegiem wróciłem do budki. Panowała cisza. Tom przestał krzyczeć. Drzwi budki się zamknęły. Przycisnąłem twarz do szyby ze zbrojonego szkła, lecz pokrywała ją para. Widziałem jednak Toma. A on widział mnie. Milczał i patrzył tym zrezygnowanym wzrokiem ofiary, która już przestała stawiać opór, zaakceptowała swój los. Słuchawka telefonu dotarła do jego głowy, pożarła policzek i zabrała się z chrzęstem do odsłoniętych zębów Toma.

Odwróciłem się, oparłem plecami o ścianę budki i osunąłem się na ziemię. Poczulem chłodną wilgoć przesiąkającą przez spodnie.

Rozdział 2

Siedziałem na krześle w korytarzu biura szeryfa. Było już późno, dawno minęła pora dobranocki, że tak powiem. Na drugim końcu korytarza widziałem szeryfa. Miał małe oczka i tak zadarty nos, że można było zajrzeć do dziurek, przez co szeryf od razu skojarzył mi się ze świnią. Kciukiem i palcem wskazującym gładził wąsy opadające przy kącikach ust. Rozmawiał z Frankiem i Jenny. Tak ich nazywam – dziwnie by było zwracać się do nich „wujku” i „ciociu”, skoro nigdy ich nie widziałem aż do dnia, w którym nagle się zjawili, zabrali mnie i powiedzieli, że od tej pory będę mieszkał u nich. Zrobili wielkie oczy, kiedy wpadłem do domu i opowiedziałem, co się właśnie stało z Tomem. Frank zadzwonił do szeryfa, który skontaktował się z rodzicami Toma, a następnie kazał nam przyjechać. Musiałem odpowiedzieć na mnóstwo pytań, a później siedziałem i czekałem, podczas gdy szeryf wysyłał swoich ludzi do budki telefonicznej i wszczywał akcję poszukiwawczą. Potem odpowiadałem na kolejne pytania.

Wyglądało na to, że Frank i Jenny o czymś z szeryfem dyskutują, od czasu do czasu spoglądając w moją stronę. Najwyraźniej jednak w końcu coś uzgodnili, bo oboje podeszli do mnie z poważnymi minami.

– Możemy jechać – oznajmił Frank, kierując się w stronę wyjścia.

Jenny natomiast położyła mi rękę na ramieniu, jakby w geście pocieszenia.

Wsiedliśmy do ich małego japońskiego samochodu, ja z tyłu, i ruszyliśmy. Wiedziałem jednak, że wkrótce znów usłyszę pytania. Frank odchrząknął. Najpierw raz. Potem drugi.

Frank i Jenny byli dobrymi ludźmi. Ktoś by pewnie powiedział, że za dobrymi. Tak jak zeszłego lata, kiedy zaraz po przyjeździe podpaliłem wysoką suchą trawę na polu koło nieczynnego tartaku. Gdyby wuj i pięciu sąsiadów nie zjawili się tak prędko, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Oczywiście była to wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja dla Franka jako komendanta miejscowej straży pożarnej. Mimo to oboje ani mnie nie skrzyczeli, ani nie ukarali w inny sposób – przeciwnie, pocieszali mnie, najwyraźniej przekonani, że nie mogę się pozbierać z powodu tego, co się stało. A potem, po kolacji, nastąpiło takie samo chrząkanie jak teraz;

usłyszałem po nim mgliste upomnienia, żebym nie bawił się zapalkami. Frank był szefem strażaków, a Jenny nauczycielką w starszych klasach podstawówki, ale nie wiem, jak im się udawało utrzymać dyscyplinę. Jeśli w ogóle im się udawało.

Frank odchrząknął jeszcze raz, wyraźnie nie wiedząc, od czego zacząć. Postanowiłem ułatwić mu sprawę.

– Ja nie kłamię – oświadczyłem. – Ten telefon zjadł Toma.

Milczenie. Frank z rezygnacją spojrział na Jenny, jakby przerzucał piłeczkę do niej.

– Wiesz, mój drogi – odezwała się cichym, łagodnym głosem – tam nie było żadnych śladów.

– Właśnie że były! Przecież znaleźli ślady tego, jak zapierałem się butami o ziemię!

– Ale śladów po Tomie nie było – zauważył Frank. – Żadnych.

– Telefon wszystko zżarł. – Oczywiście sam słyszałem, jak idiotycznie to brzmi, ale co miałem powiedzieć? Że telefon nie zżarł Toma? – Co mówił szeryf?

Jenny i Frank znów wymienili spojrzenia.

– Uważa, że jesteś w szoku.

Temu nie dawało się zaprzeczyć. Pewnie, że byłem w szoku. Ciało miałem odrętwiałe, suchość w ustach, gardło zaciśnięte. Tak jakbym miał się zaraz rozpłakać, ale gdzieś coś zostało zakorkowane, żeby płacz się nie wydobył.

Dojechaliśmy do wzgórza z budką telefoniczną. Spodziewałem się, że zobaczę mnóstwo świateł i ekipy poszukiwawcze, ale budka stała samotna i opuszczona jak zawsze.

– Przecież szeryf obiecał, że będą szukać Toma! – zawołałem.

– I szukają – odparł Frank. – Nad rzeką.

– Nad rzeką? Dlaczego?

I znów te porozumiewawcze spojrzenia na przednim siedzeniu.

– Bo ktoś widział, jak ty i Tom wchodzicie do lasu, kierując się w stronę mostku. Szeryf twierdzi, że kiedy cię spytał, czy byliście nad rzeką, zaprzeczyłeś. Czemu tak powiedziałaś?

Zacisnąłem zęby i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem, że budka telefoniczna znika w mroku za nami. Szeryf mi nie mówił, że ktoś nas widział. Może dowiedział

się tego dopiero po rozmowie ze mną? Tak czy owak, ta rozmowa nie była żadnym przesłuchaniem. Szeryf to podkreślał. A ja wtedy pomyślałem sobie, że nie muszę mówić dokładnie o wszystkim, w każdym razie o rzeczach, które nie miały żadnego związku z tą sprawą. Na przykład o tej ukradzionej figurce Luke'a czy o tym, że Tom zrobił coś, na co mu nie pozwalali rodzice. Przecież nie donosi się na kumpli. No ale na nas ktoś doniósł.

– Postaliśmy tylko trochę na mostku – wyjaśniłem.

Frank wrzucił kierunkowskaz, zjechał na bok, wyłączył silnik i zgasił światła. Potem się do mnie odwrócił. W ciemności prawie nie widziałem jego twarzy, ale teraz zrozumiałem, że sytuacja jest poważna. Przynajmniej dla mnie, bo Tom przecież już został zjedzony.

– Richard?

– Tak, Frank?

Nienawidził, kiedy zwracałem się do niego po imieniu. Czasami, tak jak teraz, nie umiałem się powstrzymać.

– Musieliśmy przypominać szeryfowi McClellandowi, że jesteś nieletni, i grozić adwokatem, żeby cię wypuścił. Chciał cię przesłuchiwać w nocy. Uważa, że nad rzeką coś się stało. Że dlatego kłamiesz.

Już miałem zaprotestować, powiedzieć, że nie kłamię, ale uświadomiłem sobie, że przecież odkryli, co robiłem.

– Więc co się tam wydarzyło? – spytał Frank.

– Nic – odparłem. – Patrzyliśmy na wodę.

– Z mostku?

– Tak.

– Słyszałem, że wśród młodzieży popularne jest chodzenie po balustradzie.

– O rany! – rzuciłem. – No tak, w tej dziurze nie da się wymyślić nic ciekawszego.

Dalej wpatrywałem się w mrok. Właśnie to mnie tutaj zdumiało po nadejściu jesieni – to, jak bardzo potrafi tu być ciemno. W mieście zawsze są światła, tutaj natomiast można wpatrywać się w czarną noc, w której nie ma absolutnie nic. To znaczy oczywiście, że coś tam jest, ale trzeba sobie wyobrazić, co ukrywa ta ciemna dziwna substancja.

– Richardzie – odezwała się Jenny miękko, bardzo miękko. – Czy Tom wpadł do wody?

– Nie, Jenny – odpowiedziałem takim samym miękkim tonem. – Tom nie wpadł do wody. Możemy już jechać do domu? Jutro idę do szkoły.

Frank uniósł i opuścił ramiona. Widziałem, że zbiera siły.

– Szeryf McClelland sądzi, że mogło dojść do wypadku. Może popchnąłeś Toma i teraz czujesz, że to twoja wina. I dlatego kłamiesz.

Westchnąłem ciężko, uderzyłem tyłem głowy o oparcie swojego siedzenia i zamknąłem oczy. Ale wtedy znowu ujrzałem, jak słuchawka telefoniczna pochłania policzek Toma, więc czym prędzej je otworzyłem.

– Nie kłamię. O rzece skłamałem, bo Tomowi nie wolno było tam chodzić.

– Według szeryfa McClellanda ewidentnie kłamiesz również w innych kwestiach.

– Że co? W jakich?

Frank wyjaśnił.

– To on kłamie – oburzyłem się. – Jedźcie z powrotem, mogę to udowodnić!

Kiedy Frank zjechał z drogi, światła reflektorów omiotły budkę i drzewa na skraju lasu; wyglądało to tak, jakby na tle drzew przebiegły gigantyczne upiorne cienie. Ledwie samochód się zatrzymał, wyskoczyłem i pognałem do budki.

– Ostrożnie! – zawołała Jenny. Nie sądzę, aby uwierzyła w moją historię, ale jej życiowe motto mówiło, zdaje się, że nigdy nie można być zbyt pewnym.

Otworzyłem drzwi i spojrzałem na słuchawkę telefonu znajdującą się z boku aparatu. Ktoś – najpewniej ludzie szeryfa – musiał ją tam z powrotem umieścić, bo kiedy stąd odchodziłem, zwisała nad podłogą, a Tom zniknął. Nie zostało po nim nawet sznurowadło.

Ostrożnie zrobiłem krok do środka, chwyciłem żółtą książkę telefoniczną i czym prędzej się wycofałem. W świetle samochodu odszukałem Ballantyne, dotarłem do litery J i zacząłem przesuwać palcem po tej samej stronie, na której otworzyłem książkę wcześniej, dziś po południu.

Johansen. Johnsen. Jones. Juvik.

Poczułem w piersi lodowaty chłód i zacząłem od nowa. Z identycznym rezultatem. Czyżby to była niewłaściwa strona?

Nie. Rozpoznawałem te nazwiska i reklamę żniwiarek.

Szeryf jednak nie kłamał.

Przyjrzałem się uważnie, żeby sprawdzić, czy ktoś mógł wskrobać tamto nazwisko, ale między Johnsenem a Jonesem i tak nic by się nie zmieściło.

W książce telefonicznej nie było już Jonassona, Imu.

Rozdział 3

– Ktoś podmienił książkę telefoniczną – oświadczyłem. – To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy.

Karen siedziała oparta plecami o pień dębu i patrzyła na mnie.

Była przerwa, przed nami na placu chłopcy grali w piłkę, a dziewczynki w klasy. W przyszłym roku mieliśmy iść do liceum, ale oznaczało to jedynie przeprowadzkę do budynku po drugiej stronie szkolnego podwórza, tam gdzie stała szopa pełniąca funkcję palarni, do której – jak byłem przekonany – na pewno trafię. Między zbuntowanych. Między przegranych. Karen stanowiła wyjątek pod tym względem. Była zbuntowana, lecz daleko jej było do przegranych.

– Jakie to uczucie, kiedy nikt ci nie wierzy? – spytała, odgarniając z piegowatej twarzy jasną chłopcę grzywkę.

Karen była w naszej klasie tą zakręconą. I najbystrzejszą. Kipiała energią, miała w sobie mnóstwo śmiechu i niepokoju. Idąc, musiała tańczyć, nosiła dziwaczne, szyte w domu ubrania – z każdej innej dziewczyny naśmiewano by się z ich powodu. Bezczylnym nauczycielom odcinała się w równie bezczelny sposób i śmiała się, kiedy nie potrafili odparować. Karen bowiem od czasu do czasu czytała to, co nam zadawali, a oprócz tego jeszcze trochę, i niekiedy sprawiała wrażenie, że wie więcej niż nauczyciele. Była najlepsza i z angielskiego, i z wuefu, i ze wszystkiego, co pomiędzy. No i była twarda. Wyczułem to już pierwszego dnia w nowej szkole: nie bała się mnie, zwyczajnie ją ciekawiłem. Rozmawiała ze wszystkimi, również z nami z kasty piranii. Widziałem, że Oscar Rossi junior – jestem pewien, że się kochał w Karen – rzucał za nią długie, jakby zdziwione spojrzenia podczas przerw, kiedy zamiast trzymać się jego i pozostałych osób cieszących się popularnością w klasie, podchodziła na swoich długich szczupłych nogach do nas. Podczas pierwszej przerwy pierwszego dnia po prostu stanęła naprzeciwko mnie, uśmiechnęła się lekko, przechyliła głowę i powiedziała: „Człowiek czuje się głupio, kiedy jest nowy, prawda?”.

Zachowywała się tak wobec nas wszystkich z samego dna. Zadawała pytania. Słuchała. A ja uznałem, że szczerze się nami interesuje, bo nie widziałem sensu

poświęcania energii na zdobycie sympatii takich typków jak my. Przeciwnie, miała z tego jedynie naszą namolność, bo chcieliśmy, żeby interesowała się nami jeszcze bardziej. Ale nawet wtedy była w porządku. Mówiła wprost, w charakterystyczny dla siebie sposób, tak że nikt nie czuł się urażony: „Dość już dzisiaj gadaliśmy, Tom. Cześć”.

Oczywiście starałem się, żeby nie podejrzewała mnie o chęć ściągnięcia na siebie jej uwagi.

Niestety przypuszczałem, że ona i tak to rozumiała.

Nigdy o tym nie mówiła, patrzyła tylko na mnie z tym swoim jakby poufałym półuśmieszkiem, kiedy po zamienieniu z nią kilku słów pilnowałem tego, żeby odejść od niej, zanim ona odejdzie ode mnie. Nie było to wcale łatwe, bo w przeciwieństwie do niej nie bardzo miałem dokąd odejść. Ale może to i tak działało, może budziło jej zaciekawienie tym chłopakiem z miasta, który próbował się oprzeć jej urokowi. W każdym razie podchodziła do mnie coraz częściej.

– Wiesz co? – zacząłem. – Gównu mnie obchodzi, co te sukinsyny myślą, niech spieprzają. Ja tam byłem i widziałem, co się stało. Tom został pożarty, a nazwisko Imu Jonasson było w tej cholernej książce telefonicznej.

– Sporo przekleństw jak na trzy zdania. – Karen uśmiechnęła się, przechylając głowę. – Jak myślisz, dlaczego jesteś taki wkurzony?

– Nie jestem wkurzony.

– Nie?

– Jestem wkurzony, bo... – Urwałem.

Czekała.

– Bo wszyscy są idiotami.

– Hm – mruknęła, spoglądając na innych na podwórzu.

Chłopaki z naszej klasy najwyraźniej miały grać przeciwko drużynie z klasy niższej i przywoływały teraz Oscara juniora – wcale nie był najlepszym graczem, dopiero trzecim albo czwartym z kolei, mimo to został kapitanem drużyny. Oscar jednak zbył ich machnięciem ręki. Siedział na ławce razem z Henrikiem, klasowym geniuszem matematycznym, który coś mu tłumaczył, pokazując w podręczniku do algebry. Mowa ich ciał wskazywała, że to Oscar wyświadcza Henrikowi przysługę, a nie odwrotnie. Oscar niewątpliwie usiłował się skoncentrować, odgarniał do tyłu ciemną gęstą grzywkę, zaglądał do podręcznika swoimi pięknymi, prawie

dziewczęcymi piwnymi oczami, dla których nawet licealistki przechodziły przez podwórze. Ale regularnie podnosił wzrok znad książki i kierował go na Karen i na mnie.

– Nie opowiadałeś mi o swoich rodzicach. – Karen smukłą dłonią pogładziła jeden z korzeni wystających z pnia niczym grube żyły i zaraz z powrotem zanurzających się w ziemię.

– Niewiele jest do powiedzenia – stwierdziłem, nie odrywając oczu od ławki, na której Oscar junior siedział z Henrikiem. – Zginęli w pożarze i prawie ich nie pamiętam.

Oscar znów podniósł wzrok i napotkał spojrzenie moich oczu. Niebieskich, zimnych. Oscar junior zawsze był przyjacielskim, pełnym entuzjazmu, czarującym typkiem, lecz najwyraźniej nie irytowało to nikogo oprócz mnie. Dlatego kiedy teraz dostrzegłem cień wrogości w jego oczach, w pierwszej chwili uznałem, że to odruchowa reakcja, ponieważ on zobaczył to samo w moich. Zanim uświadomiłem sobie, że mimo wszystko musiał odkryć – będąc trzecim albo czwartym z kolei najbystrzejszym uczniem w klasie, chociaż od Karen dzieliły go lata świetlne – że to ja mu zwinąłem Luke’a Skywalkera. Zanim zrozumiałem, że nie, również nie o to chodzi. Oscar junior był – i ta myśl sprawiła mi ogromną radość – zwyczajnie zazdrosny. Zazdrosny, ponieważ Karen siedziała tutaj i słuchała mnie, zamiast być blisko tego samca alfa. Nagle miałem ochotę objąć Karen ramieniem wyłącznie po to, żeby zobaczyć, jak kolor twarzy Oscara zmienia się na zielony. Tyle że ona oczywiście strąciłaby moją rękę, a takiej satysfakcji nie zamierzałem mu dawać. Usłyszałem jej spokojny, przyjemny głos:

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie pamiętasz swoich rodziców?

– Przykro mi, ale mam słabą pamięć. Właśnie dlatego tak marnie wypadam na klasówkach. No i oczywiście do tego jestem głupi.

– Nie jesteś głupi, Richard.

– To taki żart.

– Zrozumiałam. Mimo wszystko czasami kłamstwa powtarzane za głośno i za często stają się po trosze prawdą.

Zadzwoił dzwonek na lekcję. Poczułem, że serce opada mi w piersi. Nie dlatego, że mieliśmy wracać do klasy i słuchać panny Ćwir-Ćwir rozprawiającej o geografii, bo wszystko, co mogło oderwać moje myśli od Ballantyne, było dobre.

Po prostu pragnąłem, aby to – tu i teraz – potrwało jeszcze trochę. Kiedy Karen wstawiała, z torby wypadły jej dwie książki.

– Hej! – zawołałem, nachyliłem się i je podniosłem.

Obejrzałem okładki. Na jednej, tej z nazwiskiem autora Williama Goldinga i tytułem *Władca much*, był rysunek obciętego świńskiego łba na kiju. Na drugiej, *Przemianie* Franza Kafki, groteskowy owad, może karaluch.

– Niezłe. Skąd je wzięłaś?

– Z biblioteki pani Zimmer – odpowiedziała Karen.

– O rany, nie wiedziałem, że tam mają takie straszne rzeczy.

– O, pani Zimmer ma rzeczy straszniejsze niż to. Słyszałeś o czarnej i białej magii słów?

– Tak. A właściwie... nie. Co to jest?

– Magiczne słowa, które potrafią niszczyć ludzi albo ich naprawiać.

– I ta babka w bibliotece ma o tym książki?

– Takie chodzą słuchy – odparła Karen. – Ty w ogóle czytasz?

– Nie, wolę kino. – Oddałem jej książki. – A ty lubisz filmy?

– Uwielbiam. – Westchnęła. – Ale mało oglądam.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, do Hume jest półtorej godziny jazdy, a po drugie, wszyscy, których znam, chcą oglądać tylko filmy akcji albo komedie.

– A gdyby tutaj było kino, to co byś chciała oglądać?

Zastanowiła się.

– Wszystko oprócz filmów akcji i komedii. Lubię stare filmy, takie, które jeszcze ciągle puszczają w telewizji. Wiem, że gadam jak stara ciotka, ale mama ma rację. Jeśli jakiś film nie odchodzi w zapomnienie, to najprawdopodobniej jest dobry.

– Zgadza się. Na przykład *Noc żywych trupów*.

Przechyliła głowę.

– A co to za film?

– Stary film o zombie. Według taty pierwszy z tego gatunku. Kiedy miałem dziesięć lat, byliśmy razem na rybach i tata opowiedział mi cały film, scena po scenie. Tego samego roku zimą puścili go w telewizji, wybłągałem, żebym mógł go

obejrzeć razem z tatą. Później przez kilka tygodni miałem koszmary, chociaż wiedziałem, co się wydarzy w każdej scenie. To było chyba najlepsze dziewięćdziesiąt sześć minut w moim życiu.

Karen się roześmiała.

– Czegoś się z tego nauczyłeś?

Pomyślałem przez chwilę.

– Tak. Wiem, że jeśli naprawdę chcesz kogoś zabić, musisz to zrobić dwa razy. Trzeba zniszczyć jego mózg, na przykład spalając go. Bo jeśli nie, to ten ktoś wróci.

– Taka była konkluzja filmu?

– Konkluzja taty.

Karen znów wybuchnęła śmiechem.

– Rozumiem. Bardzo jest straszny?

– I tak, i nie. Chodzi o atmosferę. Ale chyba nie ma ograniczeń wiekowych.

– Ciekawe. Muszę go kiedyś zobaczyć.

– Czasami pokazują go w klubach filmowych. Jeśli chcesz... – Zamilkłem. Udałem, że muszę odkaszląć, i mogłem tylko mieć nadzieję, że ona nie zrozumiała, iż mało brakowało, a zaprosiłbym ją do kina. W Hume. Ja, który nie miałem ani samochodu, ani prawa jazdy. A nawet gdybym miał, ona i tak by odmówiła. Uprzejmie. Znajdując jakąś dobrą wymówkę. Ale wcale mniej by przez to nie bolało.

Karen miała taką minę, jakby zrozumiała moją nieomal wpadkę, i wykonała teraz manewr zwodniczy, podnosząc obie książki.

– To także jest niezłe kino.

Kiwnąłem głową i natychmiast chwyciłem się tej deski ratunku.

– Też wyglądają mi na horrory.

– I tak, i nie – spapugowała po mnie. – Są takie jak filmy, które lubię. Stare, ale niezapomniane.

– To znaczy, że są dobre?

– Owszem. Jeśli chce się zostać pisarzem, to trzeba czytać najlepszych.

– A ty chcesz być pisarką?

– Będę próbować. A jeśli mi się nie uda, to przynajmniej wyjdę za pisarza.

Zaśmiała się tym swoim niesamowitym śmiechem i odeszła, tańcząc, jakby nie miała nad sobą kontroli, jakby wypadła z kursu i mogła w każdej chwili z czymś się zderzyć. Oczywiście to było tylko złudzenie, bo Karen zawsze miała kontrolę, wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół, była jak kot. Można było zrzucić ją z dachu, a mimo to mieć pewność, że w przeciwieństwie do takich jak ja zawsze bezpiecznie spadnie na cztery łapy.

Rozdział 4

Kiedy wyszedłem ze szkoły i skręciłem w drogę prowadzącą skrótem przez las, usłyszałem za plecami chrzęst żwiru i zobaczyłem trzech chłopaków na rowerach. Dwóch z nich widziałem wcześniej tego dnia. Chodzili do liceum i podczas jednej z pauz wybrali się na naszą stronę, trochę jakby po to, żeby mnie ocenić. Teraz towarzyszył im jakiś dryblas, którego wcześniej nie widziałem. Wyglądał na czyjegoś starszego brata, na kogoś, kto mógłby jeździć motorowerem, a nie pedałowac na dziecinnym rowerze Apache. Minęli mnie i zatrzymali się, zagradzając wąską drogę. Ten, którego nie widziałem wcześniej, zsiadł z roweru – przytrzymał mu go jeden z pozostałych – i podszedł do mnie. Był ubrany w kraciastą kurtkę drwala, taką, jakie lubią nosić tutejsi dorośli. Domyślałem się, o co chodzi.

– Gdzie Tom? – spytał bez wstępów.

– Zniknął – odparłem.

– Gadaj, co z nim zrobiłeś.

Stanął na lekko rozstawionych nogach, trochę ugiął kolana i nieco pochylony do przodu zakołysał się, jakby chciał pokazać, że jest gotowy do ataku.

– Zjadłem go – powiedziałem. – Z solą i pieprzem. Głównie z pieprzem.

Chłopak przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Tamci dwaj patrzyli na mnie wielkimi oczami. Pewnie poczuł ich wzrok na plecach, bo na rozstawionych nogach postąpił krok naprzód. Ale ostrożnie. A jego spojrzenie nie odrywało się od mojej ręki, kiedy wsunąłem ją do kieszeni.

– Trzech na jednego – stwierdziłem. – W czym problem? W strachu?

– Wypluj to, cholerny miastowy! – rozkazał, ale tym razem bardziej zduszonym głosem.

Splunąłem na ziemię przed nim.

– Proszę – rzuciłem. – A teraz to zliź.

Nie wiem, czy zrozumiał, że nic nie miałem w tej kieszeni, czy sądził, że jestem mocny tylko w gębie, w każdym razie zrobił szybko jeszcze jeden krok w moją

stronę, a następnie uderzył. Najpierw raz. Kiedy zobaczył, że nie podejmuję kontrataku – uderzył znowu, a potem kolejny raz. Później chwycił mnie w pasie, rzucił na ziemię i usiadł mi na piersi.

– Mażesz się – powiedział.

– Wcale nie – odparłem, czując, jak gorące łzy ściekają mi po skroniach.

– Gdzie Tom?

– Spytaj telefonu.

– Pójdiesz do pudła, jak będziesz okłamywał policję – oświadczył, a ja zrozumiałem, że całe Ballantyne już zna moją historię. Nie to, co widziałem, tylko historię. Na temat tego, co naprawdę się wydarzyło, z pewnością wysnuwano różne teorie, ale jedno było pewne: według każdej z nich byłem winny.

Tamci dwaj odważyli się wreszcie podejść bliżej.

– Pospieszcie się – szepnąłem. – Nikt nas nie widzi.

– Że co? – spytał ten, który na mnie siedział.

– Zanieście mnie do lasu i torturami wymuście na mnie prawdę – dodałem szeptem. – Potem możecie mnie udusić albo walnąć kamieniem w łeb. Ale pamiętajcie, żeby się upewnić, czy już nie oddycham, bo jeśli przeżyję, to na was doniosę. Mam długi jęzor, jasne?

Chłopak w kurtce drwała spojrział na mnie tak, jakbym był psim gównem pod jego butem. Potem odwrócił się do pozostałych.

– Nie mówiliście mi, że to wariat.

– No, chyba mówiliśmy... – wymamrotał niepewnie jeden z nich.

– Ale nie że aż taki. – Ten w kurtce drwała wstał zirytowany.

Kilka sekund później nie było już ani chłopaków, ani ich rowerów.

Zszedłem nad rzekę w miejscu, gdzie skręcała poniżej mostku. W zakolu zmyłem z twarzy krew, która popłynęła mi z nosa, i przyklejony do niej piasek. Spróbowałem zobaczyć w odbiciu w wodzie, w jakim stanie jest moja gęba. Ale woda była zbyt mętna, ażeby dokładnie określić poniesione szkody, jedynie pulsowanie nad okiem mówiło mi, że już rośnie guz.

Po powrocie do domu przemknąłem po cichu przez salon, w którym Frank czytał gazetę. Był po nocnym dyżurze w straży pożarnej, więc miał wolne. Kiedy stałem w łazience, gdzie uzyskałem potwierdzenie, że nad lewym okiem rzeczywiście wyrósł mi wielki guz, usłyszałem jego głos:

- Jak było dzisiaj w szkole?
- W porządku! – odkrzyknąłem przez uchylone drzwi.
- W porządku?
- No tak, żaden nauczyciel mnie nie pytał.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że nie chodzi mu o marne dowcipy, ale niewiele mógłby zrobić z tym, co naprawdę pragnął wiedzieć. Nie chciałem też, żeby w ogóle cokolwiek robił, bo kto miałby ochotę wyjść na chłopaka, któremu ktoś spuścił lanie. Prawdziwy członek kasty piranii sam bije.

Otworzyły się drzwi wejściowe. To Jenny wróciła i nagle stanęła z zakupami w rękach przed łazienką.

- Cześć! – rzuciła. – Jak leci?
- Świetnie – odmruknąłem, przysuwając twarz do samego lustra i udając, że wyciskam pryszcz, żeby niczego nie zauważyła.
- Na obiad będzie lazania – oznajmiła z wyczekiwaniem w głosie, ponieważ kiedyś tam, najprawdopodobniej po to, żeby sprawić jej przyjemność, powiedziałem, że jej lazania jest najlepsza.
- Cholernie się cieszę – odparłem obojętnym tonem.

Kiedy usłyszałem, że zaczęła się kręcić po kuchni, przemknąłem do przedpokoju tą samą drogą, którą przyszedłem, i z powrotem włożyłem buty.

- Dokąd idziesz? – spytał Frank, który jednak obserwował zza gazety, co się dzieje, uważniej, niżby się wydawało.
- Do kina – odpaliłem i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 5

Biblioteka znajdowała się na końcu głównej ulicy. Podczas gdy większość budynków sklepowych w ciągnącym się na dwieście metrów centrum Ballantyne łączyła się ze sobą w piętrowe kwartały, biblioteka mieściła się w wąskim drewnianym trzypiętrowym domu, oddzielonym od innych murowanych budynków, a po obu stronach jej fasady biegły wąskie zaułki. Wyglądało to trochę tak, jakby biblioteka publiczna w Ballantyne nie chciała mieszać się z pospólstwem.

Byłem tu już wcześniej, bo Jenny i Frank zażyczyli sobie, żeby wydano mi kartę biblioteczną, ale oczywiście nigdy dotąd z niej nie korzystałem.

Kiedy drzwi się za mną zamknęły i stanąłem w półmroku, w pierwszej chwili pomyślałem, że chyba jest nieczynna. Być może cisza panująca w bibliotece nie jest niczym nadzwyczajnym, ale tutaj nie było ani dźwięków, ani ludzi – jedynie grzbiety książek wypełniające półki, które ciągnęły się wysoko aż po sufit. Niektóre książki były obłożone w papier, inne nie, jedne lśniące nowe, drugie tak stare, że wyglądały, jakby zaraz miały się rozsypać w pył. Tablica na ścianie informowała, że budynek wraz z księgozbiorem został podarowany miasteczku Ballantyne w roku 1920 przez jakiegoś Roberta Willingstada. Od tego czasu upłynęło już ponad pół wieku, więc nic dziwnego, że książki zmurszały.

Z głębi pomieszczenia dobiegło kichnięcie. Potem jeszcze jedno. A więc jednak ktoś tu był. Zorientowałem się, że książki są ułożone alfabetycznie, zacząłem więc szukać pod K, ale żeby dostać się do najwyższych półek, musiałem przysunąć sobie jedną z drabinek. Trochę to trwało, lecz w końcu znalazłem to, czego szukałem, przynajmniej tego byłem pewien. Ruszyłem w głąb pomieszczenia, mijając kolejne regały, gdzie – jak pamiętałem – był kontuar.

I rzeczywiście był.

– Krew ci leci z nosa, chłopcze – szepnęła siwowłosa kobieta siedząca za kontuarem.

Do sukienki na piersi miała przypiętą plakietkę z napisem „Pani Zimmer, bibliotekarka”, chociaż nie wyglądało na to, żeby przebywał tu ktokolwiek inny,

z kim można by ją pomylić. A teraz oderwała listek papierowego ręcznika z rolki, którą miała przed sobą, i podała mi go, zanim zdążyłem przeciągnąć pod nosem rękawem kurtki.

Potem głośno kichnęła i urwała listek papieru również dla siebie.

– To kurz z książek – wyjaśniła, wytarła nos i spojrzała na dwie pozycje, które położyłem na ladzie. – Dla kogo chcesz je wypożyczyć, mój chłopcze?

– Dla kogo?

– Przepraszam, jestem po prostu ciekawa. W Ballantyne nie tak wiele osób czyta prawdziwą literaturę.

– To dla mnie.

– Ty sam... – Obrzuciła mnie spojrzeniem ponad wąskimi szklami okularów na łańcuszku. – ...będziesz czytał *Przemianę* Franza Kafki i *Władcę much* Williama Goldinga?

– Podobno są dobre.

Pani Zimmer się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że są dobre, mój chłopcze. Ale to nie znaczy, że są łatwe, że tak powiem. Nawet dla dorosłych.

– Nie wszystko musi być łatwe – stwierdziłem.

Teraz jej uśmiech dotarł aż do oczu. Zrobiła taką minę, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem.

– Na pewno wyrośniesz na mądrego człowieka, bo to, co mówisz, to rzeczywiście prawda.

Polubiłem ją. Tak mi się wydaje. Może tylko dlatego, że powiedziała mi coś miłego.

Otworzyła szufladę przed sobą, zobaczyłem rzędy kart w podłużnych drewnianych pudełkach.

– Jak się nazywasz, mój chłopcze?

– Richard Elauved.

Chociaż przerzucała karty z pochyloną głową, dostrzegłem, że jej twarz zastygła. Najwyraźniej w Ballantyne niewiele trzeba, żeby zostać sławną osobą. Wystarczy mięsożerny telefon.

Ostemplowała po dwie karty na każdą książkę, jedne włożyła do drewnianego pudełka, a drugie do papierowych kieszonek w książkach.

– Tak, tak – powiedziała z westchnieniem. – To zawsze smutna historia, kiedy ginie dziecko.

Spojrzałem na nią pytająco. Postukała palcem we *Władcę much*, więc zrozumiałem, że mówi o akcji w tej książce. Tak przynajmniej uznałem.

Kiedy wychodziłem z biblioteki, między regałami panowała taka sama cisza jak wtedy, gdy przyszedłem. Ale mijając tablicę z nazwiskiem Willingstada, zauważyłem drabinę opartą o półki przy ścianie. Dlaczego nie widziałem jej, kiedy tu wchodziłem? To nie była zwyczajna biblioteczna drabinka, tylko metalowa, z brzegiem do przytrzymywania się po obu stronach, jak drabina strażacka. Tak, to była właśnie taka drabina. Widziałem identyczną, gdy Frank oprowadzał mnie po remizie. Moje spojrzenie powędrowało w górę drabiny, na półki, które wspinały się ponad lampy zwieszające się z sufitu. Nad lampami było na tyle ciemno, że zarówno książki, jak i szczyt drabiny prawie znikwały w mroku.

Widoczny był tylko rząd żółtych lśniących grzbietów.

Zawahałem się. Czyżbym się mylił, czy też gdzieś niedawno widziałem książkę z takim właśnie grzbietem?

Poruszyłem drabiną, żeby sprawdzić, czy dobrze stoi.

Okazała się dostatecznie stabilna. Dobiegło kichnięcie, ale z daleka. Co mi szkodzi sprawdzić?

Postawiłem nogę na najniższym stopniu, wziąłem głęboki oddech i zacząłem się wspinać.

Boję się wysokości. Boję się ciemności. Boję się wody. Boję się pożaru. I boję się telefonu. Ale przede wszystkim boję się strachu. To znaczy nie boję się tego, że będę się bał tak trochę, jak wtedy, kiedy siedziałem wtulony w ojca i oglądałem film o zombie – boję się, że będę bał się tak, że coś pęknie, klucz złamie się w zamku, korytarz między sypialnią a drzwiami wejściowymi stanie w ogniu, a mnie pochwyci lęk, z którego już nigdy się nie wydobędę.

Dalej jednak wchodziłem po drabinie, stopień po stopniu, nie patrząc w dół. Kiedy dotarłem ponad lampy, do książek z żółtymi grzbietami, zobaczyłem, że jest tak, jak przypuszczałem.

To były książki telefoniczne.

Jedna na każdy rok, od lewej do prawej, w sumie dwanaście. Zabrałem najstarszą i szybko zszedłem na dół, teraz nawet nie myśląc o tym, że jest tak wysoko. Usiadłem po turecku na ciemnym parkiecie i odnalazłem literę J. Czytałem, przeciągając palcem w dół.

Johansen. Johnsen. Jonasson...

Serce mi zamarło. Po chwili znów zaczęło bić, szybko i mocno, gdy lekko przesuwałem palec w prawą stronę.

Imu. Lustrzany Las 1, Ballantyne. 290-386.

Rozdział 6

Kiedy zwróciłem się do kobiety siedzącej za kontuarem w biurze szeryfa, poinformowała mnie, że szeryf McClelland jest zajęty w pokoju konferencyjnym, ale mogę usiąść i poczekać. Siedząc, słyszałem głosy i widziałem postacie poruszające się za mleczną szybą drzwi w pomieszczeniu, w którym odbyłem rozmowę z szeryfem poprzedniego dnia. Wyjrzałem przez okno na parking między biurem szeryfa a remizą. Popatrzyłem na wielki samochód, na który zwróciłem uwagę już wcześniej, gdy tu przyszedłem, z rodzaju tych staroświeckich, jakby umięśnionych wozów, których zdjęcia były w motoryzacyjnych magazynach Franka. Doszedłem do wniosku, że pewnie właśnie tam zobaczyłem to auto, bo miało w sobie coś dziwnie znajomego.

Kobieta za kontuarem weszła do pokoju konferencyjnego i zaraz z niego wyszła razem z szeryfem McClellandem.

– Jesteś! – Szeryf uśmiechnął się szeroko, jakby moja wizyta była mile widziana i nie całkiem niespodziewana. – Uprzedziłeś nas, Richardzie. Właśnie zamierzałem zaprosić cię na pogawędkę. Chodź.

Zdażyłem zajrzeć do pokoju konferencyjnego, gdzie dostrzegłem plecy mężczyzny w czarnym garniturze i z jeszcze czarniejszymi włosami. Stał i wyglądał przez okno. Szybko jednak poszedłem za McClellandem do jego gabinetu. Przetawił krzesło spod ściany do zawalonego papierami biurka i poprosił, żebym usiadł.

– Richardzie, napijesz się kakao?

Pokręciłem głową.

– Na pewno? Margareth przyrządza...

– Na pewno.

– Dobrze. – McClelland spojrzał na mnie z uwagą. – Wobec tego przystąpmy od razu do rzeczy i miejmy to już za sobą. – Zajął miejsce za biurkiem.

Siedziałem o wiele niżej od niego, ale mieliśmy kontakt wzrokowy ponad stosami dokumentów.

– Co ci leży na sercu, Richardzie? – Szeryf mówił głosem miękkim jak masło.

Wyjąłem spod kurtki książkę telefoniczną, którą tam chowałem, i położyłem ją przed nim.

McClelland nawet na nią nie spojrzał, wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku. Wyglądał na rozczarowanego.

– Tam gdzie jest ośle ucho. – Pokazałem. – Jest Jonasson.

Przerzucił kartki.

– Imu Jonasson – przeczytał na głos.

– No i widzi pan?

McClelland spojrzał na mnie.

– I co z tego? Imu Jonasson to dawne dzieje miasteczka, równie stare jak ta książka, i nie ma nic wspólnego z zaginięciem Toma. – Maślana miękkość zniknęła, teraz głos szeryfa brzmiał jak metal.

– Właśnie że ma. Powiedziałem przecież...

– Pamiętam, co powiedziałaś, Richardzie. Ale słuchawki telefoniczne nie pożerają ludzi, prawda? – Wskazał za okno. – Ekipy poszukiwawcze pracowały przez całą noc, a rodzice Toma i wszyscy w Ballantyne bardzo potrzebują tego, żebyś nam powiedział, co się z nim stało.

– Przecież już mówiłem.

Szeryf westchnął i wyjrzał przez okno.

– Miałem nadzieję, że przyszedłeś tu wyznać prawdę. Ponieważ jednak nie chcesz tego zrobić, muszę po prostu założyć, że w taki czy inny sposób jesteś winny. Masz dopiero czternaście lat i prawo cię chroni, z czego oczywiście zdajesz sobie sprawę. Nie mogę cię nawet przesłuchać w taki sposób, w jaki bym chciał. Ale... – Pochylił się między stosy papierów. Jego okrągła twarz poczerwieniała, tak że jasne wąsy wyraźnie się teraz od niej odcinały, przez co skojarzył mi się ze Świętym Mikołajem. Głos opadł do ochryplego szeptu: – Jestem szeryfem Ballantyne i przyjacielem rodziców Toma, więc jeśli go nie odnajdziemy, osobiście zatroszczę się o to, żebyś ty, Richard Elauved, został zamknięty w bardzo ciemnym odludnym miejscu, gdzie nikt nigdy cię nie znajdzie. Jeśli wydaje ci się, że bodaj jeden mieszkaniec Ballantyne, z Frankiem i Jenny włącznie, przejmie się tym, co się stało z bezczelnym smarkaczem z miasta, który odebrał nam Toma, to się mylisz.

McClelland odchylił się z powrotem.

Popatrzyłem na niego.

Następnie wstałem, zabrałem książkę telefoniczną i wyszedłem.

W drodze powrotnej zatrzymałem się przed witryną sklepu ojca Oscara. Było tam mnóstwo zabawek, ale moją uwagę przykuła figurka Frankensteina. To znaczy oczywiście figurka potwora. Tata mi wytłumaczył, że Frankenstein to właściwie nazwisko naukowca, który podłączając potwora do prądu, pobudził go do życia. Przyglądałem się figurce i zauważyłem coś w odbiciu w szybie: czerwone auto po drugiej stronie ulicy. W ogóle nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby to nie był ten sam samochód, który widziałem na parkingu przed biurem szeryfa. A kiedy ruszyłem dalej do domu i na kolejnym skrzyżowaniu obejrzałem się dyskretnie przez ramię, znów zobaczyłem to auto, co prawda dość daleko.

Gdy podszedłem pod dom, Frank właśnie wyprowadzał samochód z garażu. Zatrzymał się i opuścił szybę. Po jego ubraniu poznałem, że znów jedzie na nocny dyżur. Przybrał surową minę.

– Gdzie się podziewałeś? Jenny się martwiła.

– Ale ty nie.

Zmarszczył czoło, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Idź do domu, Jenny odgrzeje ci obiad.

Kiedy wszedłem, Jenny wyszła z kuchni z takim wyrazem twarzy, jakby miała ochotę mnie uściskać, więc poświęciłem dużo czasu na zdejmowanie butów, żeby mnie to ominęło. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że byłem w bibliotece i że musiałem coś załatwić.

Lazania smakowała tak, jak powinna, unikałem też kolejnych pytań. Rzecz jasna oprócz tych, które zadawałem sobie sam. Kim był Imu Jonasson? Kto jeździł tym czerwonym samochodem? I przede wszystkim: komu naprawdę mogę ufać?

Tej nocy źle spałem. Przyśnił mi się koszmar, w którym zamknięto mnie w jakimś ciemnym bezludnym miejscu. Śnili mi się też Frankenstein i zombie.

Rozdział 7

– Więc szeryf ci nie uwierzył, chociaż pokazałeś mu książkę telefoniczną z nazwiskiem Imu Jonassona? – spytała Karen.

Była duża przerwa, a my staliśmy na płaskim dachu budynku szkoły. Karen wywijiała długą miękką wędką, tak że żyłka falowała, a sztuczna mucha na jej końcu tańczyła w powietrzu. Karen trenowała, ponieważ chciała pokonać ojca, który przez cztery lata z rzędu wygrywał miejscowe zawody w wędkarstwie muchowym.

– To nie tak. On wierzy, że zadzwoniliśmy do faceta, który się nazywa Imu Jonasson – odpowiedziałem, obserwując muchę. W tej chwili zdawała się wisieć w powietrzu tuż nad wlotem komina w odległości dziesięciu metrów od nas. – Nie wierzy tylko, że słuchawka zjadła Toma.

Przychodziliśmy tu co najmniej raz w tygodniu, ale Karen nie chciała mi wyjawiać, jak zdobyła klucz, który otwierał drzwi prowadzące do schodów na dach. Mówiła tylko, że zamierza go zatrzymać dopóty, dopóki woźny czy nauczyciele się nie zorientują. Nie wiem, dlaczego zostałem wybrany, aby jej tu towarzyszyć. Pewnie uważała, że jako jedyny nie doniosę ani nie będę się bał, że napytam sobie biedy.

Ostrożnie wyjrzałem za obitą blachą krawędź w dół na szkolne podwórze pięć piętér niżej. Dziwne, ale kiedy byłem tu razem z Karen, wcale nie miałem takiego strasznego lęku wysokości. Przeciwnie, czułem jedynie lekkie łaskotanie w brzuchu. A stąd wszyscy smarkacze wydawali się jeszcze mniejsi. Zobaczyłem, że Grubas biegnie za kimś, kto zabrał mu czapkę, a potem wrzucił ją na drzewo. Czapka zawisła wysoko w gałęziach dębu. Grubas został sam, stanął ze zwieszonymi rękami, wpatrzony w czapkę, ale słońce świeciło mu prosto w oczy, więc nie mógł mnie dojrzeć.

Karen skrzywiła się, pozwalając, by mucha wpadła do komina.

– Naprawdę go zjadła?

– No... Raczej wessała, niż przeżuła. Trochę jak te owady, które wstrzykują swoim ofiarom substancję zmieniającą je w coś w rodzaju smoothie.

– Faj! – Karen się wzdrygnęła i zaczęła zwijać żyłkę.

– Najgorsze, że zastanawiałem się, jakie to smoothie. Czy to nie chore? Zastanawiać się, jak smakował twój kumpel?

– No. – Karen zdmuchnęła kopeć z muchy i umocowała ją na końcu wędki. – Rzeczywiście to chore.

Podłożyłem ręce pod głowę i zapatrzyłem się w niebo. W pole mojego widzenia przesunęły się drobne białe chmurki.

– Do czego twoim zdaniem są podobne? – spytała Karen.

Odłożyła wędkę i przerzuciła kartki w notatniku, który stale przy sobie nosiła. Wyciągnęła różową spinkę do włosów – używała jej jako zakładki – i zaczęła coś gryzmolić. Przypuszczałem, że rysuje. Albo może próbuje swoich sił jako pisarka. W każdym razie nigdy nie chciała mi pokazać, co jest na tych kartkach.

– Masz na myśli chmury? – spytałem.

– Tak.

– Do chmur.

– Nie masz żadnych asocjacji?

Wiedziałem, co znaczy to słowo. Chodziło jej o to, z czym się mogą kojarzyć. Ale w przeciwieństwie do Karen nie potrafiłem używać takich słów, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Pewnie brały jej się z tego całego czytania. Poprzedniego wieczoru znalazłem u Kafki wiele słów, których nie rozumiałem. A poza tym książka była taka nudna, że ją odłożyłem i zacząłem tę ze świńskim łbem na okładce. Ta z kolei opowiadała o dzieciach na bezludnej wyspie, które uratowały się po katastrofie samolotu, i była bardziej w moim guście.

– A ty co widzisz? – odbiłem piłeczkę.

– Ja widzę Chewbacę.

– Chcesz powiedzieć, że chmura przypomina tego faceta w futrze z *Gwiezdnych wojen*?

– To nie jest facet, tylko Wookiee. Nie widzisz ani jego, ani niczego innego?

– A powinienem?

– Powinieneś jak powinieneś – odparła Karen. – Tata mówi, że pisarze widzą. Tworzą opowieści z chmur.

– To znaczy, że jeśli widzę po prostu chmury, to nie mogę zostać pisarzem?

– Nie wiem. Ale spróbuj coś zobaczyć.

Lekko zmrzyłem oczy, skupiłem się. Problem polegał na tym, że chmury były takie małe i lekkie, na wietrze zmieniały kształt szybciej, niż zdążyłem wpaść na to, co przypominają. Rozległ się dzwonek na lekcję.

– Zajmiemy się tym następnym razem – oświadczyła Karen i zamknęła notatnik.

Wstaliśmy, sprawdziliśmy, czy nikt nas nie zauważy, kiedy będziemy przekradać się za drzwiami, i przemknęliśmy po schodach.

– Pomyślałem sobie, że poproszę cię o przysługę – powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się w korytarzu pełnym uczniów.

– Jaką?

– Żebyś pomogła mi znaleźć tego całego Imu.

Nie patrzyłem na nią. Po sposobie, w jaki wciągnęła powietrze – z wahaniem – wyczułem jednak, że odmówi.

– Ale zaraz uświadomiłem sobie, że to nie jest sprawa dla dziewczyn – dodałem czym prędzej.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to nie jest sprawa dla dziewczyn?

– Przepraszam, nie chciałem...

– Ojej, nie wiedziałam, że masz takie słowo w swoim słowniku.

– Jakie?

– „Przepraszam”. Tak czy owak, zawsze chętnie ci pomogę, Richard. Wiesz o tym. Ale jeśli chodzi akurat o to, wydaje mi się, że najlepszą pomocą będzie pozwolenie ci, żebyś poradził sobie z tym sam.

Wyszliśmy na opustoszałe już podwórze, tylko Grubas siedział samotny na ławce, z głową opartą na rękach.

– Na razie – rzuciła Karen i zostawiła mnie. Podeszła do Grubasa, położyła mu rękę na ramieniu.

Podniósł głowę, chociaż raczej nic nie widział, bo okulary całe miał zaparowane, pewnie znów płakał. Uśmiechnął się jednak, słysząc głos Karen. Bo tacy jesteśmy prości. Gdy tylko ktoś odezwie się do nas życzliwie, od razu się cieszymy.

I – dodałem w myślach – robimy dokładnie to, o co nas poproszą.

Wszedłem do klasy, usiadłem i spojrzałem przez okno na podwórze, gdzie oboje ciągle stali pod dębem. Karen zamachnęła się wędką i mucha zbliżyła się do czapki

wiszącej wysoko na gałęzi, jakby zamierzała na niej wylądować. Potem po lekkim szarpnięciu Karen oswobodziła czapkę, która spadła na ziemię jak wczesnojesienny liść w słońcu, a Grubas zaklaskał z zachwytem w swoje małe tłuste łapki.

Rozdział 8

– Okej – powiedział Grubas. – Idę z tobą.

Zaskoczył mnie, ale właściwie tylko trochę. Z jednej strony Grubas był mięczakiem, interesował się dziewczynskimi rzeczami, chętnie przebierał się za dziewczynę, gdy tylko bal kostiumowy albo jakieś szkolne przedstawienie stwarzały ku temu okazję, i w zasadzie trzymał z dziewczynami. Sądziłem więc, że stchórzy, jak tylko się dowie, że chodzi o coś, co wymaga odrobiny męskiej odwagi. Z drugiej – Grubas stał niewiele wyżej ponad kastą piranii i raczej nie proponowano mu chłopackich zabaw. Widziałem, jak na próżno kręci się wokół Oscara Rossiego, nie wzbudzając żadnego zainteresowania. Nie on jeden nie krył, że fajnie by było trzymać się blisko szefa, lecz wydawało się, że u Grubasa chodzi o coś więcej. W sposobie, w jaki patrzył na Oscara, były jakby błaganie i poddańczość, trochę jak w spojrzeniu dobrze wychowanego psa, wpatrującego się w człowieka z milczącą rozpaczą, ale i nadzieją, że ten rzuci mu jakiś ochłap. A propos jedzenia, dosłodziłem swoją propozycję zaproszeniem do domu na obiad. Jakoś tak pomyślałem, że na grubą osobę zadziała to mocniej. Pożałowałem zresztą tego zaproszenia, kiedy zrozumiałem, że Grubasowi wystarczyło już, że inny chłopak zaproponował mu swoje towarzystwo, nawet ktoś taki jak ja.

Po ostatniej lekcji wyruszyliśmy więc we dwóch do Lustrzanego Lasu. Dzień był gorący, jakby ostrzegał przed tym, co ma nadejść. Karen uprzedzała mnie, że tutejsze lata są równie upalne, jak zimy lodowate. Ale akurat teraz gęsta biała mgła nagle nasunęła się na okolicę, zacierając wszelkie kontury.

– Dlaczego dali ci spokój? – spytał Grubas, kiedy szliśmy przez centrum Ballantyne.

– O co ci chodzi?

– Szeryf i reszta. Dlaczego cię cały czas nie przesłuchują? Przecież wszyscy uważają, że byłeś razem z Tomem i wiesz, co się stało.

– Może rzeczywiście wiem.

– Naprawdę? Powiedziałaś szeryfowi?

– Tak, ale mam zachować tajemnicę.

Grubas długo mi się przyglądał. Chyba nie kupił tej odpowiedzi bez zastrzeżeń, jednak jej nie skomentował.

Oczywiście ja też zastanawiałem się nad tym samym. Dlaczego szeryf McClelland mnie puścił? I chyba zrozumiałem.

Nie musiałem się odwracać, żeby wiedzieć, że tamten czerwony samochód ciągle tu jest. Stał po drugiej stronie ulicy, kiedy wyszliśmy ze szkoły. Teraz wiedziałem już nawet, jaka to marka: Pontiac LeMans. Znalazłem zdjęcie w magazynach Franka. I kiedy je zobaczyłem, przypomniało mi się, gdzie już wcześniej widziałem takie auto. W *Nocy żywych trupów*.

– Wchodzimy tutaj – oświadczyłem.

– Do biblioteki? – zdumiał się Grubas. – Potrzebujemy książek?

– Nie, ale potrzebujemy innej drogi.

Pchnąłem drzwi i weszliśmy do środka. Oparłem się o nie plecami, kiedy się zamykały. Wyrzałem przez boczne okno.

Pontiac zaparkował przy chodniku kawałek dalej.

– Chodź – powiedziałem i zagłębiłem się między regały.

Biblioteka wydawała się równie pusta, jak poprzednio, tylko książki stały w gotowości, jakby czekały, aż ktoś zwróci na nie uwagę. Niczym sieroty w domu dziecka, marzące o tym, aby ktoś je adoptował.

Pani Zimmer siedziała za kontuarem i porządkowała prawdopodobnie karty wypożyczeń.

– Już jesteś z powrotem? – zapytała zdziwiona i kichnęła. – Tak, tak, w książkach można się prędko rozsmakować.

– To prawda, pani Zimmer. Ale tym razem chciałbym prosić o coś innego.

– Mianowicie?

– Czy moglibyśmy skorzystać z tylnego wyjścia?

– A to dlaczego?

Skinąłem głową w stronę głównej ulicy.

– Ściga nas banda ze szkoły, jadą za nami na rowerach, na apache'ach. Lubią spuścić manto takim molom książkowym jak my.

Pani Zimmer uniosła brew i uważnie mi się przyjrzała. Potem przeniosła wzrok na Grubasa, jego też przez chwilę obserwowała. W końcu znów popatrzyła na mnie.

– Wiecie co – zaczęła, kolejny raz kichnęła i urwała sobie listek papierowego ręcznika. – Świetnie to rozumiem. Chodźcie.

Wpuściła nas za kontuar i poszliśmy razem z nią przez niedużą kuchnię oraz wypełniony różnymi artykułami biurowymi magazyn do drzwi prowadzących na metalowe schody na tyłach biblioteki.

– A psik! – kichnęła. – Powodzenia! Trenujcie boks i czytajcie poezję! – zawołała.

Grubas i ja przeszliśmy bocznymi dróżkami, aż wreszcie wydostaliśmy się na główną drogę tuż przy Lustrzanym Lesie. Kiedy skręciłem na ścieżkę prowadzącą w głąb, obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Grubas ciągle idzie za mną i czy nie próbuje prysnąć. Ale szedł. I nawet posłał mi uśmiech. Sprawiał wrażenie dziwnie obojętnego na to, że wchodzi do tego samego lasu z gościem, który w powszechnej opinii maczał palce w zaginięciu Toma. Ani słowem też nie zdradził lęku, że być może natkniemy się na tego Imu Jonassona. No ale Grubas nie widział, jak Tom został pożarty.

Im głębiej wchodziliśmy w las, tym mgła wydawała się gęściejsza, a popołudnie ciemniejsze.

Grubas szedł drobnymi kroczkami, z rękami zwieszonymi przy okrągłym korpusie, lecz z odchylonymi na boki dłońmi, jakby musiał łapać równowagę. Tak samo się poruszał, kiedy grał Dzwoneczka w klasowej inscenizacji *Piotrusia Pana*. Dorosła publiczność z trudem ukrywała śmiech, gdy ten pulchny chłopiec dreptał po scenie w spódniczce i ze skrzydełkami elfa. Grubas zdawał się jednak w ogóle tego nie zauważać, całkowicie wcielił się w rolę, wyglądało wręcz, że to uwielbia.

Dotarliśmy do prześwitu, skąd widać było rzekę i mostek, ale szliśmy dalej w górę błotnistej zbocza.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – spytał Grubas.

– Jasne – odparłem z niezachwianym przekonaniem.

Zresztą dlaczego nie? Wbiłem sobie do głowy mapę Ballantyne zamieszczoną na samym końcu książki telefonicznej, więc nie powinniśmy zabłądzić. Na tym wzgórzu należało tylko iść prosto ślepą drogą, która kilkaset metrów dalej już jako

ścieżka mijala adres Lustrzany Las 1. Parę razy poślizgnąłem się na błocie, ale Grubas bez wysiłku trzymał się na nogach.

Gdy weszliśmy na szczyt, znalazłem drogę, która wydawała się prowadzić we właściwym kierunku.

Ze spowitego mgłą lasu dobiegł głęboki głuchy dźwięk, a ja cały aż drgnąłem. Chyba nawet złapałem Grubasa za rękę, choć jeśli tak, to od razu ją puściłem.

– To tylko sowa – wyjaśnił Grubas.

Ruszyliśmy dalej, teraz to on szedł pierwszy.

– Widziałeś *Jeziro łabędzie*? – spytał.

– Tu jest jakieś jezioro? – zdziwiłem się i wpadłem na gałąź, pod którą on najwyraźniej przeszedł swobodnie.

– Nie. – Grubas się roześmiał. – Ale jezioro łabędzie znajduje się w lesie podobnym do tego. Jest wypełnione łzami. *Jeziro łabędzie* to taki balet.

– Taniec? *Sorry*, ale ja muszę mieć akcję. No wiesz, film i...

– Tam też jest akcja.

– Coś ty?

– Młody myśliwy przybywa nad jezioro i widzi łabędzia. Kiedy chce go zastrzelić, łabędź zmienia się w piękną Odettę.

– W dziewczynę?

Zobaczyłem, że Grubas wzrusza ramionami.

– W świetle dnia Odetta musi być łabędziem i pływać w jeziorze łez, tylko w nocy może być człowiekiem.

– No to szkoda. – Potknąłem się o korzeń. Wolę jednak chodniki i schody. – Jest jakiś *happy end*?

– I tak, i nie. Są dwie wersje. W tej, którą lubię, myśliwy zakochuje się w Odetcie i razem pokonują tych, którzy chcą im wszystko popsuć. W końcu mogą się pobrać, a Odetta może już przez cały czas pozostawać w ludzkiej postaci.

– A w tej drugiej?

– Tej nie widziałem. Ale mama mówi, że jest smutna.

Nagle usłyszałem własny krzyk. Coś dotknęło mojej twarzy. Nie gałąź, tylko coś, co żyło i pełzało. Zacząłem się uderzać, najpierw w policzek, potem w nos i w czoło, lecz najwyraźniej nie trafiłem, bo to coś dalej po mnie łąziło.

– Stój spokojnie! – usłyszałem Grubasa.

Zrobiłem, jak kazał, i zamknąłem oczy, a on przesunął mi dłonią po twarzy. Kiedy znów je otworzyłem, wyciągnął do mnie rękę. Na jego dłoni siedział owad z czerwonymi oczami i przezroczystymi skrzydłami.

– Uch! – Wzdrygnąłem się. – Co to jest?

– Nie wiem – odparł Grubas. – Ale widziałem to już w książce entomologicznej mamy.

– Ento... co?

– Takiej o owadach. Mama zbiera owady. To znaczy martwe.

– Uch! – powtórzyłem.

– Nie, nie. Niektóre są bardzo piękne. Takie jak ten. Nie uważasz?

– Nie.

Grubas się roześmiał. Zapewne poczuł się trochę lepiej, kiedy zobaczył, że wcale nie jestem taki odważny. Ale nie powinien śmiać się za bardzo, bo może oberwać, o czym zamierzałem go uprzedzić. Sześciopięciopiętrowy minipowódz najwyraźniej dobrze się czuł na jego ręce, a Grubas uważnie mu się przyglądał, ja jednak poczułem, że coś ląduje mi na włosach. Zacząłem się otrząpywać jak szalony i wypłoszyłem jeszcze dwa takie czerwonoocze minipowódz.

– Ich jest więcej! – jęknąłem. – Zabierajmy się stąd!

Nie czekałem dłużej, puściłem się biegiem, ale słyszałem, że Grubas ze śmiechem idzie za mną.

I naraz dotarliśmy na miejsce. Na koniec żwirowej drogi, która urywała się w środku lasu. Szybko ruszyłem dalej ścieżką, bo miałem wrażenie, że dzisiaj wcześniej się ściemni. Zakręt na drodze powoli się wyprostował, drzewa nie rosły już tak gęsto, a z mgły wyłoniło się coś wysokiego i czarnego.

Ogrodzenie z kutego żelaza. Wysokie na co najmniej trzy metry.

Podszedłem do bramy. Pręty na środku układały się w inicjały „BA”, a pod nimi była tabliczka z napisem „Lustrzany Las 1”. A jeszcze niżej: „Uwaga! Ogrodzenie pod prądem”.

Zajrzałem między prętami. Wydawało się, że ogrodzenie nie przepuszcza nawet mgły, bo jedynie lekki woal otaczał wyraźną sylwetkę budynku z dość wysoką częścią środkową i niższymi skrzydłami po bokach. Najwyższy fragment

wieńczyło coś w rodzaju rogów, może dlatego całość skojarzyła mi się z bykiem albo ze smokiem. Lewe skrzydło miało na dachu jakąś dziwną narośl, przypominającą gigantyczny grzyb.

– To... – szepnął Grubas za mną – ...to jakiś straszny dom. Stój! – Złapał mnie za rękę, kiedy sięgałem do klamki przy bramie. – Tu jest napisane, że ogrodzenie pod prądem!

– Głupi jesteś! Takie tabliczki wiesz się wyłącznie po to, żeby odstraszyć ludzi. Uniosłem nogę i kopnąłem w bramę spodem adidasa. Otworzyła się z przeciągłym jękliwym zgrzytem.

– A nie mówiłem? – rzuciłem triumfalnie.

– Gumowe podeszwy nie przewodzą prądu – stwierdził Grubas.

Skwitowałem to wymownym prychnięciem i wszedłem za bramę.

– Idziesz? – zawołałem.

– Nie – oświadczył Grubas.

Odwróciłem się. Wciąż stał za ogrodzeniem.

– Tchórzysz?

– Tak – odparł po prostu.

– Chcesz powiedzieć, że boisz się podejść do drzwi całkiem zwyczajnego domu?

– Richard, to nie jest zwyczajny dom.

– Ma adres, ściany i dach. Normalnie jak każdy dom. I wiesz co, Grubas? Jeśli ze mną nie pójdziesz, to powiem w szkole, jaki z ciebie mięczak.

– No i dobrze. Wszyscy i tak już to wiedzą. A poza tym nie nazywam się Grubas, tylko Jack.

Popatrzyłem na niego i uświadomiłem sobie, że sam postawiłem się pod ścianą. Jeśli teraz nie podejść do tego domu, Grubas na pewno rozpowie o tym w szkole, a ja w przeciwieństwie do niego miałem coś do stracenia.

– No to stój tu i pilnuj nie wiadomo czego, gruby Jacku. I wystrzegaj się bramy.

Odwróciłem się i pomaszerowałem zwirową ścieżką. W miarę jak się zbliżałem, coraz wyraźniej słyszałem dochodzący z budynku dziwny szmer. Narastał i opadał. Teraz zobaczyłem też, że dom nie jest zbudowany z drewna jak wszystkie inne domy w Ballantyne, tylko ma ściany z czerwonych, porośniętych mchem cegieł. Część z nich mocno się poluzowała. Dwa diabelskie rogi powstały z krzyżujących

się skrajnych krokwi. Najdziwniejsze było jednak to, co z daleka wyglądało jak grzyb, a z bliska okazało się koroną okazałego dębu. Widocznie drzewo wyrosło w lewym skrzydle domu i przebiło dach. Jak to możliwe? Przecież taki wielki dąb nie wyrasta z podłogi ponad dach w ciągu jednej nocy. Żeby tak urosnąć, potrzebuje co najmniej stu lat.

Coś uderzyło mnie w policzek. Strzepnąłem to i dostrzegłem, że po ścieżce pełźnie czerwonoooki owad. Czuję też, że coś mi łązi po skroni, próbując dotrzeć do ucha, ale kiedy się otrząsałem, zniknęło.

Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. To brzęczenie... Podniosłem wzrok i spojrzałem na to, co wcześniej wziąłem za mgiełkę otaczającą budynek. Właśnie z niej dobiegał ten dźwięk. To znaczy bzyczenie. Bzyczenie żywego roju latających owadów.

Otworzyłem szeroko oczy.

Rój był tak ogromny, że przesłonił niebo, jakby zapadł wczesny zmierzch. Zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Czy Grubas mnie obserwował, czy też mogłem już stąd zwiać i powiedzieć, że zadzwoniłem do drzwi, ale nikogo nie zastałem? Niemożliwe zresztą, żeby ktoś tu był. Za ciemnymi szybami nie widziałem żadnego światła. Poza tym kto mieszka w domu, w którym drzewo wyrasta ponad dach? Chyba nie mógłby tu przebywać nawet gość o imieniu Imu?

Coś lazło mi po łydce pod spodniami. Popatrzyłem w dół. Kolejne owady – wyglądało to tak, jakby wyłaziły wprost z ziemi niczym żywe trupy z grobu. Poruszały się na cienkich owadzych nóżkach i miały świecące czerwone oczy. Stałem jak bocian, uderzając ręką w łydkę, gdy nagle w oknie na drugim, ostatnim piętrze zapaliło się światło, rozjaśniając teren przed domem. Grube korzenie wyłaziły przy fundamentach i zagłębiały się w ziemię, jak gdyby cały dom był drzewem. W świetle zdawały się poruszać niczym ogromne mięśnie lub węże. Zacząłem skakać na jednej nodze, dalej klepiąc się po łydce, aż w końcu się przewróciłem. Upadłem na dywan owadów, które naraz były wszędzie: na mojej twarzy, na szyi, w ustach. Wrzasnąłem. Poderwałem się na nogi, plułem, waliłem rękami w szyję i czoło. W oknie coś się poruszyło. Zadarłem głowę. Twarz. Błada. Pozbawiona wyrazu twarz mężczyzny, nieruchoma jak obraz. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, a mimo to budziła we mnie dziwne wrażenie, jakbym patrzył w lustro.

Zachręściło mi pod ręką. Wreszcie rozprawilem się przynajmniej z jednym paskudztwem! W tej samej chwili jak na dany sygnał szum ucichł.

Spojrzałem w górę.

I wtedy sobie to uświadomiłem. Owad, którego właśnie zgmiotłem, tak że jego wnętrze spływało mi teraz po szyi, był pierwszym, którego zabiłem.

Wpatrywały się we mnie tysiące czerwonych oczu. Rój piranii ze skrzydłami. Brzęczenie znów się wzmogło. Jeszcze bardziej. Rój zbił się, zmniejszył, przeobraził w czarną chmurę. A potem zaczął rosnać. Nie, nie rósł. Po prostu przemieszczał się w moją stronę.

Odwróciłem się i puściłem biegiem do bramy. Za moimi plecami z coraz głośniejszego szumu zaczął się wydobywać przenikliwy wibrujący dźwięk.

Widziałem już otwartą bramę i Grubasa, który tam stał, jakby sparaliżowany zdumieniem, wpatrzony w górę.

– Uciekaj! – krzyknąłem. – Uciekaj!

Ale Grubas ani drgnął.

Minąłem go, pędziłem dalej w dół, w stronę rzeki i mostku. Po chwili zorientowałem się, że bzyczenie ucichło. Wtedy zatrzymałem się i odwróciłem. Grubas dalej tkwił przy bramie.

Stał z rękami rozłożonymi na boki, uśmiechniętą twarz zwracał ku niebu jak wieśniak, który po suszy widzi nadciągający deszcz.

Wokół Grubasa rój wił się jak tornado.

Czekałem, aż się zacznie. Aż w końcu go zjedzą, tak jak telefon pożarł Toma.

Ale tak się nie stało.

Chmura owadów powoli wzbiła się ku niebu, a Grubas wyciągał do nich ramiona, jak gdyby prosił, ażeby wróciły. W końcu opuścił ręce i ruszył w moją stronę, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Co to było? – spytałem.

A on odparł:

– Magi-cykady.

Rozdział 9

– Owady z rodzaju *Magicicada* – powtórzył Grubas, pałaszując lazanie Jenny. – Są zupełnie niegroźne. Tylko nagle pojawia się ich bardzo dużo. Ale szkoda, że nie widzieliście, jak się Richard wystraszył!

Jenny, Frank i Grubas się roześmiali, a ja poczułem, że się czerwienię. Wbiłem oczy w Grubasa, lecz on tego nie zauważył, gadał dalej:

– Zrozumiałem, że to *Magicicada*, dopiero gdy zobaczyłem rój i przypomniałem sobie, że w przyszłym tygodniu kończę trzynaście lat.

– Chyba nazywamy je cykadami wieloletnimi – stwierdził Frank. – Nigdy ich nie widziałem, tylko słyszałem o nich. Ale jaki mają związek z twoimi urodzinami?

– Mama mi opowiadała, że wyroiły się, kiedy się urodziłem, a one roją się co trzynaście lat. – Grubas uśmiechnął się prawie z triumfem, jakby znakomicie się czuł, siedząc u nas przy obiedzie i skupiając na sobie całą uwagę.

– Naprawdę? – Jenny nałożyła mu na talerz więcej lazanii. – A co robią przez tak długi czas?

– Żyją pod ziemią. Nikt nie wie, kiedy dokładnie się wyroją. Ale wyłażą wszystkie naraz. Miliony. I strasznie się cieszą, bo wreszcie wyrastają im skrzydła!

– Rozpromieniony powiódł wzrokiem wokół stołu, jak gdyby sprawdzając, czy wszyscy go słuchają. – Dlatego tak świętują. Przez dwa tygodnie robią dzieci i składają jajka. Ale wie pani co, pani Appleby? To najlepsza lazania, jaką jadłem w życiu.

– Dziękuję, Jack. – Roześmiała się, widziałem jednak, że komplement sprawił jej przyjemność. – To się nazywa dobre maniery.

– Ale ja naprawdę tak uważam – dodał Grubas z idiotyczną szczerością.

– Jeszcze lepsze maniery. – Frank z uśmiechem szturchnął mnie w bok; może chciał mi powiedzieć, że mam się od kogo uczyć.

– No dobrze, a wiesz może, co robią te cykady, kiedy już się naświetują? – Jenny oparła łokieć o stół, a brodę na dłoni, patrząc na Grubasa tak, jakby ten smarkacz mógł wyjaśnić jej wszystko, czego nie wiedziała.

- Umierają – oświadczył Grubas.
- Domyślam się – stwierdził Frank. – Ale chyba nie wszystkie?
- Właśnie tak – powiedział Grubas. – Wszystkie.
- Phi! – prychnąłem.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie pytająco. Co niby powinienem dodać? Nie miałem pojęcia o tych magi-cykadach. Wiedziałem tylko, że cholernie mnie irytuje to, że Frank i Jenny bez najmniejszych protestów przyjmują te naciągane historyjki kogoś obcego, a mnie nie uwierzyli w choćby jedno słowo, kiedy opowiadałem o mięsożernym telefonie. Poza tym wcale aż tak się nie bałem.

– No cóż. – Jenny podeszła do kuchenki. – Wszyscy umrzemy, a chyba lepiej, żeby to się stało w czasie, gdy zabawa trwa w najlepsze.

Nie zgadzałem się z nią. Uważałem, że lepiej umrzeć, kiedy człowiek się nudzi, ale się nie odezwałem.

- A czego właściwie szukaliście przy tym domu? – zainteresowała się Jenny.
- Tylko tamtędy przechodziliśmy – odparłem.

Patrzyłem, jak Grubas wsuwa resztki lasanii, a jego szczęki pracują, miażdżąc jedzenie na coraz mniejsze kawałeczki. Wyglądał na równie głodnego, jak wtedy, gdy siadaliśmy do stołu. Na koniec wyskrobał talerz do czysta i wessał resztki sosu jak... Tak – jak telefon.

- Deser, chłopcy? – zapytał Frank ze śmiechem.

Spodziewałem się, że usłyszę radosne „tak” Grubasa, ale on zrobił smutną minę.

– Mama zabrania mi jeść deserów. W naszej rodzinie wszyscy mamy skłonności do tycia, więc pozwala mi na słodczyce tylko w sobotę.

– Rozumiemy. – Jenny przechyliła głowę, spoglądając na Grubasa z tym swoim uśmiechem wyrażającym współczucie. – Ale macie wytłumaczenie. Możecie teraz iść się pobawić do pokoju Richarda.

- Bardzo państwu dziękuję za obiad.

Przedrzeźniałem lepkie grzecznościowe formułki Grubasa, wykrzywając się za jego plecami, ale Jenny i Frank nie zwrócili na to uwagi.

– W co będziemy się bawić? – spytał Grubas, kiedy weszliśmy na górę do mojego pokoju.

Usiadł na dzieciennym krzeselku przed skrzynką z zabawkami. Te rzeczy już tu były, kiedy przyjechałem. Jenny i Frank nigdy mi nie wyjaśnili, dlaczego ich zdaniem nastolatek potrzebuje dziecięcych mebli czy drewnianych klocków. Z jakiegoś powodu nigdy też ich o to nie pytałem. A teraz Grubas siedział tu tak, jakby to był jego pokój – jakby Frank i Jenny adoptowali jego, a nie mnie.

– Pobawimy się w to, że masz wracać do domu – oświadczyłem.

W ciszy, która zapadła, wydało mi się, że słyszę daleki dźwięk roju uczującego gdzieś za otwartym oknem. Brzmiało to jak ciche zawrodoenie transformatora. A może po prostu szumiało mi w głowie z wściekłości, jakiej chyba nigdy wcześniej nie czułem, a która wzmogła się na widok zdumienia na twarzy Grubasa.

– I jeszcze jedno. Nikomu, ani w szkole, ani nigdzie indziej, nie powiesz, że się bałem. Jak piśniesz choć słówko, to cię zgniotę jak cholernego karalucha. Bo ja się wcale nie bałem, to kłamstwo, rozumiesz?

Grubas nie odpowiedział, widziałem jednak, że przełyka ślinę. Szum w mojej głowie stał się jeszcze głośniejszy. Mój głos także.

– Rozumiesz, Jacku-Karaluchu?

A Grubas jakby naraz wyrwał się z odrętwienia. Pokręcił głową z wyższością niczym dorosły w stosunku do gówniarza, który nie potrafi się zachować. Który nie ma dobrych manier.

– Ależ, Richard, przecież nie ma się czego wstydzic. Milion owadów...

– Jeśli piśniesz choć słówko – powtórzyłem najzimniej, jak potrafiłem – to powiem wszystkim, że jesteś zakochany w Oscarze juniorze.

Nareszcie zaczął wyglądać na porządnie urażonego.

Mogłem w tym momencie przystopować. Wiedziałem, że powinienem przystopować w tym momencie, a właściwie już dużo wcześniej. Ale nie potrafiłem. Wściekłość była niczym kula śniegowa, która zaczęła się toczyć, a ja zupełnie straciłem nad nią kontrolę.

– Słyszysz, karaluchu? – ciągnąłem. – Jesteś obrzydliwy i dlatego nikt nie chce się z tobą zadawać. Jack-Karaluch!

Otworzył usta, ale nawet jeśli próbował się odciąć, to nie potrafił.

– Jack-Karaluch! Jack-Karaluch! Jack-Karaluch!

Tylko okulary znów mu zaparowały. Dalej więc powtarzałem jego nowe przezwisko, stojąc nad nim, wciśniętym między podłokietniki małego krzesła. Trzymał ręce nad głową i nad okularami, jakby chciał się bronić przed moimi słowami, dlatego jeszcze bardziej się nachyliłem. Szlochał cicho, a z jego oczu spływały wielkie łzy, które toczyły się po okrągłych policzkach.

Z moim głosem coś się działo. Jak gdyby do maszynierii dostały się jakieś paprochy. Dziwne, lecz ja też chyba płakałem. Zapanowałem jednak nad tym, kiedy tylko zacząłem wołać głośniej:

– Jack-Karaluch! Jack-Karaluch!

I nagle stało się coś dziwnego.

Ze zgarbionych pleców Grubasa zaczęło coś wyrastać.

Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej. Przez jego sweter przedarło się coś cienkiego, jakby plastikowa folia czy materiał, z którego robi się przezroczyste parasole. Jednocześnie to coś się rozłożyło niczym dach kabrioletu, a wokół ciała Grubasa zaczęło się tworzyć coś czarnego i błyszczącego, przypominającego skorupkę orzecha. Albo pancerz owada. Bo zobaczyłem teraz, że ta rzecz, która wyrosła mu z pleców, to skrzydła.

– Jack? – odezwałem się.

Odsunął ręce od twarzy i podniósł na mnie wzrok.

Aż zrobiłem krok w tył. Chciałem krzyknąć, ale w ustach całkiem mi zaschło. Jego okulary przestały już być okularami, zmieniły się w parę fasetkowych wypukłych połyskujących czerwono oczu.

Cofnąłem się do drzwi, a on sztywno, jakby z chrząstwą wstał z krzesła. Sięgnąłem ręką do klamki, żeby uciec. Ale się zatrzymałem. Bo Grubas się zmniejszył. Tak, na moich oczach zmniejszył się i nie był już taki groźny. Choć z głowy wyrosły mu czułki, a po bokach na wysokości brzucha pojawiła się dodatkowa para czarnych włochatych nóg. Już był taki mały, że krzesło miało odpowiedni dla niego rozmiar.

– Grubas, przestań – szepnąłem. Tylko tyle byłem w stanie z siebie wydusić. – Przestań, słyszysz?

Wydał jakiś dźwięk, ostre chrobotanie, jakby próbował mi odpowiedzieć alfabetem Morse'a. Był teraz niższy niż krzesło, nie większy od miśka w skrzynce z zabawkami. Czarny pancerz zamykał się wokół jego głowy, ale na

części twarzy, która wciąż pozostawała odkryta, widać było przerażenie. Zrozumiałem więc, że nie jest to coś, co robi on sam, tylko coś, co się z nim dzieje.

– Grubas? – szepnąłem. – Jack?

Był już nie większy od owada, a mówiąc konkretnie, był owadem. Magi-cykadą patrzącą na mnie czerwonymi oczami.

Zwilżyłem usta, żeby wezwać Franka, lecz nie zrobiłem tego. Może nie dałem rady. Może nie chciałem. Bo do głowy wpełzła mi pewna myśl. Że to przeze mnie. Nie wiem jak, ale może nie powinienem był tyle razy powtarzać tego o karaluchu. Może w ogóle nie powinienem był tak mówić.

Patrzyłem na owada. Oczywiście, żałowałem Grubasa. Dla niego jednak sprawa była już przesądzona. I tak miał umrzeć w ciągu tygodnia, jeżeli przy obiedzie mówił prawdę o magi-cykadach. Moja wściekłość minęła, a zastąpiła ją narastająca panika. Jeśli to moja wina i ktoś to odkryje, McClelland najprawdopodobniej nie poprzestanie na zamknięciu mnie w ciemnicy. Doprowadzi do tego, że mnie powieszą. Będę zwisał z sufitu gdzieś w celi. Już wyobraziłem sobie pętlę, hak do lampy z umocowaną liną i stołek pod stopami, który wkrótce zostanie usunięty kopniakiem.

Serce waliło mi jak dzikie, a w głowie zostało miejsce na jedną jedyną myśl:

Trzeba usunąć dowód!

Podniosłem nogę i z całej siły nadepnąłem na to paskudztwo.

Ale nie, udało mu się uciec i schować pod krzesłem. Złapałem leżące na stoliku opowiadanie Kafki i na kolanach zbliżyłem się do krzesła. Jednakże w chwili gdy unosiłem książkę, żeby rozduścić nią magi-cykadę o podłogę, owad rozłożył skrzydła, wzbił się w powietrze i poleciał wprost ku otwartemu oknu. Poderwałem się, ale zbyt późno. Zanim dotarłem do okna, już go nie było. Owada pochłonął nocny mrok. Usiłowałem go wypatrywać. Wydawało mi się, że dostrzegam parę czerwonych oczu, lecz Grubas zniknął. Przez chwilę słuchałem cichego szemrania dochodzącego od strony Lustrzanego Lasu. Może Grubasa wreszcie zaproszono na bal, na jaki nigdy żadnego z nas nie zapraszano. Siedziałem, dopóki serce nie zaczęło mi bić wolniej. Potem zamknąłem okno i zszedłem na dół do Jenny i Franka.

Rozdział 10

Szeryf McClelland stanął przy oknie w pokoju konferencyjnym. Na końcu pomieszczenia wisiała mapa okolicy. Kółeczkami zaznaczono na niej niektóre miejsca, a część z nich przekreślono. Zrozumiałem, że tam już szukano Toma.

Na parkingu na zewnątrz świeciło słońce. Po drugiej stronie placu obok remizy wznosiła się wysoka wieża strażacka, będąca zapewne najwyższym punktem w promieniu wielu mil. Frank zabrał mnie na nią wkrótce po moim przyjeździe, może sądził, że mi tym zaimponuje. Wieżę szefa strażaków. Nie miałem serca mu mówić, że budynek, w którym mieszkałem w mieście, był dwa razy wyższy. Frank wyjaśnił mi, że latem na wieży stale ktoś czuwa – i w dzień, i w nocy; wypatruje pożaru lasu. Powiedział, że pożary są tu powszechne, a przy tym bardzo kosztowne dla tak niedużej społeczności, która utrzymuje się z lasu. I rzeczywiście, to trzeba przyznać, Ballantyne miało dużo lasów. Za to mało czegokolwiek innego. Na przykład ludzi. Akurat w tej chwili z pewnością połowa z nich szukała Grubasa i Toma, no ale ja siedziałem tu, na krześle, między Frankiem a Jenny.

– A więc Jack Ruud wyszedł od was o ósmej wieczorem – powtórzył McClelland. – I miał wracać do domu.

– Tak – potwierdził Frank.

Szeryf dwoma palcami przyglądał wąsy i skinął głową policjantowi, który siedział przy stoliku i notował.

Ja na razie niewiele się odzywałem. To Frank mnie pouczył, że sam zajmie się mówieniem, a ja mam tylko odpowiadać, najkrócej jak potrafię, na pytania zadawane bezpośrednio mnie. I że w żadnym wypadku nie wolno mi wypaplać o rynnie.

Gdy zszedłem do salonu po tym, jak Grubas – a raczej to coś, co kiedyś nim było – wyleciał przez okno, powiedziałem im, że poszedł do domu, ale skłamałem, że zjechał po rynnie koło mojego pokoju. Byli tym trochę zaskoczeni, bo Grubas nie wyglądał im na akrobatę. A jednak mi uwierzyli. Przecież kilka razy przyłapali mnie na schodzeniu po rynnie, chociaż surowo mi tego zabronili, bo nie dość, że było to niebezpieczne, to w dodatku rynny są kruche i sporo kosztują. Kiedy więc

rodzice Grubasa zadzwonili z pytaniem, gdzie podziewa się ich syn, Jenny odparła, że wyszedł o dwudziestej, ale o rynnę nic nie wspomniała. Skoro wreszcie przyprowadziłem do domu kolegę, nie chciała, abyśmy wyszli na nieodpowiedzialną rodzinę. Dlatego oboje z Frankiem podtrzymali tę historię, gdy nieco po północy zadzwoniła policja. Z całą pewnością jednak oboje pomyśleli, że to już drugi raz w ciągu krótkiego czasu któryś z moich kolegów ginie bez śladu, więc może lepiej, żeby nie zrodziły się żadne wątpliwości. Potwierdzili zatem, że na własne oczy widzieli, jak Jack Ruud wychodzi z naszego domu.

– Taki uprzejmy chłopiec – powiedziała Jenny. – Wyjątkowo miły.

Byłem tylko na dwóch pogrzebach, lecz wiedziałem, że coś takiego mówi się wyłącznie po śmierci ludzi, których się dobrze nie znało. McClelland jednak nie zareagował. Nie było zresztą żadnego powodu, aby Jenny miała przypuszczać, że Grubas nie żyje, prawda? Bo przecież on tylko troszeczkę... zniknął.

– No dobrze. – McClelland obrócił się w naszą stronę i wbił wzrok we mnie. Mimo małych świńskich oczek i wystrzępionych wąsów właściwie wyglądał dość sympatycznie. Może zresztą był sympatyczny, może po prostu wykonywał swoją robotę najlepiej, jak potrafił. Akurat w tej chwili ta robota polegała na przyglądaniu mi się oraz sprawdzaniu, czy ma rentgen w oku i czy dzięki niemu jest w stanie stwierdzić, co się dzieje w mojej głowie. A działało się całkiem sporo. – Dziękuję, możecie iść – powiedział, nie odrywając ode mnie oczu. – Jeszcze porozmawiamy.

Rozdział 11

– To jeszcze trudniejsze do przełknięcia niż ta historia z telefonem, wiesz o tym? – Karen stała przy krawędzi dachu i patrzyła w dół na szkolne podwórze.

Opowiedziałem jej o wszystkim: o domu, roju owadów i przemianie Grubasa.

– Wiem – mruknąłem. – Właśnie dlatego nie mogę nikomu tego wyjawić, bo wezmą mnie za najgorszego kłamcę na świecie i nie uwierzą w ani jedno słowo.

Odwróciła się do mnie.

– Dlaczego uważasz, że ja ci wierzę?

– Bo ty... – Zawahałem się. – A nie wierzysz?

Karen wzruszyła ramionami.

– Wierzę, że ty w to wierzysz.

– I co to ma znaczyć?

Westchnęła.

– W Ballantyne nikt nigdy nie ginie, Richard. A to już drugie zniknięcie w ciągu paru dni i w obu przypadkach właśnie ty jesteś osobą, z którą zaginiony spędził ostatnie chwile. Co jest tym bardziej dziwne, ponieważ wszyscy wiedzą, że właściwie nie masz przyjaciół.

– Mam ciebie.

– Użyłam liczby mnogiej.

– Ale przecież mam dowody! – Zorientowałem się, że podniosłem głos. – Tę starą książkę telefoniczną!

– Owszem, wiem, że znalazłeś w niej nazwisko Imu Jonassona, ale to wcale nie znaczy, że...

– Nie znaczy, że co? Że mówię prawdę? Przecież nie mógłbym wymyślić takiego nazwiska, gdybym go wcześniej nie słyszał albo nie widział. – Potarłem skronie, czułem nadciągający ból głowy.

– Mówię tylko, że zdaniem szeryfa posługujesz się tym nazwiskiem, bo ono jest znane. To... Jak on to nazwał?

– Dawne dzieje. No dobrze, a ty słyszałaś wcześniej o Imu Jonassonie?

– Nie.

– Sama widzisz. A przecież mieszkasz tu całe życie – jęknąłem. – Nie wiem, o co w tym chodzi, ale Imu Jonasson, Tom i Grubas jakoś się ze sobą wiążą, tyle chyba nawet ty rozumiesz.

Karen przechyliła głowę i ujęła się pod boki.

– Nawet ty?

– Sorry, nie chciałem... Przepraszam. – Rozłożyłem ręce. – Po prostu cholernie mnie to wszystko stresuje.

Jej spojrzenie znów złagodniało w charakterystyczny dla niej sposób.

– Rozumiem, Richard. Jest jeszcze inna rzecz... – Urwała i dotknęła palcem dolnej wargi.

– Jaka? – rzuciłem zniecierpliwiony.

– Jeżeli szeryf ma słuszość, mówiąc o dawnych dziejach miasteczka, to może udałoby się znaleźć coś o Imu Jonassonie w starych miejscowych kronikach?

– Miejscowych kronikach?

– Tak. Są wydawane co roku. Zawierają historię rodów, a także opisy mniejszych i większych wydarzeń w Ballantyne.

– A gdzie je znajdziemy?

– Stoją pod literą B – oznajmiła pani Zimmer, wskazując regały na samym końcu biblioteki. – Czterdzieści osiem tomów. Czego szukacie?

– Czegoś o Imu Jonassonie – wyjaśniła Karen, nadal zdyszana, bo całą drogę ze szkoły przebyliśmy biegiem.

Pani Zimmer potężnie kichnęła dwa razy.

– Niczego tam nie znajdziecie o żadnym Imu Jonassonie – powiedziała przez nos, sięgając po papierowy ręcznik.

– Tak? – zdziwiła się Karen. – A skąd pani wie?

– Ponieważ znam Ballantyne – stwierdziła pani Zimmer. – Tak jak swoją bibliotekę. Wiem na przykład, że ty jesteś Karen Taylor, córka Nilsa i Astrid.

Karen pokiwała głową na potwierdzenie, a pani Zimmer ciągnęła ze wzrokiem utkwionym we mnie:

– Wiem też, że brakuje nam jednej książki telefonicznej.

Poczułem, że się czerwienię.

– Ja... eee... tylko ją pożyczyłem. Odniosę dziś po południu.

– Tak też myślałam. Ale jak udało ci się zdjąć tę książkę z tak wysoka?

– Tam stała drabina, taka strażacka.

– Bzdury!

– Bzdury?

– Nie mamy tutaj takich długich drabin. A w każdym razie nie wypożyczamy książek telefonicznych. Ani lokalnych kronik. Trzeba z nich korzystać na miejscu. Ale, jak już mówiłam, nie ma tam nic o Imu Jonassonie.

Odwróciłem się do Karen, która ze smutkiem kręciła głową.

– I tak dziękujemy – powiedziała i ruszyliśmy do wyjścia.

Pani Zimmer jednak chrząknęła.

– Nic tam nie ma, bo kroniki za bardzo się cenią, żeby drukować miejscowe plotki.

Zatrzymaliśmy się i obróciliśmy.

– Pani wie, kto to jest Imu Jonasson? – spytałem.

– Oczywiście.

– Dlaczego oczywiście?

– Ponieważ to adoptowany syn Roberta Willingstada, który w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku podarował Ballantyne tę bibliotekę. Mieszkali w Nocnym Domu.

– Nocnym Domu? – powtórzyła zdumiona Karen.

– Ludzie tak go nazwali. To ta wielka rezydencja w Lustrzanym Lesie.

– Mówi pani, że mieszkali. To znaczy, że Imu już tam nie mieszka?

– Z tego, co wiem, Imu Jonasson nie pojawił się w Ballantyne od czasu, gdy wysłano go do zakładu. A to było ponad czterdzieści lat temu.

– Zrobił coś złego?

– O tak. Ale dopiero po tym, jak postąpiono źle wobec niego.

– To znaczy? – dopytywała się Karen, równie zaintrygowana jak ja.

– Imu trochę się różnił od innych i pozostałe dzieci mu dokuczały. W Halloween, kiedy wszyscy chodzili po domach prosić o cukierki, dzieciaki otoczyły go, rozebrały i przywiązały do ogrodzenia pastwiska należącego do farmy Geberhardtów. Potem ktoś zakradł się do stodoły i włączył prąd. Kiedy znaleziono Imu... Powiem tak: nie był już tym samym chłopcem co wcześniej.

– A jaki był wcześniej? – zapytała Karen.

– To był miły, wrażliwy chłopiec, trochę samotny. Dużo czasu spędzał tu, w bibliotece. Mówił, że zostanie słynnym pisarzem.

– A potem?

– Stał się zły.

– Czyli?

Pani Zimmer trzykrotnie zaciągnęła się powietrzem, ale nie udało jej się kichnąć.

– Zaczął dręczyć inne dzieci – wyjaśniła. – Pewnie chciał się zemścić, ale dręczył nie tylko tych, którzy przywiązali go do pastucha elektrycznego. Raz ukradł rower, który chłopiec z sąsiedztwa dostał na urodziny, i wrzucił go do rzeki. Ale najbardziej lubił straszyć dzieci. Przebrał się za zmarłego ojca jednej z dziewczynek i w blasku księżyca stanął pod oknem jej sypialni. Kiedy szeryf rozmawiał z nim w związku z kradzieżą roweru i spytał, czy chodzi o zemstę, Imu odparł, że nie pamięta, kto go przywiązał do ogrodzenia, dlatego mści się na wszystkich.

– Nie pamiętał? – powtórzyła zdziwiona Karen.

Pani Zimmer wzruszyła ramionami.

– Podobno wstrząs elektryczny może tak podziałać na pamięć. Ale ja myślę, że to wpłynęło na jego mózg również w inny sposób.

– Na przykład? – spytałem.

– Imu zrobił się dziwny. Chodził w podartych ubraniach i trzymał się na uboczu w Lustrzanym Lesie, gdzie podobno polował na zwierzęta. Pewien mężczyzna twierdził, że widział, jak chłopak kuca i zjada szczura, który ciągle się ruszał. A kiedy Imu podniósł głowę, z ust płynęła mu krew.

– O nie! – Karen zasłoniła uszy rękami, ale nie przycisnęła ich mocno.

– O tak – ciągnęła pani Zimmer. – Ktoś inny mówił, że widział, jak chłopak je robaki: wygrzebuje je z ziemi i zjada jak popcorn. Poza tym Imu zaczął wykazywać

osobliwe zainteresowania. Któregoś dnia przyszedł do mnie, stanął tam, gdzie wy teraz stoicie, i spytał, czy mam jakieś książki o magii słów. – Zniżyła głos. – Oczy miał zupełnie czarne i dzikie, a jego ubranie było brudne, cuchnące. Biedny chłopiec. Nic dziwnego, że musieli go zamknąć w zakładzie.

– A ma pani coś takiego? – podchwyciłem. – Książki o magii słów?

Pani Zimmer popatrzyła na mnie, ale nie odpowiedziała. Staliśmy w milczeniu i może tylko mi się wydawało, lecz nagle w oddali rozległ się jakiś dźwięk, jakby wiatr dmuchał w wydrążony pień drzewa. Albo sowa pohukiwaniem zapowiadała nieszczęście.

– Gdzie są? – spytała Karen.

– Tak jak już mówiłam – szepnęła pani Zimmer, naraz niespokojna. – Nie mamy żadnej drabiny sięgającej aż tak wysoko.

– Ale... – zacząłem.

– A teraz musicie już iść. – Zerknęła w głąb pomieszczenia, skąd prawdopodobnie dobiegł tamten odgłos. – Zamykamy.

– Tak wcześniej? – zdziwiła się Karen. – Przecież jest dopiero godzina...

– Nigdy nie wierz godzinie, Karen Taylor. No, idźcie już.

Czerwony samochód zobaczyłem zaraz po wyjściu z biblioteki. Tym razem nie parkował dalej, tylko tuż przed wejściem. Najwyraźniej przestał się bawić w chowanego.

– Co jest? – Karen zauważyła, że się zatrzymuję.

– Pontiac lemans – powiedziałem. – Rocznik sześćdziesiąty ósmy.

– Chodzi mi o to, co jest nie tak.

– Pewnie zaraz się dowiemy – mruknąłem, bo drzwiczki się otworzyły.

Z czerwonego auta wysiadł wysoki mężczyzna w czarnym garniturze z czarnym wąskim krawatem. Jego czarne włosy uczesane z przedziałkiem były tak błyszczące i gęste, że wyglądały, jakby zrobiono je z porcelany – trochę takie, jakie ma Superman. Nawet przez chwilę nie miałem wątpliwości, że to ten sam mężczyzna, którego plecy widziałem w sali konferencyjnej biura szeryfa.

– Richardzie Elauved – odezwał się do mnie, podsuwając mi skórzane etui z metalową gwiazdą – jestem agent Dale z policji federalnej.

Rozdział 12

Mężczyzna w białym lekarskim kitlu krążył wokół mnie, przyczepiając elektrody do mojej nagiej klatki piersiowej. Kiedy agent Dale i ja dojechaliśmy czerwonym samochodem do biura szeryfa, Dale zaprowadził mnie do piwnicy, a tam do niedużego pomieszczenia. Przypominało studio nagrań, w każdym razie miało obite, wyciszone ściany, a w tej oddzielającej je od sąsiedniego pokoju – pojedyncze duże okno z mikrofonami po obu stronach szyby. Ale mogło być używane również jako izba tortur.

– Nie ma się czego bać, Richardzie – oświadczył agent Dale. Stał z rękami założonymi na piersi, oparty o ścianę za stołem. Wyjaśnił, że jest specjalistą od spraw zaginięć i że razem z mężczyzną w białym kitlu przyjechali do Ballantyne stwierdzić, co wiem o Tomie i Jacku.

Ten w kitlu miał zimne, lepkie ręce. Skubały mnie w klatkę piersiową, szyję, plecy i nadgarstki, przyklejając taśmą czerwone, niebieskie i pomarańczowe przewody, które zbiegały się w dużym szumiącym aparacie ustawionym na stole. Już mi wyjaśnili, że to wykrywacz kłamstw i że to urządzenie powie im, czy mówię prawdę, czy kłamię. I że lepiej dla mnie będzie, jeśli powiem prawdę, bo inaczej poniosę konsekwencje. Nie określili jakie, ale dali do zrozumienia, że to nie będzie nic zwyczajnego.

– Już. – Biały kitel zajął krzesło po drugiej stronie stołu, poprawił okulary i zaczął się wpatrywać w monitor, który miał przed sobą.

Agent Dale usiadł naprzeciwko mnie.

– Jakies pytania, zanim zaczniemy, Richardzie?

– Tak. Umówił się pan z szeryfem, że puścicie mnie wolno, żeby mógł mnie pan śledzić i zobaczyć, czy się czymś nie zdradzę?

Długo mi się przyglądał, zanim odpowiedział:

– Masz jakies inne pytania?

– Nie.

– To dobrze – oznajmił, kładąc ręce na blacie między nami. – Moje pierwsze pytanie dotyczy Toma. Mamy teorię, że wpadł do rzeki w Lustrzanym Lesie. Rzekę przeszukano, ale bez rezultatu, więc sądzimy, że prąd mógł go zanieść do Wielkiej Rzeki i dalej na południe do Wroniego Jeziora. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy dawniej pracowali przy spławianiu drewna do Wielkiej Rzeki. Wskazali nam miejsce, gdzie woda zwykle wyrzucała na brzeg flisaków, którzy nie mieli szczęścia i utonęli pod balami. Pojechaliśmy tam, jednak nie znaleźliśmy Toma. Ale natrafiliśmy na to.

Dale z głośnym stuknięciem postawił coś na stole. Luke’a Skywalkera. Plastikowa figurka patrzyła na mnie niebieskimi oczami.

– Rozmawialiśmy z rodzicami Toma. Twierdzą, że ta zabawka nie należy do niego, ale kiedy spytaliśmy w miejscowym sklepie, w którym sprzedawano takie figurki, właściciel powiedział, że jego synowi ukradziono właśnie coś takiego podczas imprezy klasowej. A był też na niej Tom. Dlatego uważamy, że miał przy sobie tę figurkę, kiedy wpadł do rzeki. Wiesz coś o tym?

– Nie.

Mężczyzna w białym kitlu w milczeniu pokręcił głową.

– Detektor mówi, że kłamiesz, Richardzie.

– Okej – odezwałem się i przełknąłem ślinę. – W takim razie powiem, że Tom ukradł figurkę i wpadł do rzeki. I co teraz mówi ta maszyna?

Facet w fartuchu znów pokręcił głową.

Dale zmarszczył czoło.

– Może raczej spróbujesz powiedzieć coś, co będzie zgodne z prawdą. Jak się nazywasz?

– Richard Elauved.

Fartuch potwierdził ruchem głowy.

– Coś jeszcze?

– Toma zjadł telefon.

Mężczyzna w kitlu spojrzął na ekran, a potem przeniósł wzrok na Dale’a i znów pokiwał głową. Zobaczyłem, że mięśnie szczęki agenta się napinają, a dłoń zaciska się w pięść tak mocno, że bieleją mu kostki.

– A co się stało z Jackiem?

– Zrobiło się późno, więc musiał lecieć.

– I ty to widziałeś?

– Tak.

– Zmierzał do domu?

– Do domu, do swoich. Tak sędzę.

Głowa ponad białym fartuchem nie przestawała kiwać na potwierdzenie.

– Wiesz, czy mógł wybrać jakąś okrężną drogę?

– Okrężną jak okrężną. Grub... Jack lubił owady, więc oczywiście mógł zahaczyć o ten dom w Lustrzanym Lesie. Roją się tam teraz magi-cykady, zwłaszcza w pobliżu samego budynku.

– Ach tak?

– Na waszym miejscu sprawdziłbym tego, kto tam mieszka. Może on coś wie.

– A kto to jest?

– Wydaje mi się, że nazywa się... – Przełknąłem ślinę. – ...Imu Jonasson.

Ten w kitlu pokręcił głową.

– To znaczy, wiem, że nazywa się Imu Jonasson – poprawiłem się, a biały fartuch kiwnął głową.

Rozdział 13

– A więc to na ten dom ludzie mówią Nocny? – spytał Dale, patrząc między prętami bramy na zrujnowany budynek z dębem, który przebił dach.

– Tak powiedziała pani Zimmer z biblioteki – odparłem, a McClelland na potwierdzenie pokiwał głową.

– Wygląda na kompletnie opuszczony – zauważył Dale. – Ale według ciebie ktoś tu mieszka?

Wzruszyłem ramionami i już miałem krzyknąć ostrzegawczo, kiedy szeryf McClelland dotknął klamki. Nic się jednak nie wydarzyło, po prostu pchnął bramę i wszyscy trzej ruszyliśmy po miękkiej ziemi w stronę domu. Teraz, gdy mocno świecił księżyc i nie było mgły, budynek wydawał się o wiele mniej straszny, to musiałem przyznać. Nie było też śladu po magi-cykadach. Musiały się już wybalować i schowały się z powrotem pod ziemię albo przeniosły z tym balem gdzie indziej. Ostre końce krokwi nie przypominały już diabelskich rogów, a korzenie wyrastające ze szpar w fundamentach nie kojarzyły mi się z węzami dusicielami. Potężny McClelland kilka razy na próbę nacisnął spróchniałe stopnie, zanim podszedł do drzwi. Nie pukał, tylko od razu pociągnął za klamkę.

– Zamknięte na klucz? – spytał Dale.

– Wypaczone – wyjaśnił McClelland.

Ujął klamkę w obie ręce, napiął mięśnie i pociągnął. Drzwi oderwały się od futryny z przeciągłym niechętnym jękiem, ujawniając nieprzeniknioną ciemność. W środku powietrze było wilgotne, z różnych stron dobiegały odgłosy kapania. Weszliśmy do olbrzymiego holu.

I nagle powróciło do mnie to samo straszne odczucie, które mnie ogarnęło, gdy ostatnio stałem przed tym domem.

Wyglądało na to, że wewnątrz ktoś sobie nieźle poużywał.

Pośrodku holu na stercie, na którą składały się poprzewracane meble i przełamany na pół fortepian, leżał wielki obraz. Złota rama pękła w kilku miejscach, płótno namokło, a samo malowidło pokryły pajęczyny i brud, nie było

więc widać, co kiedyś przedstawiało. Wzorzysta tapeta na ścianach miała purchle albo zwisała w strzępach, a w szerokich schodach prowadzących na galerię otaczającą hol brakowało paru stopni.

Dale zbliżył się do fortepianu, natomiast McClelland podszedł do jakichś drzwi, zapalił latarkę i zajrzał do środka.

– Niemożliwe, żeby ktoś tu mieszkał – stwierdził Dale i nacisnął kilka poźółkłych klawiszy. Jego głos i przeraźliwie fałszywy akord odbiły się echem jak w grocie.

– Ależ tak – powiedział McClelland cicho. – To naprawdę idealny dom...

Dale zmrużył oczy, odsunął na bok połę marynarki i – jak na filmie – wyjął błyszczący pistolet. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy na palcach skradałem się za nim. Wystarczyły mu dwa bezszelestne kroki, a już stał za plecami McClellanda i zaglądał mu przez ramię. Przykucnąłem, żeby też móc coś zobaczyć. Najpierw dojrzałem jedynie szczątki łóżka rozwalonego w drzazgi, ale potem podniosłem wzrok na to, co oświetlał szeryf. Na belce pod sufitem dostrzegłem coś, co wyglądało jak wiele par czarnych, trochę obwisłych majtek, wywieszonych do suszenia.

– ...idealny, jeśli jest się nietoperzem – dokończył McClelland.

W tej samej chwili jedna para majtek zerwała się ze sznura. Dale wrzasnął, gdy majtki nadleciały w naszą stronę, a potem rozległ się huk, jakby strzał z pistoletu, kiedy przeleciały nad naszymi głowami. Minęła długa sekunda, zanim zrozumiałem, że to naprawdę był wystrzał. Odwróciliśmy się, śledząc wzrokiem majtki, które wykonały jeszcze dwie szarpane, nieeleganckie rundy, zanim zniknęły w którymś z pomieszczeń na piętrze.

Dale chrząknął.

– Nie słyszałem, jak mówisz o nietoperzach.

– No to skąd wiesz, że tak powiedziałem? – odparował McClelland.

– Dedukcja. – Dale schował pistolet z powrotem pod marynarkę.

Weszliśmy do sali obok i stanęliśmy wpatrzeni w wielki, gruby dąb.

– To niewiarygodne – oświadczył Dale. – Jak drzewo może tak przerosnąć przez podłogę i dach? Natury rzeczywiście nie da się powstrzymać, gdy już raz się na coś zdecyduje. Ile lat ma ten dom?

– Przyjechałem dopiero dziesięć lat temu i nie mam tu rodziny, więc nie znam całej historii okolicy – wyjaśnił McClelland. – Ale żadna z osób, z którymi rozmawiałem, też tego nie wie, więc dom na pewno jest stary.

– Inną najzupełniej pewną rzeczą jest to, że nie ma tu żadnego Imu Jonassona. – Dale odwrócił się w moją stronę. – Nie ma go ani tutaj, ani w książce telefonicznej.

Wzruszyłem ramionami.

– Ja go widziałem. I w książce telefonicznej, i tutaj.

– Chłopak kłamie! – syknął McClelland.

Wróciliśmy na posterunek policji, gdzie umieścili mnie w tym obitym miękkim materiałem pokoju, a sami zaczęli dyskutować w pomieszczeniu za szybą. Ponieważ pokój był dźwiękoszczelny, początkowo nic nie słyszałem, widziałem jedynie, jak McClelland maszeruje raz w jedną, raz w drugą stronę i mówi coś ze złością, a Dale spokojnie siedzi na krześle. Potem poprzyciskałem jakieś guziki w panelu na stole i naraz z głośników na ścianie popłynęły ich głosy.

– Wszyscy mówią, że to awanturnik – ciągnął McClelland i uderzył pięścią w stół. – A ja mam teraz na głowie czworo zrozpaczonych rodziców i całe miasteczko, które wciąż pyta, dlaczego sobie z tym nie radzimy. Tylko dlatego, że ten łobuz nie chce powiedzieć prawdy. Ale co mam z nim zrobić? Jest za młody, żebym go wsadził do więzienia, tak jak powinienem. No a tortury... no cóż, takich rzeczy tutaj nie robimy.

– Wykrywacz kłamstw wskazuje, że on mówi prawdę o tym Imu Jonassonie – zauważył Dale. – Albo raczej wierzy w to, że mówi prawdę. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że w osobie tego Richarda Elauveda mamy do czynienia z pełnokrwistym psychopata.

Obaj spojrzeli na mnie, a ja musiałem koncentrować się z całej siły, żeby nie pokazać po sobie, że słyszę każde ich słowo.

– Psychopaci potrafią oszukać nawet najbardziej zaawansowany wykrywacz kłamstw – dodał Dale.

Szeryf w zamyśleniu pokiwał głową.

– Moim zdaniem, Dale, mamy do czynienia z zepsutym i bezwzględny młodym człowiekiem najgorszego rodzaju. Takim, przed którym nasza społeczność musi się bronić.

– Możliwe. – Dale pogładził się po podbródku. – Powiedz mi coś o tym Jonassonie, dobrze?

– O Imu Jonassonie? Słyszałem tylko kilka historii. Wiem, że jego rodzice zginęli w pożarze i że w grę wchodziło jakieś zło, które chłopak przywłókł tu ze sobą.

– Wcale nie on je tu przywłókł! – zawołałem, ale najwyraźniej mnie nie słyszeli, w drugą stronę mikrofon nie działał.

– Wysłano go do poprawczaka – mówił dalej McClelland. – Z tego, co wiem, nikt więcej już go tu nie widział ani o nim nie słyszał. Naszym problemem nie jest żaden Imu Jonasson, tylko ten cholerny Richard Elauved. Masz jakąś propozycję, co z nim zrobić?

– Wyślij go gdzieś, gdzie będzie miał dużo czasu do namysłu i skruchy. Kilka tygodni, a może miesięcy powinno wystarczyć.

– Gdzie by to miało być?

– Sam powiedziałaś przed chwilą.

– Ja? – McClelland zmarszczył czoło. A potem nagle się rozpromienił. – Aha!

Dalej siedziałem i słuchałem, jak szeryf dzwoni do Jenny i Franka, informując ich o podjęciu natychmiastowego działania, jak się wyraził. Kazał im też przywieźć ubrania, przybory toaletowe i inne rzeczy, jakich będę potrzebował na krótszy albo dłuższy pobyt w zakładzie poprawczym.

Na krajobraz za oknem samochodu składały się płaskie piaszczyste równiny, bagna i drzewa. Głównie drzewa. Całe lasy. Frank prowadził, a Jenny siedziała z tyłu. Dlaczego awansowałem na przednie siedzenie, nie zostało głośno wyjaśnione, ale było to dość oczywiste. Kiedy się odwozi przybranego syna do poprawczaka położonego gdzieś na odludziu, to pozwala mu się siedzieć tam, gdzie lubi. Mniej więcej tak jak skazanym na śmierć pozwala się wybrać ostatni posiłek. Jechaliśmy już trzy godziny, a według Jenny mieliśmy jechać jeszcze następne trzy.

Frank nucił do muzyki z magnetofonu kasetowego:

Country roads, take me home, to the place I belong.

Tak jakbym należał do tego miejsca, do którego zmierzaliśmy.

„To nie jest żadne więzienie” – zapewnił McClelland Franka i Jenny.

„To więzienie!” – zawołała Karen, kiedy jej powiedziałem, dokąd jadę.

„Rok prędko minie” – próbowała mnie pocieszać Jenny.

„To przecież całe życie” – wściekała się Karen. „A ty nic nie zrobiłeś!”

Obiecała, że mnie odwiedzi. Nawet mnie uściskała na szkolnym podwórzu, i to na oczach Oscara juniora i wszystkich pozostałych. A ja, chociaż łzy cisnęły mi się do oczu, zdołałem je powstrzymać i przynajmniej tej satysfakcji im nie dałem. Nikt inny z klasy, nawet panna Ćwir-Ćwir, nie miał mi nic do powiedzenia, zresztą to bez znaczenia, i tak nie byłyby to miłe słowa. Wszyscy z ulgą przyjęli wiadomość, że się mnie pozbędą. Mieli to wyraźnie wypisane na zdziwionych twarzach. Bo teraz zaczęli się mnie bać już naprawdę. Ja w każdym razie bym się bał.

– Co to jest dedukcja? – zapytałem.

– Dedukcja – powtórzył Frank i chwilę się zastanawiał. Prawdę mówiąc, przez całą zwrotkę piosenki. No i dobrze, mieliśmy czas. Za dużo czasu. – Dedukcja to pewna forma logiki. Szukanie odpowiedzi poprzez eliminację wszystkich niemożliwych rozwiązań. Wtedy zostaje to, co możliwe. A jeśli taka możliwość jest tylko jedna, to mamy odpowiedź. Rozumiesz?

– Tak – potwierdziłem i wyjrzałem przez okno. Zrozumiałem, że należało odrzucić to, że kogoś zjadł telefon lub że ktoś zamienił się w owada. No i został kłamczuch, który najprawdopodobniej jest winny zniknięcia dwóch chłopców. To logiczne. Tak logiczne, że sam bym tak uznał. Gdybym na własne oczy nie widział, że to, co niemożliwe, jest jednak możliwe.

Jenny wyliczyła godzinę przybycia co do minuty. Może dlatego, że na drodze, na ogół biegnącej prosto i monotonnie jak po sznurku, nie było ruchu, skrzyżowań ani ograniczeń prędkości.

– To tutaj? – spytałem z niedowierzaniem.

Zatrzymaliśmy się na środku jakiegoś pola.

– Na to wygląda – powiedział Frank.

Wysiedliśmy z auta. Zachmurzyło się i nadciągnęły ostre podmuchy zimnego wiatru.

– Tak, tak. – Jenny aż zadrżała, stojąc z rękami założonymi na piersi i patrząc na biały, przypominający fort budynek otoczony drutem kolczastym.

Nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy innych ludzi. Było tylko to pustkowie, nagi gmach i porywy wiatru, w których ze zgrzytem kołysał się zawieszony na

łańcuchach szyld nad bramą. Kilka liter wyblakło albo zmył je deszcz, ale wiedziałem, co tam jest napisane.

„Liep. Zakład Poprawczy dla Młodzieży”.

Rozdział 14

McClelland mówił prawdę: zakład poprawczy Liep nie był więzieniem. Tu bowiem ci, którzy pilnowali, czy drzwi są należycie zamknięte, nie nazywali się strażnikami, lecz „odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo”, a kontrolujący nas byli „nauczycielami”, „wychowawcami”, „animatorami”, był także „dyrektor szkoły”. Nie mówiło się o odbywaniu kary, tylko o „wychwyceniu przez siatkę bezpieczeństwa publicznego”, z czego – jak nam wmawiano – powinniśmy się cholernie cieszyć. Jeśli ktoś złamał jedną z wielu wewnętrznych reguł, nie zostawał ukarany, lecz „skorygowany” albo „pozbawiony przywilejów”, na przykład możliwości spędzenia kilku godzin na dworze lub na osobności. Z tego, co wiem, nikogo nie bito ani nie karano fizycznie w inny sposób, ale tymi, którzy dostawali wścieklizny – a przy takiej liczbie skrzywionych nastolatków zgromadzonych w jednym miejscu zdarzało się to nieustannie – zajmowano się w inny sposób. Regulamin nie dopuszczał stosowania kajdanek, można było jednak zostać przywiązany do czegoś, do krzesła albo do łóżka, dla własnego bezpieczeństwa, jak się mówiło. Wieczorami często nie mogłem spać, słuchałem krzyków dobiegających z innych pokoi i zastanawiałem się wtedy, czy i mnie to czeka, jeśli pobędę tu dostatecznie długo.

Gdy z wizytą przyjeżdżali rodzice albo inni bliscy, dyrektor szkoły chętnie oprowadzał ich po klasach, warsztatach dla tych, którzy nie radzili sobie z teorią, i sali gimnastycznej, gdzie boksowaliśmy się między sobą, żeby wyładować najgorszą agresję. Nie widzieli żadnych krat, broni ani mundurów. Również my – nie osadzeni, tylko „mieszkańcy” – chodziliśmy we własnych ubraniach. Budynki poprawczaka były równie nagie i zimne, jak okoliczny krajobraz, ale czyste i zawsze świeżo pomalowane na biało, ponieważ sprzątanie i malowanie należały do naszych głównych zajęć. Z zewnątrz zakład musiał wyglądać jak zwyczajna szkoła z internatem, jednak my, którzy tam mieszkaliśmy, wiedzieliśmy lepiej.

Chłopcy i dziewczęta spali ściśle rozdzieleni na dwa oddziały. Z jednym wyjątkiem: bliźnięt Victora i Vanessy Blumenbergów. Nikt nigdy nie wyjaśnił nam powodu takiej decyzji, ale i tak był on oczywisty. Wystarczyło tych dwoje

rozdzielić na dłużej niż godzinę, a wpadali w amok. Nie powstrzymywało ich ani korygowanie, ani pozbawianie przywilejów, a ponieważ bliźnięta były wielkie i silne, odbijało się to mocno na wyposażeniu zakładu i na personelu. Na tyle mocno, że dyrektor wreszcie doszedł do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie pójście po linii najmniejszego oporu, czyli umieszczenie ich w jednym pokoju. Nikt przeciwko temu nie protestował, bo nikt inny nie chciał z nimi mieszkać – krążyła plotka, że najmłodszy z Blumenbergów, który w opinii bliźniąt ściągnął na siebie zbyt dużo uwagi, został uduszony poduszką we śnie. Ale krążyło mnóstwo różnych plotek.

Niektórzy na przykład twierdzili, że Vanessa i Victor są bliźniętami nie tyle jednojajowymi, co półjajowymi. Że urodzili się za wcześnie i byli zrośnięci biodrami, dlatego utykali – jedno na prawą nogę, drugie na lewą. Że mają tylko jeden wspólny mózg, dlatego tak często siedzą, milcząc, z zamglonym wzrokiem i rozchylonymi ustami. Mało się odzywali, również do siebie, ale to akurat było zbędne, jak twierdził ktoś, bo porozumiewali się telepatycznie.

To wszystko jednak z pewnością były bzdury.

Przynajmniej miałem nadzieję, że tak jest.

Bo umieszczono mnie w pokoju właśnie z tymi bliźniętami. Tylko mnie. W innych salach mieszkały po cztery osoby. U nas było dwoje na jednego. Przez pierwsze tygodnie tamci się do mnie nie odzywali ani na mnie nie patrzyli, traktowali mnie jak powietrze. A dla mnie to było okej. Miałem lekki sen i uważałem na poduszki.

Należałem do tych mieszkańców, którzy brali udział w lekcjach. Siedzieliśmy w klasie, a nauczyciel z góry się poddawał. Wydawało się, że jest zadowolony, jeśli uda mu się zakończyć dzień bez czyjegóż ataku wściekłości, zranienia czy jeszcze większego ogłupienia niż w chwili, gdy tu przyszedł. Potem był obiad w stołówce, a następnie spacer. Pogoda zawsze była taka sama, szara i groźna, chociaż ze stalowoszarzych chmur nigdy nie padał deszcz. Wieczorami inni grali w ping-ponga lub siedzieli w sali telewizyjnej, a ja trzymałem się na uboczu albo szedłem do biblioteki. Karen pobudziła mój apetyt na książki, tyle trzeba jej przyznać. Dni były długie i monotonne jak droga do Ballantyne, więc prawdziwą odmianę stanowiło to, że na tydzień zostałem sam w pokoju. Victor uderzył kucharza w twarz toporkiem do mięsa, ponieważ ten oskarżył go o kradzież portfela (oczywiście słusznie). Kiedy mężczyzna leżał zakrwawiony na kuchennej posadzce, Vanessa go

kopała, prawdopodobnie w akcie solidarności. W każdym razie bliźnięta zamknięto w osobnych pokojach (nie nazywało się to celami), gdzie musiały być same na okrągło przez całą dobę (nie mówiło się też o izolatce), więc nocami nieustannie rozlegały się ich krzyki. Do naszego wspólnego pokoju oboje wrócili odmienieni. Sprawiali wrażenie złamanych, patrzyli w podłogę, ja przestałem być powietrzem, a nawet się odsuwali, ustępując mi z drogi, kiedy wchodziłem do pokoju albo z niego wychodziłem. Któregoś wieczoru Vanessa spytała, co czytam. Byłem tak zaskoczony, że się do mnie odezwała, iż w pierwszej chwili wydało mi się, że się przesłyszałem. Kiedy jednak podniosłem wzrok znad książki, zobaczyłem, że zwiesiła głowę z samej góry naszego trzypoziomowego łóżka. Odparłem, że to książka zatytułowana *Papillon*, o facecie, który ucieka z wyspy skazańców. Z dzielącego nas poziomu dobiegło mruknięcie Victora:

– Ucieka.

Od tego dnia zaczęliśmy prowadzić proste rozmowy. To znaczy jedną, bo krążyła stale wokół tego samego tematu: ucieczki. Victor i Vanessa chcieli się stąd wydostać. Twierdzili, że muszą, inaczej tu umrą. Kiedy spytałem, do czego chcą uciec, na co liczą i czy są pewni, że na zewnątrz będzie lepiej, popatrzyli tylko na mnie zdziwionym szklanym wzrokiem, co zinterpretowałem tak, że albo uznali moje pytanie za idiotyczne, albo wcześniej w ogóle się nad tym nie zastanawiali. W końcu odpowiedziała mi Vanessa:

– Na zewnątrz przynajmniej nie będą mogli nas rozdzielić.

– Musisz nam pomóc – oświadczył Victor.

– Ja?

Vanessa pokiwała głową.

– A dlaczego sądzicie, że mogę wam pomóc?

– Bo możesz przeczytać o tym, jak się ucieka.

– Wy też możecie.

– Nie – przerwał mi Victor. – My nie umiemy. Pomóż nam, bo inaczej...

Pierwszy raz zobaczyłem w jego oczach coś innego niż pustkę. Jakaś bolesną twardość.

Przełknąłem ślinę.

– Bo inaczej?

- Zabijemy cię – dokończyła Vanessa. – A wiemy, jak się to robi.
- Tak? – rzuciłem powątpiewającym tonem. – Kucharz przeżył.
- Bo mu pozwoliliśmy – odparł Victor cicho. – Masz czas do niedzieli.
- Do niedzieli? To tylko cztery dni.

Zmrużył oczy w skupieniu. Zobaczyłem, że patrzy na swoje palce, poruszając przy tym ustami, aż w końcu stwierdził:

- Zgadza się.

Ucieczka z Liep nie była wcale niemożliwa. Pokonanie ogrodzenia wydawało się wręcz niezbyt trudne. Więcej problemów nastroczało przedostanie się dalej. Gdyby znało się kogoś, kto mógłby czekać w pogotowiu z samochodem, może udałoby się to zrobić. Jeśli jednak nie, to od najbliższej osady dzieliło nas pięćdziesiąt kilometrów płaskiego otwartego krajobrazu, a w pobliżu zakładu poprawczego dla młodzieży nikt nie zabierze do samochodu nastoletniego autostopowicza, tylko podniesie alarm.

Musiałem więc wymyślić jakiś plan, który rozwiązywałby problem oddalenia się od poprawczaka.

Odpowiedzią była śmieciarka.

Przyjeżdżała tu w każdy piątek rano, więc dwa dni po tym, jak bliźnięta postawiły mi ultimatum, znalazłem się niby przypadkiem na tylnym podwórzu za kuchnią, gdy śmieciarka wjechała na nie tyłem. Patrzyłem, jak dwaj śmieciarze wysiadają, przetaczają po kolei dziewięć zielonych kontenerów i umieszczają je na podnośniku. Jeden wciskał guzik z boku urządzenia, a drugi, podpierając się pod boki, obserwował, jak pojemnik się unosi, obraca i opróżnia do ładowni przy akompaniamencie hydraulicznego nucenia. Kontenery miały metr na metr i sięgały im do piersi.

Podszedłem do śmieciarzy i zadałem im kilka pytań, niby z czystej ciekawości, a oni całkiem chętnie odpowiadali. Tego samego wieczoru, kiedy już leżeliśmy w łózkach, przedstawiłem bliźniętom swój plan.

– Każde w osobnym worku na śmieci i w osobnym kontenerze – powtórzył Victor.

– Tak – powiedziałem. – Przetoczymy dwa pojemniki do kuchni i wysypimy śmieci, żeby było miejsce dla was. Potem wleziecie do worków, a ja je zawiążę i odtransportuję kontenery z powrotem na miejsce. Zrobię w workach dziury,

żebyście mieli czym oddychać. No i nie możecie wydać z siebie żadnego dźwięku, kiedy będziecie upadać na dno ładowni, bo śmieciarze bacznie to obserwują.

Po trzeszczeniu łóżek poznałem, że pokiwali głowami.

– Śmieciarka jeździ na wysypisko koło Evans. To trzydzieści kilometrów stąd, więc nikomu nie przyjdzie do głowy, że jesteście z Liep. Dalej będziecie mogli spokojnie łąpać stopa albo pojechać autobusem.

Po chwili znów usłyszałem skrzypienie. W końcu po długiej przerwie rozległ się głos Victora:

– To jeszcze siedem dni.

– Zgadza się.

– Daliśmy ci cztery.

– Na ułożenie planu, a nie na ucieczkę.

– Cztery. Siedem dni to długo.

– No ale jak mnie zabijecie, to nie będzie miał kto zawiązać was w workach.

I znów długa przerwa. A potem dziwny dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Dobiegł z obu górnych łóżek jednocześnie – pomieszanie parskania, dyszenia i zgrzytu nienasmarowanych zawiasów. Po pewnym czasie zrozumiałem, że bliźnięta się śmiały.

Tej niedzieli miałem nieoczekiwaną wizytę. Przyjechała Karen.

Pozwolono nam usiąść w stołówce, Karen trzymała przed sobą nieodłączny notes. Jak zawsze raczej zadawała mi pytania, niż opowiadała o sobie. Pytała o to, jak się miewam i jak mijają mi dni, o ludzi z Liep, o jedzenie, o łóżka i o książki, które czytam. Notowała moje odpowiedzi, kiedy mówiłem, jak to jest przebywać w zamknięciu, co mi się śniło w nocy, dlaczego uważam, że nikt mi nie wierzy. Czy wciąż tak samo pamiętam to, co się stało? To znaczy, że Tom został zjedzony przez telefon, a Grubas przeobraził się w owada?

– Dlaczego to wszystko zapisujesz? – spytałem.

Karen się rozejrzała, jakby w pustej stołówce ktoś mógł nas podsłuchiwać, potem nachyliła się i szepnęła:

– Chcę spróbować rozwiązać zagadkę Imu Jonassona.

– Dlaczego?

Przez chwilę patrzyła na mnie zaskoczona.

– Ponieważ odnalezienie go będzie dobre dla ciebie, Richard. I dobre dla mnie. Tak, dobre dla nas wszystkich.

– Dla wszystkich?

– Owszem.

– Dlaczego?

– Bo uważam, że on może być groźny, jeśli nic nie zrobimy.

– O czym ty mówisz?

Karen jeszcze bardziej zniżyła głos.

– Pani Zimmer nie powiedziała nam o Imu Jonassonie wszystkiego.

– To znaczy?

– Nie wysłano go do zakładu dlatego, że pił szczurzą krew, cuchnął czy ukradł rower. On podpalił dom swoich rodziców.

– Co?

– Oboje spłonęli żywcem.

– Naprawdę?

Karen pokiwała głową, zaznaczyła stronę różową spinką do włosów i zamknęła notatnik.

– Przeczytałam o tym w kronice. To znaczy nie o Imu, tylko o tym, że był pożar i kto w nim zginął. A teraz przypuszczam, że on wrócił do Ballantyne.

– Przecież mówiłem! – zawołałem, lecz zaraz ściszyłem głos, bo zobaczyłem, że „animator” nam się przygląda. – Mówiłem przecież, że widziałem jakiegoś człowieka w domu w Lustrzanym Lesie.

– Richard, nie możesz wiedzieć, czy to był Imu Jonasson.

– Mogę, ja... – Nie bardzo potrafiłem jej to wyjaśnić, ale mimo wszystko dokończyłem: – ...rozpoznałem go.

Karen popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Jak to?

– Nie wiem. – Dotknąłem ręką czoła, rozpalonego jak od gorączki. – Wiem tylko, że już gdzieś widziałem tę twarz – szepnąłem.

– Jesteś chory? – Karen przyjrzała mi się z troską.

– Nie, tylko akurat trochę dużo się tu dzieje.

Dobiegło nas trąbienie auta.

– U mnie też – stwierdziła Karen. – Najwyraźniej ktoś nie może się już mnie doczekać.

– Co to za ktoś? – Tak mnie zaskoczyły jej odwiedziny, że nawet nie spytałem, jak się tu dostała.

– Oscar – odparła, uśmiechnęła się przelotnie i schowała notatnik do torby.

– Oscar? Przecież on nie ma jeszcze szesnastu lat i nie może jeździć samochodem.

– Tu nie jest miasto, a u nas tak bardzo się tego nie przestrzega. Oscar skończył piętnaście lat i ma prawo jazdy uczącego się.

– Aha. Do Hume też cię woził?

– Do Hume?

– Do kina. Na jakiś stary film z rodzaju tych, które lubisz.

Gotów byłem odgryźć sobie język, ale było już za późno. W każdym razie poczułem pewną ulgę, kiedy Karen pokręciła głową. Ciekaw byłem, jak zdołała namówić Oscara, żeby jej pomógł w zorganizowaniu wizyty u mnie. Okej, pewnie pomyślał, że skoro już miała taki zamiar, to lepiej jej przypilnować.

Karen wstała.

Odprowadziłem ją do ogrodzenia, gdzie „odpowiedzialny za bezpieczeństwo” patrzył na nas, przytrzymując otwartą bramę. Na placu przed wejściem stał ford granada. Zrobiłem krok do przodu i pojąłem, iż Karen się domyśliła, że chcę ją uściskać. Uprzedziła mnie, wyciągając rękę.

– Uważaj na siebie, Richard.

Zza ogrodzenia patrzyłem, jak chmura kurzu podrywa się za odjeżdżającym samochodem. Było lato, wiał wiatr, a nad monotonnym bezbarwnym krajobrazem unosiła się ta sama szara pokrywa chmur, nie było ciepło ani zimno, ciemno ani jasno.

Rozdział 15

Dni po wizycie Karen straszliwie się wlokły. Byłem jeszcze bardziej ponury niż zwykle, a mająca wkrótce nastąpić ucieczka bliźniąt nie sprawiała mi radości ani nie budziła wielkich emocji.

Którejś nocy przyśniło mi się, że stoję na szczycie wieży obserwacyjnej. Panował mrok, a na parkingu w dole widziałem jedynie obracające się niebieskie światło na dachu wozu strażackiego. Ludzi ledwie dostrzegałem, za to ich słyszałem. Było ich wielu i wołali rytmicznie chórem:

– Skacz, skacz, skacz!

Chciałem usłuchać, ale skąd mogłem wiedzieć, czy te głosy chcą dla mnie dobrze?

– Skacz, skacz, skacz!

Może zależało im tylko na emocjach wywołanych widokiem kogoś spadającego z tak wysoka? Może byli głodni i chcieli mnie zjeść? A może mieli rację? Czy musiałem skakać, żeby ratować siebie? Może nie miałem wyboru. Ale trudno jest skoczyć, trudno komuś zaufać. W chwili gdy podjąłem decyzję, obudziłem się. W ciągu dnia nie myślałem o tym śnie, kiedy jednak znów się położyłem, wciąż słyszałem tamte głosy. Były jak melodia, zacząłem nawet nucić: „Skacz, skacz, skacz!”, aż poczułem, że ta melodia jest smutna, i przestałem śpiewać.

A potem, w środę, dwa dni przed ucieczką, dostałem list, który całkiem odmienił mój nastrój.

W Liep rozmawiałem więcej, niż było to absolutnie konieczne, jedynie z Lucasem. Pracował tu już od czterdziestu lat i pełnił funkcję woźnego oraz bibliotekarza. Z reguły dyskutowaliśmy o książkach. Rzucił mi list na stół w czytelnicy.

– Dziewczyńskie pismo – powiedział tylko.

List był od Karen.

Kochany Richardzie!

Wpadłam na ślad Imu Jonassona! Chyba już wiem, gdzie on przebywa. Ale potrzebuję Twojej pomocy, bo tylko Ty wiesz, jak Jonasson teraz wygląda. Czy istnieje możliwość, żebyś dostał przepustkę na parę dni i przyjechał tutaj?

Twoja Karen

PS Wiem, że nasze ostatnie pożegnanie mogło wydawać Ci się dość chłodne, ale Oscar nas obserwował. Wbił sobie do głowy, że on i ja zostaniemy parą, a nie miałam siły zmagać się z jego złym humorem przez całą długą drogę do domu. Wprawdzie jeden uścisk nie oznacza, że jest się parą, ale dobrze wiesz, jak zazdrośni potrafią być goście, którzy lubią rządzić, tak jak Oscar.

Przeczytałem list jeszcze kilka razy, konkretnie dwanaście. I z tej wstępnej analizy wyciągnąłem następujące wnioski:

- Karen postanowiła zacząć od „Kochany Richardzie” zamiast od „Cześć, Richard”, jak ja bym napisał do niej, to znaczy napisałbym „Cześć, Karen”.
- Karen ewidentnie miała ochotę mnie uściskać.
- Karen nie uważa mnie za samca alfa.
- Karen znajduje powody, aby podkreślić, że ewentualny uścisk miałby charakter przyjacielski, tak samo jak ja bym zrobił. Ale w moim przypadku byłoby tak, ponieważ śmiertelnie bym się bał nie o to, że mnie źle zrozumie, tylko o to, że mnie zrozumie.
- Karen podkreśla, że nie chce być dziewczyną Oscara. Czy pisze o tym, ponieważ sądzi, że jestem zazrosny, bo przyjechali tu razem? Dlaczego dba o moje uczucia?
- Karen nie chce, żeby Oscar był zazrosny. Dlaczego dba o jego uczucia?

Oparłem głowę na rękach. Boże, ależ miałem w niej bałagan!

Przeczytałem więc list jeszcze raz. I zdecydowałem: najważniejsze jest to, że Karen chce, abym przyjechał do Ballantyne.

– Dobre wieści? – Lucas uśmiechnął się przebiegle i wręczył mi szczotkę, co oznaczało, że mam zamieść malutką bibliotekę przed zamknięciem.

– To od koleżanki z Ballantyne – powiedziałem. – Chce, żebym ją odwiedził.

– A ty masz na to ochotę?

– Wielką.

– Wobec tego... – Lucas zabrał mi szczotkę. – ...będziesz potrzebował przepustki.

– A można coś takiego dostać?

– Jeśli się napisze podanie i poprosi o możliwość odwiedzenia rodziny. Ci, którzy się dobrze sprawują, prawie zawsze dostają przepustki na weekend. Usiądź, a ja ci zaraz przyniosę papier i długopis.

Tak też się stało. Lucas sam wziął się do zamykania, a ja w tym czasie napisałem podanie.

Do dyrektora szkoły

Niniejszym proszę o udzielenie mi przepustki na przyszły weekend, ażebym mógł pojechać do Ballantyne i odwiedzić moich przybranych rodziców. Pragnę zauważyć, że nie mam żadnych uwag o złym zachowaniu.

Z poważaniem

Richard Elauved

– Świetnie – ocenił Lucas, opierając się o szczotkę. – Teraz musisz to zanieść do sekretariatu, a ja dam ci referencje, gdyby okazały się potrzebne.

Wybiegłem lekkim krokiem i przeciąłem plac, pędząc do budynku administracji. Zobaczyłem, że jeden odpowiedzialny za bezpieczeństwo, ten przy bramie, bacznie mnie obserwuje, a drugi, na wieżyczce, przygląda mi się uważnie przez lornetkę. Nie przywykli do tego, by ktokolwiek tutaj biegał. Zadzwoiłem do drzwi podłużnego piętrowego budynku biurowego i zaraz odpowiedział mi metaliczny głos pani Monroe. Wyjaśniłem, z jaką sprawą przychodzę. Po kilku sekundach pani Monroe otworzyła. Była nieprzyjemną, choć zabawną kobietą, stale żuła gumę, miała nadwagę i gwałtowny temperament. Twierdziła, że jedynym przywilejem, jaki mają kobiety w świecie zdominowanym przez mężczyzn, jest bezkarne wymierzanie policzków beczelnym młodym łobuzom. Podałem jej kartkę, przeleciała ją wzrokiem i wskazała mi schody. Spojrzałem na nią pytająco.

– Szybko, bo ja też umiem biegać – syknęła. – Gabinet dyrektora to ten z czerwonymi drzwiami. Tylko bez wygłupów. Daję ci dwadzieścia sekund.

Wbiegłem na górę i zapukałem. Zza drzwi słyszałem głos dyrektora, chyba rozmawiającego przez telefon. Brzmiał miękko jak zawsze, zwłaszcza kiedy dyrektor się złościł. Zapukałem jeszcze raz. Czekaając, patrzyłem na oprawione w ramki fotografie, których cały rząd wisiał na ścianie korytarza. Na każdej widniał

rok, ale poza tym były prawie identyczne: czterdzieści czy pięćdziesiąt osób ustawionych na schodach przed głównym budynkiem, najwyraźniej mieszkańcy i pracownicy Liep z danego roku. Usłyszałem, że dyrektor mówi do telefonu „tak” i „ojej”, a jego kroki zbliżyły się do drzwi. W tej samej chwili moje spojrzenie zatrzymało się na jednej z twarzy na zdjęciu wiszącym najbliżej drzwi. To znaczy, gdyby to nie była fotografia, powiedziałbym, że to ta twarz mnie dostrzegła.

Od razu gdy to zobaczyłem, wiedziałem, że nie powinienem być zaskoczony. A mimo to poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi w brzuch sopel lodu.

Błada twarz wpatrywała się wprost w obiektyw, a zarazem we mnie. Tak samo jak wpatrywała się we mnie oprawiona w ramę okna domu w Lustrzanym Lesie.

Czerwone jak krew drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich dyrektor.

Był wysoki, chudy i miał łagodne spojrzenie, które na początku potrafiło zwieść każdego.

– Rozumiem pani zaniepokojenie, pani Larsson – powiedział.

Zobaczyłem, że spiralny przewód telefoniczny od słuchawki jest tak napięty, że aż drży, ciągnąc się od aparatu na biurku w zaskakująco małym gabinecie, którego wnętrza nigdy wcześniej nie widziałem.

Dyrektor zerknął na kartkę, gdy mu ją podałem, potem na mnie i kiwnął głową, nie odsuwając słuchawki od ucha, po czym zamknął drzwi. Jeszcze raz rzuciłem okiem na to zdjęcie. To był on. Biegiem wróciłem na dół.

– Dwadzieścia pięć sekund – stwierdziła pani Monroe z kwaśną miną, blokując drzwi swoim potężnym ciałem. – Ukradłeś coś albo zniszczyłeś?

– Dzisiaj nie – odparłem.

Pani Monroe uniosła brew i zobaczyłem, że szykuje już dłoń do ciosu, a umalowana na czerwono górna warga lekko się unosi. Zaraz jednak jej ciało zaczęło się trząść i parsknęła śmiechem. Odsunęła się na bok.

Kiedy wbiegłem do biblioteki, Lucas ciągle zamiatał.

– Czy tu, w Liep, był kiedyś chłopak, który nazywał się Imu Jonasson? – spytałem zdyszany.

Bibliotekarz podniósł głowę.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo przed chwilą widziałem go na zdjęciu w budynku administracji.

- No to już wiesz, więc po co się dopytujesz?
- Bo widziałem go tylko jako dorosłą osobę, a ludzie przecież się zmieniają.
- Taki jesteś tego pewien?
- A pan nie?

Lucas westchnął ciężko.

– Widzisz, pracuję tu, ponieważ mam nadzieję, że przynajmniej wszyscy młodzi ludzie mogą się poprawić. Ale w gorsze dni można mieć wątpliwości, to jasne.

- Pamięta pan Imu Jonassona?
- Oczywiście.
- Co się z nim stało?
- No właśnie. Tego nikt tu nie wie.
- Co pan przez to rozumie?

Lucas westchnął jeszcze ciężiej, skojarzyło mi się to z kroplami kapiącymi w domu w Lustrzanym Lesie. Odstawił szczotkę pod ścianę.

- Napijiesz się herbaty?

Rozdział 16

– W ciągu czterdziestu lat, które tu przepracowałem, przychodziło i odchodziło wielu młodych – zaczął Lucas. Jeszcze nawet nie tknął swojej filiżanki. – Staruszek jak ja nie jest w stanie spamiętać ich wszystkich, ale takiego chłopaka jak Imu Jonasson niełatwo zapomnieć. Pierwszy raz zobaczyłem go, kiedy tu przyszedł i spytał o książkę o magii.

– O czarnej magii słów?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Rzeczywiście, zgadza się. Ale my tu nie mamy takich książek.

– Jakich?

– Książek, które mogą... zawrócić młodym ludziom w głowie. Nie wiedziałem przecież, że ten chłopak już miał pomysły, jakich nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

– To znaczy?

– Imu Jonasson był nie tylko zepsutym chłopcem. On był zły. Rozumiesz, Richard? Zły! – Lucas patrzył na mnie, jakby chciał się upewnić, że ciężar tego słowa dociera do mnie w pełni. – Jego zło ciągle tkwi w tych ścianach. Kiedy uciekł, odetchnęliśmy z ulgą. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy wiedzieli, że ówczesny dyrektor wstrzymał się z podniesieniem alarmu dwa dni, żeby dać chłopakowi szansę na oddalenie się i uniemożliwić jego powrót.

– Udało mu się uciec?

– Owszem.

Wypiłem łyk herbaty.

– A co on zrobił aż tak złego?

Bibliotekarz założył ręce na piersi i zmierzył mnie wzrokiem, jakby w duchu coś rozważał.

Lucas przekręcił klucz w zardzewiałym zamku i pchnął drzwi. Otoczyło nas zimne, wilgotne powietrze piwnicy. Do mojej twarzy przylgnęła pajęczyna, kiedy

weszliśmy do pokoju wielkości schowka na szczotki, dwa na dwa metry. Jedyнным meblem było wąskie łóżko.

– Trzymaliśmy Imu Jonassona tutaj. To było coś w rodzaju... – Lucas szukał innego słowa, ale się poddał. – ...izolatki. Dla tych, którzy stawali się bardzo agresywni. Ale po jego ucieczce tego pokoju użyto tylko trzy razy, zanim kierownictwo wreszcie zdecydowało się całkiem go zamknąć.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy trzej chłopcy, którzy przebywali w tym pokoju po Imu Jonassonie, już po jednej dobie usiłowali odebrać sobie życie. Dwóch pierwszych zaobserwowano podczas śniadania, jak siedzieli, powtarzając pojedyncze zdania i słowa. Później w ciągu dnia jeden próbował się powiesić w swoim pokoju, a drugi skoczył z dachu, ale przeżył.

Zadrzałem. Odebrać sobie życie? Pomieszczenie było bardzo ciemne, nie miało okien, farba się łuszczyła, a zadrapania na ścianie wskazywały, że ktoś, kto miał nóż, bardzo się nudził. No ale przecież ani wandalizm, ani tagowanie nie były w Liep niczym nadzwyczajnym.

– Przypuszczamy, że powtarzane przez nich słowa wzięły się stąd, ze ścian, na których wyrył je Imu Jonasson – ciągnął Lucas. – Lepiej za długo się im nie przypatrywać...

Dopiero gdy oczy dostatecznie przywykły do ciemności, zobaczyłem, że na ścianach wyryte są słowa i liczby. Było od nich aż gęsto, od podłogi po sufit. Tak, widniały nawet na suficie. Pokazałem je zdziwiony.

– Nie mamy pojęcia – powiedział Lucas. – Nie było tu nic, na czym mógłby stanąć, żeby tam dosięgnąć. Nie miał też przy sobie nic ostrego. Jedyne, czego mógł użyć, to paznokcie.

– Paznokcie? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– Mnie nie pytaj.

Odruchowo zacząłem czytać. Było tam słowo zaczynające się od P-A-K-S, prędko jednak odwróciłem wzrok.

– A co się stało z tym trzecim, który który tu nocował?

– Pomalowaliśmy ściany tak, że słowa nie były widoczne. Ale kiedy przyszliśmy następnego dnia, okazało się, że zdarł farbę zębami i paznokciami, a potem próbował rozbić sobie głowę o ścianę. Jak gdyby nie mógł znieść tego, co miał

w środku. Krew... Biedaczysko. Gdyby ta ściana była z cegieł... – Lucas pokręcił głową.

– Teraz znów zamalowaliście ściany.

– Tylko jedną warstwą farby, jak widzisz. Skorzystaliśmy z usług profesjonalnych malarzy, ale po nałożeniu pierwszej warstwy zabrali się stąd i nie chcieli tu wracać. Dlatego trzymamy to pomieszczenie zamknięte i... – Drgnął, jakby wychwycił jakiś dźwięk, którego ja nie usłyszałem.

– Nie powiedział pan, jak on uciekł.

– Ponieważ nie mamy pojęcia, jak do tego doszło. – Lucas rozejrzał się po korytarzu piwnicznym, zapatrzył się w mrok, do którego nie docierało światło gołej żarówki nad naszymi głowami. – Kiedy przyszliśmy rano, drzwi były zamknięte na klucz, ale Imu Jonasson zniknął. Nikt się nie przyznał do wypuszczenia go. Osoby odpowiedzialne tamtej nocy za bezpieczeństwo przysięgały, że nie spały, lecz nie widziały ani nie słyszały nikogo, kto by wychodził. Zauważyły tylko srokę lecącą w blasku księżyca od strony głównego budynku i przelatującą przez ogrodzenie. Nikt tu nie wierzy, żeby sroki miały duszę, ale pewnie o tym wspomnieli, bo w tej okolicy nie ma srok.

– Może sam dyrektor go wypuścił, żeby się go pozbyć?

– Być może. – Lucas sprawiał wrażenie, jakby wyteżał wzrok, bo dostrzegł coś w ciemności na końcu korytarza. – Wiesz, wracajmy już na górę. Dobrze by było, żebyś nikomu nie mówił, że pokazałem ci ten pokój – dodał, zamykając na klucz drzwi na schody prowadzące do piwnicy. – Nikt mi tego nie zabronił, ale nie chcę siać niepotrzebnego strachu w miejscu, gdzie jest tyle niestabilnych dusz.

– Racja – przytaknąłem, powstrzymując się od oczywistego pytania. Skoro nie chciał straszyć takich jak ja, to dlaczego pokazał mi ten pokój?

Tej nocy nie spałem, rozmyślałem o Karen. O tym, na jaki ślad mogła natrafić. O zdjęciu z twarzą, która na mnie patrzyła. A na koniec, tuż zanim zapadłem w sen, o sroce skrzeczącej w lesie. Obudziłem się, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo dzwonił telefon w korytarzu. Leżałem, wsłuchując się w niezakłócone niczym oddechy Victora i Vanessy. Czy miałem któreś z nich obudzić? Nie, położyli się wcześniej, żeby dobrze wypocząć przed jutrzejszą ucieczką po lunchu, o której prawie zapomniałem po tym wszystkim, co się wydarzyło w ciągu dnia. Czekałem, aż dzwonienie ucichnie, ale się nie kończyło. Po tym, co spotkało Toma, trzymałem

się z daleka od telefonów, lecz dzwonienie było niezwykle uporczywe. W końcu poczułem, że jeśli nie umilknie albo jeżeli ktoś nie odbierze tego telefonu, to zwariuję. Spuściłem nogi z łóżka, postawiłem bosc stopy na zimnej podłodze i na palcach wymknąłem się na korytarz.

Telefon wisiał na ścianie między toaletą a wyjściem awaryjnym. Mógł być wykorzystywany tylko do rozmów przychodzących, przełączano je z budynku administracji. Dzwonili na ogół rodzice, przyjaciele lub czyjaś dziewczyna albo chłopak, jeśli ktoś kogoś takiego miał. Frank i Jenny telefonowali wielokrotnie, zawsze jednak znajdowałem wymówkę, żeby nie odbierać, i przekazywałem, że będziemy mogli porozmawiać, gdy następnym razem przyjadą w odwiedziny – a zjawiali się raz w miesiącu. W ogóle mnie nie zdziwiło, że telefon dzwoni w środku nocy, kiedy w budynku administracji nikogo nie ma, tak jak we śnie człowiek się nie dziwi, że może fruwać albo że niebo jest zielone. Mimo to czułem, że włosy jeżą mi się na głowie, a ciało opiera się coraz bardziej, w miarę jak zbliżałem się do dzwoniącego ze złością czarnego aparatu.

Zatrzymałem się tuż przy telefonie, niezdecydowany.

Ręka odmówiła mi posłuszeństwa, kiedy próbowałem ją podnieść, lecz stopy nie chciały wrócić do pokoju, do ciepłego łóżka.

Z każdym dzwonkiem sygnał rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Jak to możliwe, że nikt inny nie wyszedł na korytarz? Wpatrywałem się w wibrujący twardy plastik.

W końcu podniosłem słuchawkę. Wstrzymując oddech, przysunąłem ją delikatnie do skroni, ale nie na tyle blisko, żeby dotknęła ucha.

– Halo? – odezwałem się i usłyszałem drżenie we własnym głosie.

Ktoś nabierał powietrza. To był jasny miękki głos, w pierwszej chwili nie umiałem nawet określić, czy męski, czy kobiecy.

– Mówię tylko to, co jest prawdą.

– Halo? – powtórzyłem.

– Chcę wejść. – To jednak był mężczyzna. – A ty mi otworzysz. Bo jesteś mój. Mówię ci tylko to, co jest prawdą.

– Ja...

– Oni właśnie tego nie znoszą. Prawdy. Wpuszczania jej do środka.

– Muszę już iść – oświadczyłem i chciałem odłożyć słuchawkę, gdy usłyszałem, że ten głos wypowiada jej imię.

– Co? – spytałem, chociaż dotarło to do mnie całkiem wyraźnie.

– Karen – powtórzył.

– Co z Karen?

– Wydaje jej się, że mnie znajdzie. Ale to ja znajdę ją.

– O czym ty mówisz? Kim jesteś?

– Dobrze wiesz. Ona spłonie. Ta, którą kochasz, spłonie. Nic na to nie poradzisz. Bo jesteś mały, słaby i tchórzliwy. Jesteś śmieciem. Słyszysz? Jesteś śmieciem. I masz mi otworzyć.

Rzuciłem słuchawkę. Trząsałem się na całym ciele, jakbym był chory i miał wysoką gorączkę. Na ścianie nad telefonem wryte było jedno słowo; rozpoznałem pismo i zacisnąłem oczy, zanim zdążyłem cokolwiek przeczytać. Słuchałem własnego drżącego oddechu. Musiałem wrócić do pokoju. Z nadal zamkniętymi oczami, dotykając ściany koniuszkami palców, ruszyłem korytarzem; czułem, jak serce wali mi w piersi, a słowa dźwięczą w uszach. Śmieć. Spłonać. Śmieć. Spłonać. Nie widzieć. Nie czytać. Zrobiło się zimno. Powietrze wydawało się lepkie i wilgotne, kiedy palce wreszcie przesunęły się po glinie, trafiając na coś, co rozpoznały jako drzwi, i odnalazły klamkę. Nacisnąłem ją i pociągnąłem drzwi do siebie.

Były zamknięte.

Otworzyłem oczy. To nie były drzwi do sypialni. Rozejrzałem się. Trafiłem z powrotem do piwnicy, a to były drzwi do pokoju, w którym siedział Imu. W zamku tkwił klucz. Śmieć. Płonać. Śmieć. Chwyciłem klucz w dwa palce, przekręciłem i otworzyłem drzwi. Wbiłem wzrok w ciemność. Nic nie widziałem, miałem jednak wrażenie, że coś tam w środku oddycha. Puściłem więc klamkę i rzuciłem się do ucieczki. Biegłem. Ale moje nogi jakby w coś ugrzęzły. W śmieciach. Zapadłem się w śmieci.

Obudziłem się, gwałtownie drgając. W pokoju coś się odmieniło. Światło. Światło z okna. Podciągnąłem się na łóżku, wyjrzałem i stwierdziłem, że po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Liep świeci słońce. Nad moją głową Victor i Vanessa siedzieli na swoich łóżkach i majtali nogami.

– Słyszeliście, jak dziś w nocy dzwonił telefon? – spytałem, wycierając koszmar z oczu.

Popatrzyli na mnie i pokręcili głowami.

– To dobrze, chciałem się tylko upewnić, że to był sen. – Wstałem i zacząłem się ubierać.

– Pamiętaj, że masz poczekać z przyjściem do kuchni dwadzieścia minut po skończonym lunchu – powiedziała Vanessa. – Bo wtedy kucharz pójdzie się położyć.

Pokiwałem głową. Przerobiłem z nimi ten stosunkowo prosty plan ucieczki co najmniej dwadzieścia razy, aż wreszcie to oni zaczęli powtarzać szczegóły i dyrygować mną, jakby sami to wymyślili.

Podczas śniadania spytałem jeszcze parę osób z naszego korytarza, czy słyszały w nocy dzwonek telefonu, a kiedy i one zaprzeczyły, postanowiłem o wszystkim zapomnieć.

Na lekcjach słuchałem tylko jednym uchem, cały czas powtarzając w myślach list Karen, słowo po słowie. Rozmyślałem też o tym, w jaki sposób dostanę się do Ballantyne, kiedy już dadzą mi przepustkę. Nie widziałem tu nigdy żadnego autobusu, ale może jednak szosą coś jeździ? A gdyby tak poprosić Lucasa, żeby mnie gdzieś podwiózł? Nagle coś mi przyszło do głowy. Jeśli mój udział w ucieczce bliźniąt zostanie ujawniony, to z całą pewnością nie dostanę przepustki. Spojrzałem na zegarek. Do lunchu została jeszcze godzina. Przez chwilę rozważałem, czy nie donieść dyrektorowi o planach ucieczki, nie wyjaśnić mu, że wcale nie zamierzałem im pomagać, tylko udawałem ze strachu o własne bezpieczeństwo. Prędko jednak zrezygnowałem z tego pomysłu. Dużo można było o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem donosicielem. No, może raczej przeważał fakt, że widziałem, co się z donosicielami dzieje. Musiałem zaryzykować, licząc, że wszystko pójdzie tak, jak powinno.

Rozdział 17

Podczas lunchu porozumiewałem się wzrokiem z Victorem i Vanessą za każdym razem, gdy kulejąc, przechodzili przez wahadłowe drzwi do kuchni. Personel kuchenny w Liep zamiast fartuchów miał długie białe kitle i wysokie szpiczaste czapki, które kojarzyły mi się z Ku Klux Klanem. W pracy byli dwaj kucharze plus bliźnięta, które nosiły metalowe półmiski z rybą, ziemniakami i gotowanymi warzywami na ladę oraz w miarę potrzeby zabierały tace z brudnymi naczyniami. Za każdym razem gdy nasze spojrzenia się krzyżowały, bliźnięta kiwały głowami, wszystko pod kontrolą. Spojrzałem na zegar nad drzwiami, do przyjazdu śmieciarki została godzina.

Kiedy już zjadłem i odniosłem talerz ze sztuccami na tacę ustawioną w okienku, podszedł do mnie Lucas.

– Dyrektor chce z tobą rozmawiać.

Serce podskoczyło mi w piersi. Moje podanie o przepustkę!

Znów spojrzałem na zegarek. Do przyjazdu śmieciarki wciąż miałem jeszcze trzy kwadransy, więc nie było stresu. Przebiegłem przez plac do budynku administracji jeszcze szybciej niż ostatnio. Odpowiedzialni za bezpieczeństwo przy bramie i na wieżycy widzieli mnie, ale wydawali się mniej zainteresowani niż poprzednim razem. Na placu przed ogrodzeniem z drutu kolczastego stał zielony samochód z rodzaju tych, jakie widziałem już wcześniej. Tym razem to nie pani Monroe mi otworzyła, lecz sam dyrektor.

– Chodź za mną – polecił tym swoim niepokojąco łagodnym głosem.

W milczeniu weszliśmy schodami na piętro. Uświadomiłem sobie, że raczej nie jest to zwykła procedura otrzymania nędznej przepustki. Czyżby coś się stało? Zadzwoił do Franka i Jenny, którzy nie słyszeli o żadnej przepustce? Albo, co gorsza, bliźnięta wygadały się przed kimś o ucieczce i ten ktoś doniósł?

Dyrektor przytrzymał przede mną czerwone drzwi, więc wszedłem do środka. I zatrzymałem się gwałtownie, widząc twarz mężczyzny siedzącego za biurkiem. Ręce trzymał założone za głowę, w milczeniu skinął nią dyrektorowi. Drzwi za

mną się zamknęły i zrozumiałem, że zostałem sam na sam z mężczyzną za biurkiem.

Samochód za ogrodzeniem. Ta sama marka, tylko inny kolor.

To był agent Dale.

– Słyszałem, że starasz się o przepustkę – zaczął. – Masz dość Liep na jakiś czas?

Nie odpowiedziałem.

– Słyszałem też, że zachowujesz się wzorowo, a ponieważ większość z tych, którzy otrzymują przepustki, zachowuje się znacznie gorzej niż ty, powinieneś ją dostać bez problemu. Prawdę mówiąc, jesteśmy skłonni przyznać ci wyjątkowo długą przepustkę. Co ty na to?

Wciąż milczałem, tylko przełknąłem ślinę.

– Może nawet wyszedłbyś stąd na zawsze, Richard. Nie brzmi interesująco?

– Owszem – wykrztusiłem.

– Świetnie! – Dale opuścił ręce i klasnął w dłonie. – Na pewno to załatwimy. Pod jednym warunkiem.

Czekałem na refren.

– Że powiesz nam, co się naprawdę stało z Tomem i Jackiem.

Spuściłem głowę i zapatrzyłem się w swoje adidasy. Znów przełknąłem ślinę.

– Ja to zrobiłem – odezwałem się cicho.

Dale się rozjaśnił i wyjął coś spod marynarki. Tym razem nie pistolet, lecz nieduży magnetofon kasetowy w czarnej perforowanej skórze. Umieścił go na biurku między nami.

– Co zrobiłeś? Wepchnąłeś ich do rzeki?

– Nie. – Podniosłem wzrok i spojrzałem na Dale'a. – Ja to zrobiłem. A co się stało, już powiedziałem. Naprawdę. No wie pan... Telefon i tak dalej.

Dale długo na mnie patrzył. W końcu ciężko westchnął, złączył palce obu dłoni i wolno pokręcił głową.

– Oj, Richard, Richard. Proszę cię, tylko mi nie mów, że przyjechałem z tak daleka na próżno.

Nie będzie żadnej przepustki. Poczuję ściskanie w gardle.

– Agencie Dale, niech mi pan pozwoli pojechać do Ballantyne. Tylko na dwa dni. Niech mi pan da dwa dni, żebym się dowiedział, co się stało z Tomem i Jackiem.

Dale przyglądał mi się badawczo.

– Wiesz, wydaje mi się, że teraz jesteś jeszcze bardziej zatwardziały, niż kiedy cię poznałem. Nauczyłeś się kłamać tak, że nawet agent policji federalnej prawie ci uwierzył. To takich rzeczy uczą w Liep?

Przez chwilę miałem ochotę spełnić jego życzenie i oświadczyć, że tak, to ja zabiłem Toma i Jacka. Wątpiłem jednak, by po takim wyznaniu pomógł mi zdobyć przepustkę.

– Bardzo pana proszę – szepnąłem, czując łzy cisnące się do oczu.

Widziałem, że Dale się waha.

– No i jak?

Nie usłyszałem, jak dyrektor wszedł, ale stał już w otwartych drzwiach za moimi plecami.

Dale poderwał się tak szybko, że sprężyny obrotowego krzesła zajęczały. Minę miał wściekłą i zrozpaczoną.

– Bardzo proszę, dyrektorze, oddaję go panu. Niech pan go dobrze pilnuje. W końcu ulegnie.

Decyzję podjąłem, przechodząc przez plac z powrotem do głównego budynku. To nie było trudne. Pobiegłem do siebie i wsunąłem rękę za szafkę, gdzie ukryłem kilka banknotów, których bliźnięta jeszcze nie wywęszyły.

Potem opuściłem pokój z nadzieją, że robię to już po raz ostatni.

I właśnie wychodząc, zauważyłem, że słuchawka nie leży na widelkach, tylko zwisa na kablu nad podłogą. Wydobywał się z niej chyba jakiś dźwięk...

Podszedłem bliżej, ale znieruchomiałem. Znów poczułem, że włoski jeżą mi się na całym ciele. Dźwięk. Siorbanie. Ten sam odgłos co wtedy, gdy pożarty został Tom. Potem siorbanie ucichło, jakby głos usłyszał, że nadchodzę. Zaczął mówić:

– Jesteś śmieciem. Ona spłonie. Jesteś śmieciem...

Odwróciłem się i prędko ruszyłem do wyjścia. Za moimi plecami głos zaczął tak krzyczeć, że dźwięk był zniekształcony:

– Ona spłonie! Jesteś...!

Zasłoniłem uszy rękami i wybiegłem na światło słońca.

– Uciekam z wami – oznajmiłem, kiedy Victor i Vanessa zobaczyli, że przetoczyłem z tylnego podwórza do kuchni nie dwa, lecz trzy kontenery.

Popatrzyli na mnie, potem na siebie, a potem tylko kiwnęli głowami. Czyli w porządku.

Kucharze po wydaniu lunchu jak zwykle poszli się położyć, pozostawiając zmywanie bliźniętom. Wrócą dopiero, gdy będzie się zbliżała pora obiadu, a do przyjazdu śmieciarki ciągle jeszcze był czas.

Wyciągnęliśmy dość śmieci, by zmieścić się w kontenerach. Victor i Vanessa zostali w fartuchach, żeby nie pobrudzić ubrań, które mieli pod spodem, po czym wleźli do kontenerów i naciągnęli na siebie worki na śmieci. Zrobiłem po tuzinie dziur w czarnym plastiku, zanim się skulili, a ja zawiązałem worki.

Odprowadziłem trzy kontenery z powrotem na tylne podwórze. Wiedziałem, że nie widać nas ani z bramy, ani z wieżyczki, ale na wszelki wypadek rozejrzałem się, żeby się upewnić, czy nie obserwuje nas nikt inny. Potem sam wdrapałem się do wolnego kontenera, zamknąłem pokrywę i wsunąłem się do worka na śmieci, który tam przygotowałem. Trudniej było zawiązać własny worek, ale jakoś mi się to udało. Teraz pozostało już tylko czekać.

Było cicho. Tak cicho, że nie mogłem wyrzucić z uszu dźwięku słów ze słuchawki telefonicznej.

Wreszcie usłyszałem śmieciarkę. Potem kroki. Straciłem równowagę, kiedy kontener zaczął się poruszać, a kółka zaturkotały po asfalcie. Odgłos podnośnika hydraulicznego powiedział mi, że unoszę się w powietrzu, i poczułem łaskotanie w brzuchu. Wkrótce nastąpi upadek. Ale kiedy nastąpił, stało się to tak szybko, że nie zdążyłem nawet pomyśleć; zarejestrowałem tylko, że lądowanie było zaskakująco miękkie. A poza tym głos w mojej głowie ucichł.

Gdy jednak śmieciarka ruszyła i po dziesięciu–piętnastu minutach kołysanie zaczęło mnie usypiać, głos powrócił. Aby się od niego odciąć, cicho śpiewałem: *It's a long way to Tipperary. It's a long way to go. It's a long way to Tipperary. But my heart's right there.*

Powtarzałem ten refren raz za razem, starając się myśleć o czymś innym. O Karen leżącej na dachu szkoły, wpatrzonej w chmury na niebie. O unoszeniu się

z prądem rzeki, kiedy się leży na plecach. O wypływaniu na brzeg wyspy na morzach południowych, gdzie inni młodzi ludzie są twoimi przyjaciółmi.

Wyszło słońce, temperatura wzrosła i w worku zaczęła się zbierać wilgoć. A razem z ciepłem dotarł też do mnie ostry świdrujący smród odchodów. Pieluchy. Sądziłem, że leżę w pewnej odległości od nich, bo odór był raz mocniejszy, raz słabszy, ale ktoś, najprawdopodobniej Victor, musiał leżeć bliżej, bo wkrótce usłyszałem ewidentny odgłos wymiotów. Już sama myśl o tym, że on puszcza pawia we własnym worku, mnie też prawie pobudziła do rzygania. Bo umowa, którą zawarliśmy, była jasna. Nikt nie wychodzi z worka, dopóki nie wyrzucą nas na wysypisko, a nawet wtedy musimy policzyć do stu, zanim rozerwiemy worki. Gdyby złapali jedno z nas, złapaliby wszystkich. Owca

Po pewnym czasie Victor zaczął coś wołać, więc wystraszyłem się, że śmieciarze w szoferce nas usłyszą. Potem usłyszałem głos Vanessy. Powiedziała cicho coś, czego nie rozumiałem, wtedy Victor się uspokoił.

Nie mogłem dostrzec wskazówek na swoim zegarku, ale wydawało mi się, że minęło około godziny, kiedy śmieciarka w końcu zwolniła, ostro skręciła w lewo i zmieniono bieg na niższy. Jednocześnie poczułem nowy zapach. Zdrętwiałem.

Dym.

Nie pytałem o to, bo w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Że wysypisko może się okazać spalarnią. Że u kresu podróży ładownia przechyli się, a jej zawartość zostanie opróżniona do pieca, aby tam pochłonął ją ogień. Mimo to nagle jakbym otrzymał odpowiedź na pytanie, którego nie zadałem, jakby przepowiednia, o której zapomniałem, miała się ziścić.

To nie Karen miała spłonąć, tylko ja.

Serce biło mi coraz szybciej, ale się nie ruszałem. Nie wiem, czy wynikało to z apatii, z tego, że nie miałem już sił na nic więcej lub że coś we mnie zaakceptowało taki los. Śmieciarka zahamowała, w końcu całkiem się zatrzymała, zazgrzytało w skrzyni biegów, cofnęliśmy się, a moment później poczułem, że się poruszam, ześlizguję wolno, potem coraz szybciej. Zacząłem spadać.

I znów wylądowałem na czymś miękkim.

Zapach dymu nabrał intensywności, nie słyszałem jednak ryku płomieni. Usłyszałem natomiast, że śmieciarka znów rusza. Koła zachręściły o żwir i powoli zaczęły się oddalać. Gdy zapadła cisza, dobiegło mnie ciche mamrotanie:

– Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

Dalej leżałem, nasłuchując innych odgłosów, które powiedziałyby mi coś o sytuacji.

Nic.

Palcem odnalazłem jeden z otworów wentylacyjnych w worku i przyłożyłem do niego oko. Zobaczyłem jedynie falujące kolorowe morze śmieci i smugę dymu wznoszącą się zza grzbietu jednej z fal.

– Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem...

Naraz coś wylądowało na moim worku, a następnie coś ostrego, jakby szpon, przebiło plastik i złapało mnie za ramię. Krzyknąłem odruchowo, wyrrywając się. Odpowiedzią na mój krzyk był zimny skrzek i chwilę potem napastnik zniknął.

Wyjrzałem przez rozdarcie, jakie pozostawił, i zauważyłem odlatującą wielką tłustą mewę. Ponieważ już byłem odsłonięty, ukląknęłam i powiodłem wzrokiem po horyzoncie śmieci, przerwany jedynie rampą rozładunkową, z której śmieciarka wyrzuciła swój ładunek. Dopiero kiedy wstałem, zobaczyłem szosę – bezgłośnie przejeżdżała po niej ciężarówka z drewnem. Na drugim końcu wysypiska w odległości jakichś stu metrów od nas dostrzegłem wrak samochodu. Zbitą z desek szosę z wąskim zardzewiałym kominem. Kolumnę białego dymu wznoszącego się ku niebu. I mężczyznę.

Schyliłem się, ale wiedziałem, że jest za późno. Mężczyzna siedzący przed szopą na kempingowym krzeselku musiał mnie zobaczyć. Podpełzłem do worka ze śmieciami, który w swoim liczeniu dotarł do czterdziestu pięciu, i rozerwałem go. Vanessa przestała liczyć i spojrzała na mnie.

– Trzeba spadać, zostaliśmy odkryci – szepnąłem. – Gdzie Victor?

Vanessa rezolutnie wskazała worek leżący nieco na prawo od nas. Ponieważ wszystkie worki były takie same, nie miałem pojęcia, skąd mogła wiedzieć, że jej brat jest akurat w tym, ale nie zamierzałem pytać.

Kiedy wszyscy troje wydostaliśmy się już z worków, a od strony szopy wciąż nie dochodziły żadne odgłosy, podniosłem się prędko i zaraz znów przykucnąłem. Mężczyzna miał coś na głowie. Wyglądało to na cylinder.

– On tam ciągle siedzi – poinformowałem szeptem. – Może jednak nas nie zauważył. Może uda nam się przepełznąć w stronę szosy.

Vanessa się skrzywiła.

– Chcesz powiedzieć, że mamy się czołgać przez śmieci?

Nie wiem, kiedy zrobiła się taka delikatna, może myślała o kolejnych stertach pieluch.

– Szczury – wyjaśniła, jakby czytała mi w myślach.

– Skąd wiesz... – zacząłem.

– Na wszystkich wysypiskach są szczury. Wielkie i w dodatku gryzą.

Coś mi powiedziało, że mówi z własnego doświadczenia, więc się zamknąłem, rozważając inne możliwości wydostania się stąd.

Za naszymi plecami Victor coś powiedział, wcale nie szeptem. Odwróciłem się i ku swojemu przerażeniu zobaczyłem, że stoi wyprostowany, w pełni widoczny.

– Schyl się! – syknąłem.

Ale on stał dalej. I jakby to nie wystarczyło, zaczął wymachiwać rękami nad głową.

Złapałem go za kucharski fartuch, próbując ściągnąć na dół.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem szeptem.

– Ten facet jest ślepy – stwierdził Victor.

– Co?

– Ślepy. Nie widzi.

– Wiem, co... – Wstałem i spojrzałem na mężczyznę. Wciąż siedział nieruchomo. Ale skąd Victor mógł wiedzieć, że jest ślepy?

– On ma rację! – Wołanie mężczyzny siedzącego na kempingowym krzeselku rozniosło się po całym wysypisku. – Ślepy jak kret!

Rozdział 18

– Jeden ślepy, dwoje kulawych i jeden przestraszony – powiedział ze śmiechem mężczyzna na krzeselku.

Staliśmy przed nim we troje: Vanessa, Victor i ja. Żadne z nas nie odezwało się jeszcze ani słowem, tylko mu się przyglądaliśmy. Był ubrany w nieco za duży czarny garnitur z białą koszulą, miał cylinder na głowie i białe rękawiczki. Twarz pod cylindrem była czarna, ale broda i uśmiech białe. Oczy pokrywała błona, która skojarzyła mi się z jeziorkiem w Lustrzanym Lesie; jego tafla była wtedy pokryta gronami żabiego skrzeku, który obrzucałem kamieniami, żeby sprawdzić, czy wzbudzi to we mnie jakieś wyrzuty sumienia. Wzbudziło. Ale rzuciłem kolejnym kamieniem.

Popatrzyliśmy na siebie pytająco.

– To dzięki nim. – Mężczyzna wskazał na największą parę uszu, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Uszy były wielkości spodków. – Wy dwoje chodźcie w rytmie shuffle, a ty... – Skierował w moją stronę czarną laskę zakończoną błyszczącą mosiężną kulą. – ...oddychasz szybko i płytko. Spokojnie, nie ma się czego bać. Przyjechaliście ze śmieciami?

– Nie – zaprzeczyła szybko Vanessa.

– To było pytanie retoryczne, moja droga. Wiem, że przyjechaliście ze śmieciami. Ze śmieciarki nikt nie wysiadł, poza tym podeszliście do mnie, brodząc w śmieciach, a nie drogą. – Znów wskazał na swoje olbrzymie uszy. – Nikt nie zdoła podkraść się niezauważony do starego Feihty. Dokąd się wybieracie?

– Na południe – odparłem. – Albo na północ. To zależy. Jak można się stąd wydostać?

– Jeśli nie macie samochodu, to zostaje wam autobus.

– Kiedy odjeżdża?

– Raz dziennie. Obawiam się, że poprzedni odjechał dwie godziny temu.

Nasza widząca trójka wymieniła spojrzenia.

– Będziemy musieli łapać stopa – oświadczyłem.

Czarny mężczyzna na kempingowym krzeselku serdecznie się uśmieł.

– Co jest takie śmieszne? – spytałem.

– Nikt tutaj nie próbował jeździć autostopem ani zabierać autostopowiczów od trzydziestu lat. Od zastrzelenia Hardy’ego. Nie sądzę, żeby ktoś zechciał gdzieś was podwieźć.

– Dlatego że trzydzieści lat temu jakiś autostopowicz strzelił do kierowcy, który nazywał się... hm... Hardy?

– Owszem, ale na tym się nie skończyło. – Ślepiec westchnął. – Hardy też strzelał do autostopowicza. Dlatego nikt tutaj ani nie łapie stopa, ani nie zabiera autostopowiczów.

– O rany.

– To właściwa reakcja. Chcecie usłyszeć dalszy ciąg tej historii?

– Nie, dziękujemy – powiedziałem. – Musimy ruszać.

– Autobus będzie dopiero za dwadzieścia dwie godziny. – Mężczyzna machnął ręką. – No więc policja doszła do wniosku, że Hardy, który wcześniej siedział za napad, szukał ofiary. A młodemu autostopowiczowi chodziło o to samo.

Spojrzałem na Victora i Vanesę, którzy tylko wzruszyli ramionami.

– Oba mieli broń – ciągnął mężczyzna. – Więc strzelali do siebie, samochód dalej się toczył, aż w końcu uderzył w słup z nazwą hrabstwa Winterbottom, a tam oba trupy walnęły głowami w przednią szybę, zostawiając na niej dwa identyczne pęknięcia, dwie krwawe róże.

– Phi! – prychnął Victor.

– To, mój kulawy przyjacielu, jest najprawdziwsza prawda, taka jak to, że nazywam się Feihta Rice.

Ślepiec obrócił się i wskazał laską na wrak samochodu, który zauważyłem wcześniej. Białą toyotę.

– Później wyrzucili samochód tutaj, bo nikt nie chce takiego, w którym ktoś został zamordowany, nawet jeśli auto jest w dobrym stanie. Chodźcie zobaczyć. Stłuczenia na szybie ciągle są. Pomóż mi, *darling*.

Feihta Rice wyciągnął rękę w rękawiczce, a Vanessa, o dziwo, pomogła mu wstać z krzeselka. Ruszył na długich chudych nogach w stronę samochodu, a my po kolejnej wymianie spojrzeń i wzruszeniu ramionami poszliśmy za nim. Na

przedniej szybie toyoty rzeczywiście widniały dwie róże splekanego szkła. Maski i chłodnica miały duże wgniecenie, a lakier był zarysowany, lecz poza tym auto wyglądało nieźle. Zwróciłem też uwagę na kluczyki w stacyjce.

– Ciągłe jest na chodzie? – spytałem.

– Jak szwajcarski zegarek.

Spojrzałem na bliźnięta.

– Czy któreś z was...

– Ja – oświadczyła Vanessa.

Victor na potwierdzenie pokiwał głową.

Dotknąłem banknotów w kieszeni.

– Ile pan chce za ten samochód, *mister Rice*?

– Za samochód? – Na moment skierował szarobiałe oczy ku słońcu. – Tysiąc dolarów.

– Phi! – prychnął znowu Victor.

– *Mister Rice* – powiedziałem – przecież pan nawet nie może prowadzić.

– O cenie, mój wystraszony przyjacielu, nie decyduje to, ile auto jest warte dla mnie, lecz ile jest warte dla was. A dla was jest warte dużo, bo jesteście uciekinierami, którym depcze po piętach policja.

Zobaczyłem, że Victor otwiera szeroko oczy i patrzy na mnie.

Odchrząknąłem.

– Dlaczego, u licha, tak pan myśli, *mister Rice*?

– Ponieważ cuchniecie śmieciami, nie wiecie, gdzie jesteście, a dźwięk policyjnych syren szybko się zbliża.

– Policyjnych syren?

Pokazał na swoje uszy.

– Przypuszczam, że będą tu za jakieś trzy minuty.

Przełknąłem ślinę. Zamrugąłem. Próbowałem myśleć. Co się wydarzyło po moim wyjściu z gabinetu dyrektora? No tak, agent Dale oczywiście nie miał zamiaru wracać do domu bez podjęcia kolejnej próby nakłonienia mnie do przyznania się do winy. A kiedy nie mógł mnie nigdzie znaleźć, podniósł alarm. Gdy na dodatek okazało się, że zniknęły również bliźnięta, agent Dale naturalnie

użył... Jak to się nazywało? Już wiem, dedukcji! Wyeliminował to, co niemożliwe, i zostało mu to, co możliwe. Właśnie w ten sposób zrozumiał, jak uciekliśmy. No a policyjny radiowóz, którego wciąż jeszcze nie słyszałem, jechał, rzecz jasna, znacznie szybciej niż śmieciarka.

Znów chrząknąłem.

– *Mister Rice*, a czy wyobraża pan sobie taką ewentualność, że pożyczą nam pan samochód i nie mówi policji, że tu byliśmy?

– W zasadzie nie.

Popatrzyłem na Victora i Vanesę. Victor powoli skinął głową, jakby znacząco, potem wsunął rękę pod kitel i wy dobył coś, co ku mojemu przerażeniu okazało się wielkim kuchennym nożem. Zacząłem jak szalony kręcić głową, ale on tylko poruszył swoją, jakby chciał mi przekazać, że decyzja już została podjęta. Zrobił krok w stronę Feihty i uniósł nóż, aby zadać cios.

– Tutaj są pieniądze za samochód! – krzyknąłem i wsadziłem ślepcowi do ręki siedem banknotów wyjętych z kieszeni.

Victor na chwilę zamarł. Stał z wyciągniętą do góry ręką i z nożem wskazującym na mężczyznę w cylindrze. Słońce wesoło błysnęło w stali ostrza.

Feihtha odstawił laseczkę, opierając ją o samochód, i czubkami palców powiódł po banknotach.

– Tu jest tylko siedemset – stwierdził.

– To się nazywa targowanie.

– Osobiście uważam to za próbę oszukania niewidomego – odparł. – Musisz przedstawić jakiś lepszy argument, chłopcze. I nie próbuj mi wmawiać, że więcej nie masz. Policja będzie tu za dwie minuty, więc się pośpiesz.

– Okej. – Usiłowałem zwilżyć usta językiem. – Muszę wracać do domu, do swojej dziewczyny, żeby jej pomóc.

– Wymyśl coś lepszego! – zawołał Rice.

– Chcę za resztę pieniędzy kupić jej coś ładnego! – krzyknąłem.

– To nie wystarczy.

Nabrałem powietrza i najgłośniejszym, jak umiałem, wrzasnąłem:

– Niech pan da nam samochód, bo inaczej wbiję w pana nóż!

– No, nareszcie! – powiedział Rice. – Auto należy do was.

Zabrał laskę i odsunął się kilka kroków. Victor, Vanessa i ja zaczęliśmy wciskać się do środka.

Vanessa przekręciła kluczyk w stacyjce.

Auto ani drgnęło.

Ponowiła próbę, ale bezskutecznie.

Rice postukał laską w boczną szybę, więc otworzyłem okno.

– Akumulator padł, mój chłopcze.

– Nic pan o tym nie mówił.

– Samochód został kupiony w takim stanie, w jakim był. Ale mam kable do ładowania i mogę zaproponować prąd z mojego agregatu. Za pięć dolarów. Interesuje was to?

– Już nie mam... – zacząłem.

– Bierz – odezwał się Victor z tylnego siedzenia i wysunął przez okno rękę z pogniecionym banknotem pięciodolarowym.

– No proszę. – Feihta Rice rozprostował banknot. – Tyle że to może zająć trochę czasu, którego, jak sądzę, nie macie. Dlatego proponuję, żebyście położyli się na podłodze z tyłu, dopóki moi następni goście nie odjadą.

Gdzieś wysoko w górze powietrze przeciął zimny krzyk mewy, a teraz i ja usłyszałem niesiony wiatrem cichy ton. Syrenę policyjną.

Oboje z Vanessą przeleźliśmy przez siedzenia i ułożyliśmy się na Victorze, który już leżał na podłodze. Usłyszałem, że drzwiczki się otwierają, i zostaliśmy czymś przykryci. Kocem, słodko pachnącym śmieciami.

Syrena rozbrzmiewała coraz głośniejsze, aż w końcu została wyłączona, zapewne dlatego, że pojazd zjechał z głównej drogi. Zapadła cisza. Słyszałem tylko oddechy bliźniąt. Czulem ich unoszące się i opadające klatki piersiowe. Rozległ się chrzęst żwiru. Parskanie czegoś, co brzmiało jak ośmiocyldrowy samochód mięśniak. Potem odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek. Głosy.

– Nie możemy mu ufać – szepnęła Vanessa.

– Powinniśmy byli go zabić – odszepnął Victor.

– Cicho, idą tutaj!

Kroki trzech, może czterech osób.

– To bardzo interesujące, *mister Rice* – usłyszałem głos agenta Dale’a. – Ale jeśli od tych zabójstw Hardy’ego minęło już trzydzieści lat, nie było mnie wtedy jeszcze na służbie. A poza tym nie przyjechałem tu, żeby wysłuchiwać opowieści, tylko by znaleźć troje niebezpiecznych zbiegów. Dlatego pytam jeszcze raz: widział ich pan czy nie?

Wstrzymałem oddech i poczułem, że bliźnięta też przestały oddychać.

Feihta Rice odpowiedział głosem, który brzmiał równie uroczyście, jak głos księdza:

– Przysięgam na grób mojej matki i na Najświętszą Dziewicę Maryję, agencie Dale: nigdy, przenigdy nie widziałem tej trójki zbiegów, o której pan mówi. Możecie mnie wsadzić do więzienia, jeżeli kłamię. Ale...

– Ale? – W głosie agenta Dale’a zadźwięczała nadzieja.

– Niech pan się dobrze przyjrzy tym dwóm pęknięciom w kształcie róży. Są całkiem identyczne. Prawda, że to niewiarygodne?

Agent Dale cicho jęknął.

– Niewiarygodne to właściwe słowo.

Usłyszałem oddalające się kroki, więc znów zacząłem oddychać. Te same drzwiczki otworzyły się i zamknęły. Samochód ruszył i odgłos zielonego pontiaca lemansa zaczął się oddalać.

*

– Dziękuję – powiedziałem i napiłem się zimnej lemoniady ze szklanki, którą pan Rice postawił przede mną na stole. Jakaś mucha, brzęcząc, tłukła się o szybę. Otworzyłem okno, żeby ją wypuścić.

– Dlaczego tamtych dwoje nie chciało przyjść? – spytał pan Rice, który siedział na rozkładanej kanapie pod półkami na książki.

Jego szopa składała się tylko z jednego pomieszczenia służącego jednocześnie za salon, kuchnię i sypialnię. Mimo to było tu po domowemu przytulnie i czysto. Zastosowano przeróżne domowej roboty sprytne rozwiązania – była na przykład duża płyta magnetyczna, na której tkwiły narzędzia, klucze, sztucce, monety, otwieracz do konserw i inne podręczne drobiazgi.

– Nie lubią przebywać w zamkniętej przestrzeni – wyjaśniłem, wyglądając przez okno na bliźnięta.

Tamci zdjęli już przebrania kucharskie, przysiedli na metalowych beczkach przy otwartej masce samochodu i wpatrywali się w jej wnętrze, jakby mogli zobaczyć prąd płynący przez kabel do akumulatora.

– A poza wszystkim to ja tobie dziękuję – powiedział pan Rice.

– Za co?

– Za to, że powstrzymałeś tego kulawego chłopca, zanim ugodził mnie nożem.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

– Skąd pan wie...?

– Och. – Zakołysał głową. – Stal ma swoją śpiewkę, a strach własny zapach. Nie muszę widzieć, żeby wiedzieć. Wokół nas cały czas dzieją się przeróżne rzeczy, których nasze zmysły nie wychwytyją. Wiem o tym, ponieważ mnie brakuje jednego zmysłu, o którego istnieniu mówili mi inni, chociaż nie wiem, co to znaczy widzieć. Ale wam nie ma kto powiedzieć, jakich zmysłów wam brakuje.

– Pan wierzy, że dzieją się rzeczy, których nie jesteśmy w stanie zauważyć ani zrozumieć?

– Ja to wiem, chłopcze. Weź tylko tę strzelaninę Hardy’ego. Kto zdoła wyjaśnić, w jaki sposób tamten chłopak po prostu zniknął?

– Zniknął? Opowiadał pan chyba, że on umarł?

– Umarł jak umarł. Sądząc po tym, co jesteśmy w stanie spostrzec za pomocą naszych zmysłów, to pewnie umarł. Ale tacy jak on nigdy nie umierają od strzału z pistoletu. Kiedy rano następnego dnia lekarz sądowy przyjechał do kostnicy, ptaszek odfrunął. I mówię teraz dosłownie. Odfrunął jako ptaszek.

Jako ptaszek. Trzydzieści lat temu. Zobaczyłem, że włoski na przedramionach całkiem mi się podniosły.

– Jak ten chłopak się nazywał?

Pan Rice pokręcił głową.

– Tego nigdy nie stwierdzono. Z całą pewnością nie był stąd. W Evans ani w okolicy nie zgłoszono żadnego takiego zaginięcia.

– Pan jednak się domyśla, kto to był, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Kilka dni później dowiedzieliśmy się o ucieczce pewnego chłopaka z Liep. I rzeczywiście wyglądało na to, że to był jeden z nich.

– Jakich „nich”?

– Tych, którzy umieją przemieniać się w latające stworzenia. Jeden z tych, których można zabić tylko w jeden sposób.

– Jaki?

– Ogniem. Muszą spłonąć.

Spojrzałem na Rice’a, który siedział na kanapie, cylinder leżał obok niego. W smudze słonecznego blasku wpadającego przez okno jego gładka spocona czaszka zdawała się świecić, gdy pustym wzrokiem patrzył przed siebie. I rzeczywiście poczułem, że jest całe mnóstwo rzeczy, których nie mogę zobaczyć. A być może nawet nie chcę.

– Te pieniądze, które panu dałem, to były dziesięciodolarówki – wyznałem.

– Wiem. Potrafię odróżnić dychę od setki. Akumulator powinien już niedługo się naładować.

– Dlaczego pan to robi, panie Rice? Dlaczego pan nam pomaga?

– Ech, nie wiem, czy chciałbym pomóc tamtym dwojgu. Oni, biedacy, są już straceni. Ale dla ciebie jest jeszcze nadzieja.

– Nadzieja na co?

– Na to, że odnajdziesz siebie. Swoje prawdziwe ja. Miłego, grzecznego chłopca, którego tak bardzo starasz się ukrywać.

– Ja i greczny? – Roześmiałem się głośno. – Panie Rice, pan nie wie, co ja zrobiłem! Wie pan, że chłopaka, który chciał się ze mną zaprzyjaźnić, zmieniłem w owada? A później próbowałem go rozdeptać, rozgnieść na podłodze, ponieważ... Właściwie nawet nie wiem dlaczego. – W moim głosie pojawiło się jakieś dziwne drżenie.

– Kiedy się boimy, robimy wiele głupich rzeczy – oświadczył Rice. – Ale teraz, kiedy poczułeś się bezpieczny, wypuściłeś muchę przez okno. Jak myślisz, który z tych dwóch jest twoim prawdziwym ja? Jeśli tylko uda ci się pozbyć tego, czego się boisz, to sądzę, że odkryjesz odmienioną osobę. Kogoś, kogo lubisz. Tego, kim byłeś przedtem. A wtedy nie będziesz już tym, którym gardzisz tak mocno, że musisz być zły.

Poczułem pieczenie w oczach.

– On powiedział...

– Co powiedział?

Przełknąłem kilka razy ślinę, żeby wydusić z siebie te słowa.

– Powiedział, że jestem śmieciem.

– Hm... – Rice chrząknął. – Tak powiedział? No cóż, wiem niejedno o śmieciach i posłuchaj, co ci powiem. – Nachylił się i położył mi rękę na ramieniu. – Nie jesteś śmieciem.

Zamknąłem oczy. Jego dłoń była duża i ciepła, a głos rozlegał się tuż przy mnie, gdy powtarzał:

– Nie jesteś śmieciem. Nie-jesteś-śmieciem, okej?

Kiwnąłem głową.

– Okej – mruknąłem głosem zgrubiałym od łez.

– Niech to usłyszę.

– Nie jestem śmieciem.

– Dobrze, powtórz to jeszcze raz. Powoli. I wczuj się.

– Nie. Jestem. Śmieciem.

Sprawdziłem.

Rzeczywiście.

To znaczy inaczej. Coś jakby zniknęło, opadło ze mnie. Nagle poczułem się lekki jak piórko.

– Lepiej?

– Tak.

Znów otworzyłem oczy.

– Co pan zrobił?

Rice uśmiechnął się szeroko.

– To ty zrobiłeś, Richardzie. Nazwijmy to białą magią słów. Taką, która przeciwdziała tej czarnej.

Znów włożył rękawiczki, sięgnął po laskę i dwa razy stuknął nią w podłogę.

– Wyjdziemy i wreszcie was stąd wyprawimy?

Wstałem, ale zatrzymałem się w chwili, gdy miałem się schylić w niskich drzwiach.

– Zastanawiam się tylko nad jednym. Ten głos powiedział, że ją spali.

– Jaki głos?

– Imu Jonassona.

Światło z okna zniknęło. Jakaś chmura musiała zasłonić słońce i zobaczyłem, że twarz Feihty Rice'a się zmienia, jakby nagle coś go zabolalo.

– Imu – powtórzył i zamknął oczy. Skórę na powiekach miał cienką, prawie przezroczystą, skojarzyła mi się z rozpostartymi skrzydłami nietoperza. Jego powieki zaczęły drżeć.

Z zewnątrz dobiegł przenikliwy krzyk mewy.

Rozdział 19

– Szybciej! – zawołałem.

– Jedziemy tak szybko, jak się da! – odkrzyknęła Vanessa zgarbiona nad kierownicą, żeby lepiej widzieć między dwiema różami z popękanej szkła.

Victor siedzący na tylnym siedzeniu i wychylony między mną a Vanessą obserwował drogę w milczeniu, jeszcze bledszy niż zwykle. Ciężkie chmury zasłoniły niebo, już kiedy wyjeżdżaliśmy z wysypiska. Zapowiadały deszcz. Dużo deszczu. Wkrótce zaczniesz się też zmierzchać.

Spojrzałem na zegarek.

Feihta Rice powiedział, że on – Imu – już ją złapał. Nie wiem, co zobaczył pod drżącymi powiekami, ale oznajmił, że Karen jest w niebezpieczeństwie, ponieważ pochwyciło ją jedno ze złych słów – nie wie jakie, muszę jednak znaleźć odpowiednie przeciwstawne słowo, które zdoła ją uwolnić. Muszę wypędzić z niej Imu. Podkreślał też, że trzeba się spieszyć, bo nadciąga burza; ciemność – ta substancja, o której mówimy my, widzący – wkrótce zapadnie nad nami wszystkimi, a wtedy będzie już za późno.

Minęliśmy drogowskaz z informacją, że do Ballantyne zostało jeszcze osiemdziesiąt kilometrów, gdy przednie reflektory omiotły coś błyszczącego i metalowego na jednym ze słupów telefonicznych.

– Stop! – krzyknąłem.

Vanessa zerknęła na mnie, ale wcisnęła hamulec.

– O co chodzi? – burknął Victor.

– Niedługo zrobi się ciemno – powiedziałem. – Nie zdążymy. Muszę...

Wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do słupa. Oczywiście zdziwiło mnie, że tu, na pustkowiu, tak daleko od najbliższych domów na słupie wisi telefon. Pewnie był przeznaczony dla kierowców, którym zatarł się silnik lub którzy z innego powodu znaleźli się w potrzebie.

Na próżno zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu monet. Wiedziałem, że bliźnięta nic nie mają. Wcześniej Victorowi zachciało się pić i kazał Vanessie

zatrzymać się przed stacją benzynową, a następnie wywrócić kieszenie. Dopiero kiedy stało się jasne, że żadne z nas nie ma ani centa, pozwolił jechać dalej.

Z wściekłością kopnąłem w słup i popatrzyłem na kable telefoniczne ciągnące się na południowy wschód w stronę Ballantyne. W stronę Karen. I Lustrzanego Lasu. Podniosłem słuchawkę i wrzasnąłem do niej:

– Chodź tu i mnie dopadnij! Paskudny trollu, weź mnie, a ją wypuść!

Ale odpowiedzią był jedynie ciągły sygnał. Zapatrzyłem się w numery alarmowe wypisane na aparacie telefonicznym. Przy jednym widniało „AUTOHOLOWANIE”. Wybrałem ten numer. Rozległ się sygnał łączenia. Łączenia! Po trzecim dzwonku usłyszałem damski głos:

– Karlsen, holowanie.

– Nazywam się Richard Elauved – zacząłem i zrozumiałem, że muszę się skupić, aby nie mówić za szybko. – Wiem, że nie na tym polega wasza praca, ale wyjechałem z naszego domu w Ballantyne i zapomniałem o piekarniku, który jest włączony na pełny regulator z jedzeniem w środku. Wybuchnie pożar, jeśli już się tak nie stało.

– Richardzie, ile masz lat i gdzie są twoi rodzice?

– Siedemnaście – skłamałem. – A rodzice są w domku letniskowym, do którego właśnie jadę.

– Okej, możemy podjechać pod ten adres albo zadzwonić na policję i...

– Nie! Trzeba się spieszyć! To pieczeń wieprzowa. Tłuszcz mógł się już zapalić i wszyscy, wy, ja i policja, jesteśmy za daleko. Muszę zadzwonić do sąsiadów, poprosić, żeby włamali się do domu, a nie mam żadnych monet. Może mnie pani z nimi połączyć? Zaraz podam numer.

– Dobrze, podaj mi numer, a ja zadzwonię i przekażę im wiadomość.

– To niemożliwe, oni mówią tylko po szwedzku.

– Po szwedzku?

– To moi cioteczni dziadek i babcia. – Wyrzuciłem z siebie kilka szwedzkich słów, których nauczył mnie tata, coś o klopsikach i szwedzkim stole. I o spodniach: – *På med brallorna.*

– Przykro mi, młody człowieku – powiedziała kobieta. Zapewne ta historia stawała się dla niej zbyt skomplikowana. – To nie centrala telefoniczna. Rozłączam

się teraz. Będziesz mógł zadzwonić pod numer alarmowy policji. Do tego też nie potrzeba monet.

– Chwileczkę!

– Słucham.

Oddychałem prędko. Musiałem zwiększyć dopływ tlenu do mózgu, musiałem myśleć. Jednak za każdym razem, gdy ona powtarzała słowo „policja”, stawały mi przed oczami twarze McClellanda i agenta Dale’a – wtedy nadciągała panika, która powstrzymywała wszelkie rozsądne myślenie. Zaciągnąłem się powietrzem głęboko, aż do brzucha, próbując zamiast na tym skupić się na Karen.

– Ma pani chyba jeszcze jakiś telefon w biurze? – spytałem.

– No owszem.

– Wobec tego może pani zadzwonić do moich sąsiadów z tego drugiego telefonu, a potem przyłożyć słuchawki do siebie.

Słyszałem, że kobieta wyraźnie się waha.

– To pieczeń wieprzowa mamy – zacząłem tłumaczyć z wibracją w głosie, która wypadła prawie całkiem naturalnie. – Miałem ją tylko podgrzać. Najlepsza pieczeń na świecie, przygotowała ją wczoraj, przed wyjazdem z tatą. Potem zrobiło się zamieszanie z pakowaniem i w ogóle zapomniałem o tym obiedzie. I o najlepszej mamie na świecie. – Pociągnąłem nosem, zastanawiając się, czy nie przesadzam. – A teraz jeszcze cały jej dom...

– Podaj mi ten numer, Richardzie.

Słuchałem, jak kobieta dzwoni.

W końcu dotarły do mnie jej słowa:

– Pani Taylor, to Richard. – A potem zwróciła się do mnie: – To ona.

– Karen? – odezwałem się.

– Karen jest w swoim pokoju – odpowiedział mi głos. – Czy to Richard z jej klasy?

– Pani Taylor, muszę z nią porozmawiać.

– Obawiam się, że jest chora i nie można jej niepokoić. Richard Elauved? Ten, który...

– Chora? – przerwałem jej z nadzieją, że przynajmniej na kilka sekund przerwę też tok jej myśli. – Jak to chora?

– Tym... już my się zajmiemy. Jeszcze coś, Richardzie?

– Czy ona dziwnie się zachowuje?

– Muszę kończyć.

– Chwileczkę! Czy powtarza raz po raz to samo słowo?

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

– Co to za słowo? – spytałem.

Bez odpowiedzi.

– Pani Taylor, to bardzo ważne! Nie wiem, czy mogę pomóc, ale na pewno nie pomogę, nie znając tego słowa!

Usłyszałem w słuchawce drżący oddech, aż w końcu matka Karen wybuchnęła płaczem.

– To nie jest żadne słowo – wyszlochała. – To tylko... Brzmi tak, jakby powtarzała „imu”. Siedzi wpatrzona w ścianę i cały czas mówi to samo. Lekarz dał jej tabletki na uspokojenie, ale ona nie chce ich połknąć. Karen...

– Pani Taylor, proszę mnie teraz posłuchać. Musicie jej pilnować. Ona może próbować zrobić sobie krzywdę.

– Co to ma znaczyć? – Panią Taylor nagle opanowała wściekłość. – Jaki ty masz z tym związek, Richardzie? Coś jej podałeś? Jakies narkotyki? LSD?

– Proszę nie spuszczać jej z oczu, pani Taylor. Muszę już się rozłączyć.

Z chmur nad moją głową dobiegł huk i poczułem pierwsze krople deszczu.

– Gaz do dechy! – rozkazałem, kiedy wsiadłem z powrotem do samochodu.

Lał deszcz, a wycieraczki toyoty pracowały jak wściekłe. Przez wodny filtr droga wyglądała tak, jakby płynęła, wijąc się przed nami, i ledwie udało mi się dostrzec tablicę informującą, że wjeżdżamy do Ballantyne. Było ciemno jak w grobie, a deszcz walił w dach tak mocno, że musiałem krzykiem podawać wskazówki, któredy mamy jechać. Kontrolka paliwa zaczęła błyskać na czerwono. Dotarliśmy już na miejsce, ale miałem nadzieję, że benzyny wystarczy jeszcze do zrealizowania innego celu, który sobie umyśliłem. Główna ulica przy bibliotece była wyludniona i zalana deszczem.

– Tutaj – oznajmiłem, kiedy wyjechaliśmy z maleńkiego centrum poza obszar ulicznych latarni.

Zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy z auta. Padało już mniej, może niebo wreszcie się opróżniało. Drzewa wznosiły się przed nami niczym milcząca ciemna ściana. Lustrzany Las.

– A co, jeśli się nie będzie palić? – spytała Vanessa. – Przecież wszystko jest przemoczone.

– Musi się palić – stwierdziłem.

Chyba było coś w tonie mojego głosu, w każdym razie bliźnięta się ode mnie odsunęły.

Otworzyłem bagażnik, wyjąłem kanister i wężyk, który wetknąłem do otworu baku, i zacząłem zasysać. Kiedy paskudny smak benzyny wypełnił mi usta, wyplułem ją i drugą końcówkę wężyka włożyłem do kanistra. Przez chwilę coś pociekło, zaraz jednak się skończyło. Potrząsnąłem kanistrem. Niedużo, maksymalnie litr, ale może wystarczy. Wyjąłem pudełko zapalek, które dostałem od pana Rice'a, i owinąwszy je w plastikową torebkę, wsunąłem do kieszeni spodni. Ruszyliśmy.

Deszcz przestał padać, ale panowała taka ciemność, że niewiele widziałem. Na szczęście droga była wysypana jasnym żwirem, więc przynajmniej mieliśmy czym się kierować.

Wszystko wyglądało tu teraz inaczej. Było jak w sali kinowej tuż przed rozpoczęciem seansu: odgłosy kropli skapujących z drzew w gęstej ciemności kojarzyły się z pełnymi wyczekiwania szeptami, szelestem papierków od czekoladek, mlaskaniem i żuciem, cmoknięciami i zduszonym chichotem.

I wtedy przyszło mi do głowy, że zaproszę ją do kina. Właśnie tak zrobię. Jeśli to się dobrze skończy. Machałem kanistrem w rytm kroków, starając się trzymać tej myśli. Ona oczywiście odmówi, ale tym nie musiałem się martwić na zapas. Bo przecież to się nie mogło dobrze skończyć. Nie mogło. O mało nie wybuchnąłem śmiechem. Bez względu na to, jak beznadziejny wydawał się ten pomysł, i tak musiałem próbować. Innego wyjścia nie było.

A potem – znowu tak, jakby zaczynał się seans filmowy – chmury się rozstały i zrobiło się jasno.

– Ach! – szepnęła Vanessa.

Victor nic nie powiedział, tylko otworzył usta jeszcze szerzej niż normalnie.

Bo przed nami ukazał się skąpany w blasku księżyca dom.

Diabelskie rogi na kalenicy. Dąb, który przebił dach, ślepe czarne szyby, w których odbijał się księżyc.

Nocny Dom.

Podszedłem do bramy z inicjałami BA, kopnąłem w nią spodem buta i tak jak poprzednio otworzyła się ze zgrzytem.

– Chodźcie – rzuciłem.

Rozdział 20

Vanessa, Victor i ja przekradliśmy się na palcach w pobliże domu. Cały czas bacznie obserwowałem wielkie okno pod szatańskimi rogami. Wewnątrz było ciemno, nie dostrzegłem żadnej twarzy. Kiedy dotarliśmy do drzwi wejściowych, zorientowałem się, że Vanessa i Victor stanęli w pewnej odległości. Odwróciłem się.

– My nie wchodzimy do środka – szepnęła Vanessa.

– Co? Przecież mówiliście, że chcecie sprawdzić, czy nie da się stąd czegoś ukraść.

– Zmieniliśmy zdanie.

Nie było czasu na dyskusje. Zresztą po ich zdecydowanych minach poznałem, że i tak nic nie wskóram. Chwyciłem więc klamkę i z całej siły pociągnąłem drzwi do siebie. Otworzyły się gwałtownie i buchnął zza nich nieokreślony wilgotny odór zgnilizny i śmierci.

– Zaczekaj – wyszeptała Vanessa. – Kluczyki.

Znów odwróciłem się w ich stronę. Victor wyjął nóż.

– Dawaj – powiedział.

– Na wszelki wypadek, gdybyś stamtąd nie wyszedł – wytłumaczyła Vanessa z lekkim, jakby przepraszającym uśmiechem.

Sięgnąłem do kieszeni i oddałem jej kluczyki. I tak nie zdołaliby uciec samochodem bez benzyny.

A potem wszedłem do tego domu sam.

Blask księżyca wpadał przez wielkie okno, spowijając hol czarodziejskim, wręcz nierzeczywistym światłem. Po otwarciu drzwi musiał się zrobić przeciąg, bo na podłodze zaszeleściły suche liście i nagle usłyszałem za plecami łomot. Drzwi się zatrzasnęły.

Wstrzymałem oddech, nasłuchując. Czy ten hałas mógł kogoś obudzić? Słyszałem teraz tylko takie samo kapanie jak poprzednio. I trzaski, jakby ktoś skradał się po drewnianej podłodze. Tyle że ten dźwięk dobiegał spod posadzki.

Spojrzałem w dół. Na pewno coś mi się tylko przywidziało, ale miałem wrażenie, że deski tu i ówdzie się poruszają. Podniosłem wzrok i rozejrzałem się po wnętrzu. Wydawało się, że od poprzedniego razu nic się nie zmieniło. Z wyjątkiem drzwi do pomieszczenia, w którym spały nietoperze. Nie przypominałem sobie, żebyśmy je zamykali przed odejściem, a teraz były ledwie uchylone.

Podszedłem do zniszczonego fortepianu leżącego na stosie mebli. Odkręciłem korek kanistra i polałem instrument połową benzyny. Resztą potraktowałem podłogę. Wyjąłem zapalki. W chwili gdy jedną zapalałem, usłyszałem głębokie cmoknięcie, takie jak przy wyciąganiu nogi z bagna. Prędko się rozejrzałem. Potem rzuciłem zapalkę i natychmiast pojawiły się płomienie. Patrzyłem zafascynowany, jak ogień rozpełza się po podłodze i zaczyna lizać tapetę.

Fortepian wydał z siebie huk przypominający strzał z pistoletu, po czym zadźwięczał wysoki ton. Potem kolejny strzał i nieco niższy ton. Zrozumiałem, że to pękają struny. Wzbił się wysoki płomień, kiedy ogień dotarł do płótna zniszczonego obrazu. Pod wpływem gorąca najpierw się zwinęło, a potem wyprostowało. Jakby ogień spalił warstwy brudu, wilgoci i pajęczyn, czasu i zapomnienia, wydobywając spod nich nowy obraz – portret mężczyzny ubranego w kostium z rodzaju tych, które oglądałem w jednej z książek w bibliotece, tej o Hamlecie. Może więc malowidło liczyło kilkaset lat? Nie pasował jednak fakt, że twarz tego mężczyzny widziałem już dwa razy wcześniej: w oknie tego domu i w zakładzie poprawczym Liep. Z drugiej strony oczywiście zgadzało się to ze słowami Feihty Rice’a, mianowicie że ta odwieczna istota może zostać zgładzona tylko ogniem. Zadygotałem, kiedy twarz przede mną ożyła, krzywiąc się z wściekłością pod topiącą się i spływającą farbą. W końcu mężczyznę pochłonęły płomienie.

Rozległ się cichy trzask. Tym razem nie od strony fortepianu, lecz z miejsca w pobliżu schodów. Zobaczyłem jak gdyby węża, który wcześniej wcisnął się między deski. Zaraz też usłyszałem kolejny trzask, już bliższy, po czym jeszcze jeden wężopodobny kształt wysunął się z podłogi i zaczął się wić w blasku księżyca. Jakby na oślep czegoś szukał. Nie musiałem podchodzić bliżej, żeby zobaczyć, co to jest. Nie chciałem podchodzić. To były korzenie drzewa.

W tej samej chwili moich uszu dobiegł krzyk z za którychś z drzwi na galerii. Mogło go wydać zwierzę, lecz mógł to też być człowiek. W każdym razie był to krzyk, który nie tylko przenika do szpiku kości, ale wręcz przebija serce i duszę.

Taki krzyk mieści w sobie wszystko. Rozpacz. Strach. Gniew. Samotność. Wisiał w powietrzu jeszcze długo po tym, jak ucichł. A potem usłyszałem inny odgłos: cichy szelest, jakby ktoś wkładał sztywny płaszcz. Wielki płaszcz. W blasku płomieni, które wspięły się już po tapecie ku dachowi, ujrzałem, że w drzwiach porusza się coś wielkiego. Olbrzymie cienkie skórzaste skrzydło.

Krótko mówiąc, była najwyższa pora, żeby się stąd wynieść.

– Chodźcie! – Zbiegłem ze schodów przed domem.

Bliźnięta stały jak skamieniałe, wpatrując się w coś za moimi plecami.

– Chodźcie! – powtórzyłem i odwróciłem się, żeby sprawdzić, na co tak się gapią.

Korzenie. Wyłaniały się z ziemi wzdłuż całej ściany i pełzły ku ich stopom, cienkie i ruchliwe jak czułki ślimaka, lecz w dalszej części grubiały, przybierając wygląd anakondy.

– One chcą was dopaść! – wrzasnąłem. – Chcą was pożreć na obiad!

Victor i Vanessa jakby wreszcie zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, obrócili się i zaczęli biec za mną. Już słyszałem huk pożaru z domu, ale nie oglądałem się, pędziłem tylko najszybciej, jak mogłem. Zbliżałem się już do wyjścia z posiadłości, kiedy zauważyłem, że brama się porusza. Musiało tak być za sprawą wiatru. Żadnego wiatru wprawdzie nie czułem, ale to najpewniej jakiś podmuch! Z cichym zgrzytem żelazna brama powoli się zamykała, a w chwili gdy do niej dopadłem, zatrzasnęła się z metalicznym kliknięciem. Uderzyłem nogą w pręty, tym razem jednak nie chciała się otworzyć. Odwróciłem się i zobaczyłem bliźnięta biegnące w moją stronę. Gdyby sytuacja była inna, tę ich koślawą próbę biegu uznałbym za komiczną, bo ledwie zdołali umykać pełznącym ku nim korzeniom. Chwyciłem klamkę przy bramie, żeby ją nacisnąć, a drugą ręką ująłem jeden z prętów, aby szarpnąć.

Nagle jakby ktoś walnął mnie między łopatkami potężnym młotem.

Ten ból nie przypominał niczego, co dotychczas znałem; przechodził od palców stóp po czubek głowy, był we mnie, w środku, otaczał mnie, był wszędzie naraz. Prąd. Wolty, waty, ampery, czy jak to zwał, pulsowały w moim ciele, nie zdołałem nawet krzyknąć, bo szczęki miałem jak zakleszczone. Mięśnie całego ciała skurczyły się tak, że nie byłem w stanie puścić klamki. Przeciwnie, coraz mocniej zaciskałem na niej dłoń, jakbym próbował wycisnąć sok z kutego żelaza.

- Otwieraj! – wysapał Victor za moimi plecami.
- Szybko, bo już tu są! – krzyknęła Vanessa.
- Ten idiota nie chce się ruszyć, tylko stoi i się trzęsie! – zawołał Victor.
- No to go przesun! – poleciła Vanessa.

Mimo intensywnego bólu mogłem słyszeć i myśleć, lecz nie dałem rady otworzyć ust, żeby ich ostrzec. Poczulem, jak ręce Victora łapią mnie za ramiona, usłyszałem jęk, a moment później krzyk Vanessy. Zdołałem obrócić głowę na tyle, by ich widzieć. Tak jak mówiłem, w innej sytuacji z całą pewnością bym się śmiał. Wszyscy troje staliśmy się elementami tego samego obwodu, drgającym, tańczącym łańcuchem utworzonym z trzech niemych szmacianych lalek. To my staliśmy się teraz bohaterami filmu, oświetleni blaskiem księżycy i płomieniami, które przedarły się przez dach domu i rzucały żółtą poświatę na spodnią część porozrywanych chmur. Tak, to przypominało film, horror, z korzeniami, które podpełzały coraz bliżej. A z Lustrzanego Lasu dopływało wycie, opadające i narastające niczym głos chorego na chorobę księżycową wilkołaka.

Poczulem, że Victor zaczyna mnie szarpać za ramię, jakby próbował oderwać mnie od bramy. Zaraz jednak pojąłem, że to jego coś ciągnie. Uścisk dłoni Victora na moich ramionach zelżał, ale zaciskały się teraz na mojej koszuli. Usłyszałem, że materiał pęka, ściągnięto ze mnie koszulę, rozległy się też wrzaski bliźniąt. To, że oboje mogli krzyczeć, musiało oznaczać, że wyrwali się z obwodu, którym płynął prąd. Jeszcze raz spróbowałem obrócić głowę i zobaczyłem, że Victor i Vanessa są ciągnięci po ziemi w stronę płonącego domu. Cienkie korzonki owinęły się wokół ich łydek, a oni, wierzgając nogami, usiłowali wczepiać się w żwir, niczym zdesperowane bydło schwymane na lasso. Jaki los ich czekał? Czy mieli zostać pożarci jak Tom, czy też zniknąć, zapaść się pod ziemię jak Grubas i jego magicykady, a może mieli stać się pastwą płomieni? Nie wiedziałem, czy to los gorszy, czy lepszy niż mój – grillowanie aż do eksplozji mózgu i serca – bo czulem, że właśnie to się wydarzy. Ale czulem też coś innego. Popatrzyłem w dół. Jeden z jasnych korzonków owinał się wokół mojej łydki. A teraz nadpełził drugi, który oplótł mi kostkę – raz, drugi i trzeci – po czym napiął się i zaczął ciągnąć. Najpierw lekko, potem coraz mocniej. Bardzo mocno. Moje buty przejechały do tyłu po żwirze, a ciało i głowa opadły do przodu. Ręce się wyciągnęły, dłoń obejmująca metalowy pręt przesunęła się w dół i zatrzymała na inicjałach BA. Obie dłonie jednak wciąż mocno zaciskały się na bramie, chociaż wcale tego nie chciałem.

Korzenie rozciągały mnie, jak gdybym był żelkowym ludzikiem, moje plecy krzyczały, głowa bolała, czułem, że ramiona zaraz zostaną wyrwane ze stawów. A przy tym wyjący wilkołak zdawał się podchodzić coraz bliżej.

Moje stopy oderwały się od ziemi i w tym samym momencie ktoś jakby przekreślił we mnie wyłącznik. Odciął prąd. Nie byłem już uziemiony. Bez kontaktu z ziemią prąd przestał płynąć przez moje ciało.

Na moment poczułem ogromną ulgę.

Dopóki nie zrozumiałem, że to oznacza, iż przykurcz mięśni ustąpił.

W następnej chwili mój uścisk wokół prętów bramy całkiem zelżał. Twarzą uderzyłem o ziemię i zostałem pociągnięty dalej.

Usta wypełniły mi błoto i żwir. Udało mi się obrócić na plecy, uniosłem się, próbując zerwać korzeń z łydki. Na próżno, trzymał mnie jak imadło.

Coś błysnęło na ziemi przede mną i gdy się przesuwałem, ciągnięty obok tego czegoś, zobaczyłem, że to nóż Victora. Sięgnąłem po niego, ale zbyt późno. Tylko jednym palcem dotknąłem zakrwawionego ostrza. Wcześniej takie nie było, więc domyśliłem się, że Victor próbował przeciąć korzenie, lecz tylko skaleczył się w nogę.

Nie słyszałem już krzyków bliźniąt. Urwało się też wycie nadciągających wilkołaków.

Słyszałem za to płomienie. Trzaski zmieniły się w rozlegający się coraz bliżej ryk. Zamknąłem oczy. Już czułem ciepło ognia, ku któremu zmierzałem. I przekonałem się, że prawdą jest to, co piszą w książkach: kiedy wiesz, że umrzesz, przed oczami przesuwa ci się całe twoje życie jak film. Oczywiście ten film okazał się rozczarowująco krótki, a ja nie byłem nawet bohaterem, ale tak, zaraz po Imu Jonassonie, kolejnym czarnym charakterem, za którym właściwie nikt nie zatęskni. Nikt nigdy się nie dowie, że Richard Elauved pod sam koniec swojego istnienia próbował kogoś uratować – ba, wręcz ryzykował życie, żeby Karen Taylor mogła żyć dalej. Lecz chociaż wiedziałem o tym tylko ja, w dziwny sposób znajdowałem pewną pociechę w świadomości, że starałem się z całych sił. Ciągnięty ku temu, co miało być moim końcem, pocieszałem się powtarzaniem słów:

– Nie jestem śmieciem. Nie jestem...

Coś przeszyło powietrze i usłyszałem głucho uderzenie.

– Druga noga też! – odezwał się znajomy głos. – Tylko szybko, bo wracają! Są wszędzie!

– Jasne! – odpowiedział mu drugi, jeszcze bardziej znajomy głos.

Otworzyłem oczy. W żółtym świetle księżycy i pożaru zobaczyłem unoszące się nade mną gładkie ostrze toporka i jakąś wymachującą nim w moją stronę postać, od stóp do głów spowitą w krwistą czerwień. Kolejny świst i kolejne uderzenie. Ziemia pode mną się zatrzymała. To znaczy oczywiście zatrzymałem się ja. Ubrany na czerwono mężczyzna odrzucił toporek i nachylił się nade mną. Pod czerwonym strażackim hełmem zobaczyłem jego twarz.

– Cześć, tato – wymamrotałem.

Frank popatrzył na mnie z pewnym zdziwieniem.

– Możesz wstać?

Spróbowałem. Pokręciłem głową.

– Musimy stąd uciekać! – zawołał ktoś za nami.

– Gotów na chwyt strażacki? – spytał Frank, łapiąc mnie od spodu.

– Gotów – odrzekłem.

Podciągnął mnie, zarzucił sobie na ramiona i biegiem ruszył do bramy. Uniosłem głowę, dostrzegłem, że tuż za nami pędzi agent Dale. A jeszcze dalej, za nim, coś wypełniło wielkie okno domu. To coś było czarne, ogromne i miało skrzydła rozłożyste jak żagle. Wśród tej czerni błysnęły białe ostre zęby piranii. Rozszedł się krótki syk i nagle cała ta istota stanęła w ogniu. A potem zaczęła krzyczeć. Wydała z siebie ostatni krzyk. Krzyk nie z tego świata.

Zobaczyłem, że agent Dale się ogląda, nie przestając biec. A kiedy znów odwrócił twarz w naszą stronę, był blady jak prześcieradło.

Gdy dotarliśmy do ogrodu, zauważyłem stojący za nim wóz strażacki. Niebieskie światła wciąż były włączone – teraz zrozumiałem, skąd się wzięło wycie wilkołaka. Frank posadził mnie na drabinie strażackiej, którą oparto o ogrodenie, a gdy przelazłem na drugą stronę, złapało mnie kilku innych strażaków. Poklepywali mnie po ramieniu, jakbym to ja kogoś uratował. Dali mi wełniany koc i pomogli usiąść z tyłu w wozie strażackim. Zaraz też wsiedli do niego Frank i agent Dale.

– Nie będziecie gasić pożaru? – zdziwiłem się.

– Na to już raczej za późno – stwierdził Frank. – Na szczęście las jest taki mokry, że nie powinien się zająć.

Popatrzyłem w stronę Nocnego Domu. Palił się teraz cały, nawet dąb stał w płomieniach.

– No a bliźnięta? – spytałem. – Wciągnęło je do środka...

– Dla nich też już raczej za późno – odparł agent Dale, przesuwając ręką po podbródku i kręcąc głową.

Sposób, w jaki to powiedział, świadczył o tym, że wreszcie mi uwierzył. Po tym, co spotkało bliźnięta, moją opowieść o losach Toma i Jacka uznał za prawdziwą.

– Wydaje mi się, że z Imu Jonassonem już koniec – powiedziałem.

Agent Dale z namysłem kiwnął głową.

– Ja też tak sędzę, Richardzie.

Nad naszymi głowami rozległ się grzmot. Księżyc zniknął, gdy chmury zasunęły kurtynę. Przedstawienie dobiegło końca. Wkrótce z nieba znów lunął deszcz.

Rozdział 21

Wciąż lało, kiedy agent Dale i ja wsiadaliśmy do zielonego pontiaca. Z Lustrzanego Lasu kierowaliśmy się w stronę domu Taylorów. Agent Dale opowiedział mi o pościgu. O tym, że z wysypiska ruszył na sygnale do Ballantyne, przypuszczał bowiem, że to mój cel. Tam siedział w biurze szeryfa i czekał, gdy nagle usłyszał wołanie z wieżyczki strażackiej, że widać pożar w Lustrzanym Lesie. Kiedy się dowiedział, że płonie tamten stary dom, wskoczył do auta i pognął za strażakami.

Później przyszła kolej na moją opowieść.

Tym razem powiedziałem absolutnie wszystko.

O tym, jak razem z Tomem poszedłem do lasu i jak go namówiłem na kawał telefoniczny. O przemianie Jacka w owada, kiedy się z nim drażniłem, i o tym, jak się wystraszyłem i próbowałem go rozdeptać. O wrytych przez Imu na ścianie w Liep słowach, skłaniających tych, którzy je czytali, do targnięcia się na własne życie. O głosie w telefonie na korytarzu, o ucieczce i o tym, co widziałem w tym domu, kiedy zaczęło się palić.

Agent Dale słuchał, nie przerywając. Zadawał mi tylko krótkie pytania, gdy nie miał pewności, czy dobrze wszystko zrozumiał.

– Niezła historia – ocenił, kiedy skończyłem opowiadać.

– Wiem. Zbyt niewiarygodna, żeby mogła być prawdziwa, tak?

– Owszem – potwierdził Dale z powagą. – Gdybym na własne oczy nie widział tego, co zobaczyłem dziś wieczorem, znów bym ci nie uwierzył. Moim problemem jest teraz to, żeby ktokolwiek w kwaterze głównej uwierzył mnie.

Podjechaliśmy pod dom na farmie Taylorów. Zobaczyłem, że w pokoju Karen na drugim piętrze się świeci.

– Wygląda na to, że jest tu szeryf. – Agent Dale skinął głową, wskazując na samochód zaparkowany obok stodoły.

W tej samej chwili z domu wyszedł McClelland z ojcem Karen depczącym mu po piętach.

Agent Dale otworzył drzwiczki i już miał wysiadać.

– Hej, Conan, co się dzieje?

– Chodzi o ich córkę – odparł szeryf. – Uciekła.

– Uciekła?

– Zamknęliśmy ją. – Ojciec Karen wskazał na okno jej pokoju. – Musiała wyskoczyć.

– Stamtąd? – zdumiał się Dale. – Przecież to... bardzo wysoko.

– Ziemia rozmiękła po deszczu, więc najwyraźniej nie zrobiła sobie dużej krzywdy – powiedział McClelland. – W każdym razie udało jej się stąd zbiec. Rodzice twierdzą, że wszędzie już sprawdzali, nigdzie jej nie ma. Wezwaliśmy ludzi, żeby zorganizować poszukiwania. Zbierają się już na posterunku.

– Richard i ja też się do was przyłączymy – oświadczył Dale.

– Nie! – dobiegł od drzwi wejściowych gniewny głos. To krzyknęła pani Taylor. – Richard Elauved ma się nie zbliżać do naszej Karen! W Ballantyne nie działo się nic złego, dopóki on tu nie przyjechał. I kiedy stąd wyjechał, też był spokojny. Trzymajcie go z daleka! On jest... jest...

Nie usłyszałem dokładnie, jak mnie nazwała, bo odwróciłem się już do agenta Dale'a i zasugerowałem, żebyśmy pojechali do biblioteki. Dodałem, że będziemy potrzebować pomocy strażaków, więc Dale wykorzystał policyjne radio, żeby nawiązać z nimi kontakt. Odpowiedzieli, że deszcz ugasił płonące szczątki domu, mogą zatem przyjechać od razu.

– Dlaczego tutaj? – spytał agent Dale, kiedy zatrzymaliśmy się przed pogrążoną w ciemnościach biblioteką.

– Bo nie wystarczy tylko znaleźć Karen – odparłem. – Musimy ją też odprogramować. Jeśli tego nie zrobimy, dalej będzie próbowała zrobić sobie krzywdę.

– Chcesz powiedzieć, że została zaprogramowana tak jak ci młodzi ludzie, których zamknięto w pokoju z napisami Imu na ścianach?

– To czarna magia słów. A księga tej magii jest tutaj. Jeśli będziemy mieli szczęście, to znajdziemy w niej nie tylko opis trucizny, jaką mogą zawierać słowa, ale również coś na temat odtrutki.

– Czyli?

– Białej magii.

W tym momencie podjechał do nas wóz strażacki. Frank wyskoczył z toporkiem w pogotowiu i razem z nami podbiegł do drzwi wejściowych, a dwóch innych strażaków już zdejmowało drabinę umieszczoną z tyłu wozu. Frank uniósł toporek, lecz zaraz go opuścił.

– To bardzo piękne drzwi – stwierdził. – Naprawdę musimy się aż tak spieszyć? Nie ma czasu na sprowadzenie pani Zimmer, żeby nam otworzyła?

– Nie ma.

Westchnął, ponownie się zamachnął, lecz naraz drzwi otworzyły się same.

– Nie! – zawołała pani Zimmer i głośno kichnęła.

Zamarłem z krzykiem, jakbym to ja miał zostać przerybany na pół.

– Frank?! – Pani Zimmer wpatrywała się zdziwiona w ostrze toporka, które zatrzymało się w odległości kilku centymetrów od jej drobnej siwej głowy. – Co to jest?

– To... – Frank opuścił toporek. – To jest pulaski, najlepszy toporek strażacki, jaki istnieje. Ale dlaczego pani nie leży we własnym łóżku?

– Przez te wasze syreny – wyjaśniła. – Przy takiej pogodzie nie pali się las, tylko domy. A nic nie płonie szybciej niż książki. Wystraszyłam się, że to w bibliotece wybuchł pożar.

– Pożar jest już ugaszony – oznajmił Frank. – Wpuści nas pani?

– No nie wiem – odparła, patrząc na dwóch strażaków niosących długą drabinę. – A czego chcecie?

– Wypożyczyć książki. – Agent Dale wsunął rękę pod marynarkę i wyjął skórzane etui z metalową gwiazdą. – W imieniu prawa.

Pani Zimmer niechętnie otworzyła drzwi.

– Tutaj! – powiedziałem, kiedy już weszliśmy do środka, i wskazałem ścianę, na której półki z książkami zniknęły w ciemności ponad lampą zapaloną przez bibliotekarkę.

– Naprawdę chcecie się tam wspinać? – spytała pani Zimmer, która stała z założonymi rękami w jadowniczym zielonym szlafroku.

– A dlaczego nie? – zdziwił się agent Dale.

– Bo... – Skrzywiła się. – ...ostatnio nie jest tu bezpiecznie.

– Co ma pani na myśli?

– Kilka dni temu przyszła tu córka Taylorów z wędką i pytała o książki o łowieniu pstrągów. Zapewne wiedziała, że będę musiała ich szukać w drugim końcu biblioteki, bo kiedy tu wróciłam, już jej nie było, zniknęła też jedna z moich książek.

– Która? – zainteresowałem się. I odpowiedziałem sobie sam, bo pani Zimmer mocno zacisnęła wąskie usta: – Książka o czarnej magii słów.

– Od tamtej pory tu jest... strasznie. – Bibliotekarka zadrżała. – Stale coś szeleści i chrobocze, książki są przestawione albo spadają na podłogę, chociaż nie ma żywej duszy. Jakby ktoś szukał czegoś, co zniknęło.

– To dlatego pani tu jest – stwierdził agent Dale. – Wcale nie przez syreny strażackie. Pani nie opuszcza tego miejsca w dzień i w nocy. Nocuje pani w bibliotece.

Pani Zimmer westchnęła.

– Mam kanapę w biurze. Skłamałam, bo nie chciałam, żebyście wzięli mnie za kompletną wariatkę. Ale to moja biblioteka. Przepracowałam tu całe życie i nigdy nie zgubiłam żadnej książki ani nie odłożyłam jej w niewłaściwe miejsce.

– Tak jak tej książki o czarnej magii słów – wtrąciłem.

– Stała tam – powiedziała pani Zimmer.

Frank zapalił latarkę i skierował jej światło we wskazaną stronę. Rzeczywiście, między grzbietami książek było puste miejsce. Serce mi się ścisnęło.

– Zniknęła – rzucił z westchnieniem agent Dale.

– Ukradzono ją – poprawiła go pani Zimmer.

– Wobec tego nie potrzebujemy drabiny – rzucił Frank do strażaków, którzy odwrócili się na pięcie i ruszyli z powrotem.

– Zaraz! – zawołałem. – A co to za biała książka z prawej strony tego wolnego miejsca?

– To przecież oczywiste – odparła pani Zimmer. – To drugi tom cyklu o magii słów. Dotyczy białej magii.

Spojrzałem na Franka i kiwnąłem głową.

– Panowie! – krzyknął. – Wracajcie jednak z tą drabiną!

Agent Dale i ja siedzieliśmy w czytelni, przeglądając w świetle wygiętej lampki biurkowej dzieło pod tytułem *Wielka księga o magii słów. Tom II. Biała magia słów*.

Frank i pozostali strażacy pojechali dołączyć do poszukiwań Karen, a pani Zimmer poszła do swojego biura zaparzyć dla nas herbatę.

Kartki książki były cieniutkie, a druk tak drobny, że już bolały mnie oczy.

Pisano tam o zdejmowaniu lokalnych i międzynarodowych klątw, były zaklęcia ogólne i konkretne, formuły odwracające zaklęcia, za których sprawą ludzie zmieniali się w żaby. Księga zawierała przepisy na ujarzmienie burzy, usuwanie świerzbów i rozluźnianie zakorkowanych ulic. Ale nie było nic o tym, czego szukałem.

Rozbolała mnie głowa, więc roztarłem skronie, skanując stronę w poszukiwaniu tych trzech liter: I-M-U. Przerzuciłem kartkę i spojrzałem na numer strony. Dwanaście. Dwanaście stron, których sprawdzenie zajęło nam ponad dwadzieścia minut. Zostało osiemset jedenaście.

Odsunąłem książkę.

– Nic nie możesz znaleźć? – spytał agent Dale.

– Będziemy tu siedzieć do świtu, żeby przejrzeć to wszystko. A tyle czasu nie mamy. Bo z tego, co wiem... – Przełknąłem ślinę. Nie dokończyłem zdania, ale po minie agenta Dale'a poznałem, że zrozumiał: „...już i tak jest za późno”.

Jęknąłem i uderzyłem głową w otwartą książkę.

Agent Dale klepnął mnie w plecy.

– Dalej, Richard, mimo wszystko próbujmy! Bo przecież... – On też nie dokończył zdania, a ja zrozumiałem: „...to jedyne, co możemy zrobić”. Miał rację. Tylko że byłem już bardzo, ale to bardzo zmęczony.

– Indeks.

Poczułem zapach herbaty, spojrzałem wyżej i zobaczyłem, że pani Zimmer postawiła parujący kubek tuż przy mojej głowie.

– Słucham?

– Indeks – powtórzyła. – Jeżeli czegoś szukasz, to posłuż się indeksem. Tam wszystko jest ułożone alfabetycznie. – A zwracając się do agenta Dale'a, dodała: – Uwielbiam rzeczy w porządku alfabetycznym.

Podniosłem głowę i zjrzałem na sam koniec księgi. Rzeczywiście był tam indeks. Przerzucałem kartki, aż trafiłem na kolumnę z literą I i zacząłem przesuwac po niej wzrokiem, pomagając sobie palcem.

Ikara skrzydła, iluzja, imaginacyjne przeżycia, immaterialne światy, importowana magia słowa oraz... Imu, a ściśle mówiąc:

Imu... s. 214, 510.

Wróciłem na stronę dwieście czternaście, szukałem, aż znalazłem to słowo.

IMU to zaklęcie zaliczające się do czarnej magii słów. Sprawia, że osoba, na którą się je rzuci, wierzy, że staje się zaklinającym, tak jak w słowach I AM YOU. Ktoś, na kogo rzucono zaklęcie IMU, będzie jak bezwolny robot szukał kryjówki w miejscu, o którym nie wie nikt inny, oraz potwierdzenia I AM YOU, robiąc coś, co upodobni ją lub jego do zaklinającego.

To było wszystko. Zjrzałem więc na stronę pięćset dziesięć. Przeleciałem ją wzrokiem i znalazłem!

Przeciwnaklęciem do IMU jest IME, zob. zaklęcia odwracające. Przeciwnaklęcie może być użyte jedynie w przypadku, gdy zaklinający i zaklinany są jedną i tą samą osobą. Ażeby znieść moc zaklęcia I AM YOU, należy zatem skłonić zaklinającego do wypowiedzenia słowa IME – I AM ME.

Wyczułem, że agent Dale czyta mi przez ramię.

– Dziękuję za herbatę, pani Zimmer – powiedziałem, wstając.

Wsiadliśmy do samochodu i agent Dale sięgnął po mikrofon radia policyjnego zamontowanego w desce rozdzielczej.

– Tu agent Dale. Coś nowego w sprawie Karen Taylor? Odbiór.

Przez chwilę w radiu tylko trzeszczało, ale w końcu rozległ się głos McClellanda:

– Na razie nic. Ktoś podobno widział ją biegnącą w stronę szkoły, ale tam wszystko jest pozamykane, nic nie znaleźliśmy. Chodzimy teraz od domu do domu.

– Próbowaliście u Oscara juniora? – podsunąłem.

– Właśnie tam byliśmy – odparł McClelland. – Ale on jej nie widział i nie ma pojęcia, gdzie mogła się podziać.

– Dajcie znać, jeśli tylko się czegoś dowiedzie – polecił agent Dale.

– Jasne.

– Dzięki. Bez odbioru.

Odwiesił mikrofon z powrotem. Pustym wzrokiem patrzyłem przez szybę. Deszcz znów przestał padać. Było trochę tak, jakby ktoś tam, na górze, zrobił sobie zabawę w odkręcanie i zakręcanie kranu.

– Może ukryła się w jakiejś piwnicy – zastanawiał się Dale. – W takiej, o której wie tylko ona.

Próbowałem sobie przypomnieć, jaka to może być piwnica. Jakaś bardzo ciemna albo...

Księżyc nagle uznał, że pora znów nam zaświecić. A ja wciąż wpatrywałem się w milczące radio. Może było z nim tak jak z garnkami, kiedy jest się głodnym i niecierpliwym? Nic się nigdy nie zagotuje, gdy się na nie patrzy. Potem przeniosłem spojrzenie na niebo nad nami. Pokrywa chmur popękała, spomiędzy pojedynczych obłoków wyglądały gwiazdy.

Piwnica. Salon. Albo strych. Albo...

Jedna z chmur rzeczywiście wyglądała jak Chewbacca, ten gość w futrze. Nie, nie gość, tylko Wookiee.

– Już wiem! – zawołałem.

Agent Dale podskoczył na siedzeniu.

– Co wiesz?

– Wiem, gdzie ona jest! Gazu!

Chwyciłem niebieską lampę, która leżała na podłodze, wychyliłem się przez okno i umieściłem ją na dachu.

Rozdział 22

Pociągnąłem za drzwi do budynku szkoły.

– Zamknięte – stwierdziłem, przyciskając twarz do mleczej szyby z boku. W ciemności panującej wewnątrz nie dostrzegłem żadnego ruchu.

– Odsuń się, ja to załatwię – oświadczył agent Dale.

Odchylił połą marynarki i wyjął pistolet. Zasłoniłem uszy rękami. Ale on go odwrócił i trzymając za lufę, rękojeścią wybił szybę. Potem wsunął rękę i otworzył drzwi od środka.

– Myślałem, że... – zacząłem.

– Wiem, co myślałeś – wszedł mi w słowo. – Takie rzeczy działają tylko na filmach.

Pobiegliśmy w głąb korytarzem i dalej na górę po schodach.

Ciężko dyszałem, kiedy stanęliśmy wreszcie przed drzwiami prowadzącymi na dach. Delikatnie nacisnąłem klamkę. Tu nie było żadnej szyby, którą dałoby się stłuc.

– To co, postrzelamy trochę?

Dale westchnął, znów odchylił połą marynarki, ale to, co wyjął tym razem, było znacznie mniejsze niż pistolet, raczej wielkości spinacza.

– Przesuń się. – Wcisnął czubek tej wyglądającej jak spinacz rzeczy do zamka i zaczął nią obracać. Pracował w skupieniu, wysuwając z ust koniuszek języka.

– Tylko na filmach? – spytałem szeptem.

– Tylko na filmach.

W zamku coś miękko szcęknęło i agent Dale ostrożnie uchylił drzwi. Wstrzymaliśmy oddech. Jedyнным dźwiękiem, jaki do nas dochodził, był cichy, monotony dziewczęcy głos.

– Niech pan tu zaczeka – szepnąłem.

Otworzyłem drzwi szerzej i przez wysoki próg przeszedłem na płaski dach. Po niebie gnały ostatnie chmury, a nad naszymi głowami gwiazdy migotały jak

klejnoty na czarnym aksamicie. To była po prostu piękna noc. Karen też wyglądała pięknie, chociaż mokre włosy lepiły jej się do głowy, a na nocnej koszuli widniały smugi błota. Stała na samym skraju podwyższonej i obitej blachą krawędzi dachu – przodem do mnie, a plecami do szkolnego podwórza. Wydawało się, że mnie nie widzi. Oczy miała zamknięte, a twarz zwróconą ku niebu, jakby się opalała. Ale jej wargi się poruszały. Podszedłem do niej wolnym krokiem, a kiedy zbliżyłem się dostatecznie, usłyszałem powtarzane przez nią słowa:

– *I AM YOU, I AM YOU, I AM...*

Zwilżyłem wargi i sam zacząłem monotonicznie powtarzać:

– *I AM ME, I AM ME, I AM ME...*

Kiedy od Karen dzieliły mnie już tylko trzy metry, nagle umilkła i otworzyła oczy jak robot, którego ktoś włączył. Zatrzymałem się, bo nie chciałem ryzykować, że się przestraszy, zrobi krok do tyłu i spadnie. Patrzyła wprost na mnie. Widziałem, że to Karen, ale tamta dziewczyna, którą znałem, zniknęła. To znaczy nie całkiem, była gdzieś w środku, za tym matowym wzrokiem, lecz nie sama.

– Cześć, Karen – powiedziałem. – To ja, Richard.

– Richard – powtórzyła głosem brzmiącym tak, jakby musiała walczyć, żeby się odezwać. – Chcesz zobaczyć, że umiem fruwać?

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie umiesz fruwać. Powtarzaj za mną: *I AM ME*.

– *I AM...* – zaczęła Karen. Ale urwała.

Zacisnęła zęby i patrzyła na mnie z desperacją malującą się na twarzy. Widziałem, jak jej wargi układają się do wypowiedzenia słowa *ME*, lecz jakaś niewidzialna ręka jakby ścisnęła kąciki ust, żeby wypowiedziały *YOU*. Zrobiłem maleńki kroczek do przodu, gwałtownie jednak zahamowałem, gdy Karen odpowiedziała takim samym kroczkiem w tył, w stronę krawędzi. Dopiero teraz dostrzegłem, że jest boso, a wrazenie butów wywołały krew i błoto pokrywające jej stopy.

– *I AM ME* – powiedziałem.

Kiwnęła głową, jakby zrozumiała. Ciało jej drżało, napinała wszystkie mięśnie.

– No dalej! – szepnąłem. – Dalej, Karen, dasz radę!

– *I AM...* – zaczęła. Żyłki na jej szyi naprężyły się, gdy wychrypiła: – *YOUUUU...*

– On nie żyje! – zawołałem. – Nie ma go! Spłonął!

Ale to nie pomagało. Tkwił w niej niczym pasożyt. A ja widziałem rozpacz na jej twarzy, łzy, które wezbrały w oczach i stoczyły się po policzkach. Zrozumiałem wówczas, że Karen jednak nie da rady. Cofnęła się jeszcze trochę. Pięty zakrwawionych stóp wystawały już poza krawędź dachu.

– Karen, nie chcę cię stracić. Słyszysz?

Spojrzała na mnie smutno, jakby prosiła o wybaczenie za to, co właśnie robi. Zamrugalem, strącając dwie łzy z własnych oczu, i wyrzekłem dwa słowa, które wielokrotnie czytałem i słyszałem, lecz których nigdy sam nie wypowiadałem i w które dotąd nie wierzyłem. Dopiero teraz, kiedy wymówiłem je powoli, głośno i wyraźnie:

– Kocham cię.

To było pożegnanie. Ostatnie słowa, jakie miała usłyszeć. Ale jeszcze nie spadła. I na jej twarzy coś się odmieniło, jakby pękło. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– *I...* – zaczęła, nachylając się w moją stronę – *AM... ME.*

Zabrzmiało coś takiego, jakby ktoś szepnął „pst!”, ale od razu zrozumiałem, że to odgłos jej zakrwawionych stóp, które ześlizgnęły się z blachy. Zdażyłem zrobić zaledwie pół kroku do przodu, gdy Karen zniknęła mi z oczu, pochłonięta przez mrok.

Spadała bez najmniejszego szelestu.

Patrzyłem sztywno przed siebie.

Dopiero gdy spadła na szkolne podwórze, rozległ się miękki odgłos.

Miałem dziwne wrażenie, że byłem tu już wcześniej, że już to kiedyś przeżywałem. Moje spojrzenie pochwyciło księżyc, wielki i błydy ponad wierzchołkami drzew na wschodzie. Usłyszałem, że na dach wychodzi agent Dale. Razem podeszliśmy do krawędzi. Nachyliliśmy się i spojrzeliśmy w dół. Zobaczyłem migające niebieskie światło wozu strażackiego. I wielką okrągłą płachtę ratowniczą, trzymaną przez sześciu mężczyzn z Frankiem włącznie. A na jej środku, który ciągle sprężynował, leżała Karen wpatrzona w niebo. Może wypatrywała chmur, może patrzyła w gwiazdy. Ale pomyślałem – i ciągle tak myślę – że wypatrywała mnie.

Rozdział 23

Kiedy wpuszczono mnie do sali, w której leżała Karen, pielęgniarka zapowiedziała mi, że mogę zostać najwyżej pięć minut, bo, jak wyjaśniła, pacjentka musi odpoczywać.

Było popołudnie, od pożaru i upadku z dachu szkoły minęła prawie doba.

– Jakie ładne kwiaty – odezwała się Karen, kiedy położyłem na nocnym stoliku bukiet, jak zauważyłem, o wiele mniejszy od innych bukietów, które dostała. – Słyszałam, że mnie uratowałeś.

– Nie, to strażacy, którzy rozłożyli płachtę ratowniczą.

– A ja słyszałam, że to ty im przykazałeś, żeby czekali w pogotowiu.

– Hm.

– Hm? Tak czy nie?

Uśmiechnąłem się tylko.

– Musisz mi o tym opowiedzieć, ty wariacie. – Karen usiadła na łóżku.

Widziałem, że zaczyna być taka sama jak dawniej.

– Bo ja nic nie pamiętam, rozumiesz? – dodała.

– Słyszałem o kimś w Liep, kto miał... tę samą chorobę. I skoczył z dachu. Więc pomyślałem, że i ty możesz to zrobić.

– Nie rozumiem, skąd wiedziałeś, że wejdziesz na dach szkoły.

– W księdze o białej magii słów napisano, że schowasz się w miejscu, o którym tylko ty wiesz.

– Tylko ja. – Uśmiechnęła się. – I ty.

Umilkliśmy, wpatrując się przez otwarte okno w letni dzień. Słuchaliśmy cykania koników polnych, bzyczenia pszczoł i śpiewu skowronków.

– Musisz wracać do Liep? – spytała.

– Nie – odparłem. – Agent Dale rozmawiał z dyrektorem Liep, McClellandem i dyrektorem szkoły tutaj. Wracam tu do szkoły w poniedziałek.

– Świetnie!

Znów milczeliśmy. Nie miałem wątpliwości, Karen była osobą, z którą milczało się najprzyjemniej. Chciałem, żeby tych pięć minut trwało wiecznie.

– A wiesz, co z tym pożarem? – spytała.

– Dom prawie całkiem spłonął, ale nie do końca. Z powodu deszczu.

– Mam nadzieję, że nikt się nie spalił w środku.

– Ja też mam taką nadzieję – zgodziłem się.

Agent Dale powiedział mi, że w pogorzelisku nie znaleziono żadnych zwłok, i prosił, żebym nikomu nie mówił, co się stało z bliźniętami, dopóki policjanci nie dowiedzą się czegoś więcej. Stwierdził, że nie chcą straszyć mieszkańców Ballantyne bardziej, niż to absolutnie konieczne. Dąb także był uszkodzony i martwy. Dale mówił też, że będą chcieli wykopać korzenie, żeby sprawdzić, co jest pod nimi.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – zapytałem. – Nic z tego, co mówiłem ci wczoraj na dachu?

– Na przykład? – Karen uśmiechnęła się niewinnie.

– Nic takiego – mruknąłem.

– Nie, nic nie pamiętam. – Podniosła bukiet ode mnie i powąchała. – Ale... chyba coś mi się śniło.

– Na przykład co?

– Nic takiego – odparła.

Kwiaty zasłaniały jej twarz, trudno było stwierdzić, czy się uśmiecha, czy nie.

Nabrałem powietrza. Teraz albo nigdy.

– Kiedy stąd wyjdiesz... – Znów musiałem głęboko odetchnąć.

– To co? – spytała Karen.

– Wybierzesz się ze mną do kina?

– Do kina?

– Na remake *Nocy żywych trupów*. Mają go puszczać w Hume za tydzień. Frank będzie mnie uczył prowadzić samochód, więc mogę jechać.

– Hm. Myślisz, że ten film jest tak samo dobry jak ten stary?

– Nie.

Roześmiała się.

- Ale może straszniejszy?
 - Może. Potrzymam cię za rękę, jeśli będzie zbyt strasznie.
- Spojrzała na mnie zamyślona.
- Naprawdę?
 - Tak.
 - A możesz mi pokazać, jak to zrobisz?
 - Jak cię będę trzymał za rękę?
 - Tak.
 - Teraz?
 - Tak, teraz.

CZĘŚĆ II

Rozdział 24

Przytrzymałem telefon w wyciągniętej ręce, wysiliłem wzrok, zmrużyłem oczy, żeby tekst na ekranie się wyostrzył.

Tak to już jest, kiedy zapomni się okularów do czytania.

W końcu się poddałem i zrobiłem to, o co właśnie poproszono przez głośniki na pokładzie samolotu: wyłączyłem komórkę. Chociaż tak naprawdę wcale nie musiałem czytać tego SMS-a jeszcze raz, bo umiałem go już na pamięć.

Cześć, Richard. Hura! Dowiedziałam się, że Ty też się zgłosiłeś. Tak się cieszę, że znów Cię zobaczę i usłyszę o wszystkim, co się wydarzyło przez te lata. Bo przecież u Ciebie wydarzyło się mnóstwo! Uściski, Karen

Samolot przeciął warstwę chmur i ze swojego miejsca przy oknie w business class mogłem zobaczyć płaski jak naleśnik, porośnięty lasem, jesiennie czerwony krajobraz. Przypomniało mi się tamto uczucie, gdy na dużej przerwie staliśmy z Karen na dachu szkoły i patrzyliśmy na Ballantyne. Od tamtej pory minęło piętnaście lat. Jak ona teraz wygląda? Kiedy dostałem zaproszenie na spotkanie naszego rocznika, było to pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem. Oczywiście mogłem próbować szukać odpowiedzi w mediach społecznościowych albo odnaleźć gdzieś jej numer telefonu, ale tego nie zrobiłem. Dlaczego? Bo nie chciałem zobaczyć zdjęć prezentujących rodzinne szczęście, ją, Oscara i parkę słodkich dzieciaków? Czy dlatego że mogłem ostatecznie pozwolić sobie na myślenie o niej, ale poprzez wciśnięcie klawiszy peceta dałbym namacalny dowód głosowi, który oskarżał mnie o to, że nigdy nie zapomniałem Karen Taylor? No cóż, siedziałem teraz w samolocie lecącym z wielkiego miasta i już samo to wystarczało za dowód. Chociaż było kilka innych powodów, dla których zdecydowałem się w końcu skorzystać z zaproszenia. Na przykład ponowne zobaczenie wszystkich tych miejsc stanowiących dla mnie inspirację do napisania horroru dla młodzieży, który zmienił moje życie i na który właśnie podpisałem umowę opcji filmowej: *Nocny Dom*. Na przykład odwiedzenie Franka i Jenny, którzy tak często przyjeżdżali do mnie do miasta. No i oczywiście rewanż. Chciałem zobaczyć szacunek, może nawet zazdrość w spojrzeniach Oscara

i innych, gdy będą się witać z Richardem Hansenem, fetowanym autorem książek dla dzieci. Jestem na tyle małym człowiekiem. Ale być może ten wyjazd sprawi, że chociaż trochę dojrzeję. Oprócz spotkania z Karen była to najważniejsza przyczyna mojego powrotu do Ballantyne. Chciałem prosić o wybaczenie. Przeprosić za to, że dręczyłem i prześladowałem, że deptałem po tych, którzy stali w hierarchii jeszcze niżej ode mnie.

Kapitan poinformował, że wkrótce lądujemy na lotnisku w Hume, więc zapiąłem pas. Na ostatnim odcinku podróży trochę nami rzucało, ale zdaje się, że i tak mieliśmy szczęście, bo na wieczór zapowiadano silniejszy wiatr i więcej deszczu, a nawet burze.

Przechodząc przez halę przylotów, spojrzałem na stojak z książkami wystawiony przed kioskiem. To już weszło mi w zwyczaj. Ponieważ nie zobaczyłem swojej książki, prędko się rozejrzałem i obróciłem statyw. Była tam. Tytuł *Nocny Dom* wypisano zieloną postrzępioną czcionką, w hołdzie dla komiksu *Potwór z Bagien*. Ilustracja na okładce, utrzymana w podobnym komiksowym stylu, prezentowała wystraszzonego chłopca, który próbuje oderwać się od słuchawki telefonicznej, choć ta pochłonęła już jego rękę aż do łokcia. Wyjąłem długopis, otworzyłem książkę na początkowej stronie i przeczytałem pierwszą linijkę:

– *Z-z-z-zwariowałaś – powiedział Tom, a ja zrozumiałem, że się boi, bo zająknął się o jeden raz więcej niż zwykle.*

Potem złożyłem autograf i odstawiłem książkę z powrotem na stojak.

Gdy taksówka podjechała pod dom, Frank, uśmiechnięty, z fajką w ustach, stał w progu. Kiedy płaciłem, usłyszałem, jak woła Jenny. Zanim wysiadłem, już witała mnie z otwartymi ramionami przy kamiennych schodach, natomiast Frank ciągle tkwił w drzwiach, jakby wymagały stróżowania. Wpadłem w głębokie, miękkie objęcia Jenny, a zaraz potem w płytsze i twardsze, ale tym mocniejsze objęcia Franka.

Usiedliśmy w salonie – Jenny i Frank na kanapie, a ja naprzeciwko nich na honorowym miejscu w fotelu uszaku. Piliśmy herbatę, wypytywałem o to i owo, ale oni zaraz stwierdzili, że nie mają nic nowego do przekazania, chcieli, żebym to ja opowiadał. Więc opowiadałem. Głównie o tym, o czym – jak wiedziałem – chcieli usłyszeć, o ostatnich postępach na froncie książek, o życiu w wielkim mieście. O słynnym reżyserze, z którym jadłem kolację i który chciał zekranizować *Nocny Dom*.

– O kogo chodzi? – spytał Frank.

Wymieniłem tytuły kilku wyreżyserowanych przez niego filmów. Frank zamruczał zadowolony, kiwając z uśmiechem głową, jakby je widział, a Jenny przewróciła oczami.

– Spotkałam wczoraj Alfreda – oznajmiła. – Pytał, co u ciebie.

– Wszyscy pytają, co u ciebie – dodał Frank z dumą.

– Tak, tak, śledzimy, co się u ciebie dzieje – zapewniła Jenny. – Przecież właściwie to ty umieściłeś Ballantyne na mapie.

Nie powiedziałem, że to raczej przesada, bo nie wystarczy być marnym pisarzem, żeby stać się sławnym; do tego trzeba wziąć udział w co najmniej jednym reality show. To była jednak tania puenta, którą wykorzystałem już w zbyt wielu wywiadach, tu zresztą z pewnością nie zostałyby wzięta za dobrą monetę.

– Miło, że ludzie tak to odbierają – stwierdziłem. – Ale tutaj jak wszędzie indziej są chyba granice akceptacji sukcesu odniesionego przez sąsiada. Zwłaszcza jeśli ten sąsiad był draniem w szkole.

Jenny popatrzyła na mnie zdziwiona, potem przeniosła wzrok na Franka, który wzruszył ramionami. Chyba nie zrozumieli – albo nie chcieli zrozumieć – że ich ulubieniec był w zasadzie identyczny z dupkiem z *Nocnego Domu*.

– Tak, tak. – Jenny wyraźnie chciała zmienić temat. – Kiedy poznasz jakąś dziewczynę?

Przywołałem na twarz jakby przepaszający uśmiech i podniosłem do ust filiżankę z herbatą.

– To oczywiste, że on poznaje różne dziewczyny. – Frank z uśmiechem pyknął fajkę. – Jest przecież bogatym celebrytą. I właśnie dlatego nie musi łapać pierwszej lepszej.

Jenny trzepnęła go w ramię.

– Tak jak ty musiałeś? To chcesz powiedzieć?

Frank objął ją ze śmiechem.

– Nie każdy znajduje złoto za pierwszym razem.

Uśmiechnąłem się do obojga, odstawiłem filiżankę i spojrzałem na zegarek. Wskazałem na piętro, sygnalizując, że chciałbym iść na górę.

– No tak, musisz się przygotować do uroczystości – powiedziała Jenny.

– Albo może chce popisać. Przecież stale coś pisał.

– Tak, tak, pamiętasz? – Przechyliła głowę, a oczy jej zwilgotniały. – Nawet w sobotnie wieczory, kiedy siedzieliśmy przed telewizorem, mieliśmy ciastka i inne przysmaki, ty wolałeś być u siebie i pisać. Wydawało nam się, że to, co pokazują w telewizji, jest okropne, a nie mieliśmy pojęcia o tych strasznych rzeczach, które rozgrywały się w twojej wyobraźni.

– Wiesz, zastanawiałem się nad tym. – Frank pokiwał głową, jakby z góry zgadzał się z własną konkluzją. – Kiedy przyjechałeś tu wtedy z wielkiego miasta, na pewno strasznie się nudziłeś. Przecież w Ballantyne kompletnie nic się nie działo. Dlatego musiałeś stworzyć sobie miejsce, w którym mogły się wydarzać najbardziej niezwykle i niesamowite rzeczy. Były tu mięsożerne telefony... – Nabrał powietrza, jakby coś się w nim zacięło.

– ...drzewa z chwytymi mackami i biedny Jack zamieniony w chrząszcza – dodała czym prędzej Jenny. – Ciekawe, co Jack myśli o tym dzisiaj? No i użyłeś naszych imion.

– Ale nie nazwisk – uzupełnił Frank, chcąc może pokazać, że jest zorientowany. – A ze mnie, zwykłego instruktora nauki jazdy, zrobiłeś komendanta straży pożarnej. Bardzo mi się to podobało.

– À propos nazwisk, ja też się nad czymś zastanawiałam – powiedziała Jenny. – Elauved. Jak wymyśliłeś to nazwisko?

Wziętem głęboki oddech. Nadeszła wreszcie chwila, którą sobie wyobrażałem, chwila, w której w końcu im to powiem.

– Richard Elauved. *Rich are the loved*. Bogaci są ci, którzy są kochani. Wymyśliłem je dla was. Przyjęliście mnie i pokochaliście jak własne dziecko. Uczyniliście mnie bogatszym, daliście mi więcej, niż mogliby dać rodzice milionerzy.

To znaczy, wydawało mi się, że to powiedziałem, ale po ich wyczekujących minach poznałem, że wcale tego nie zrobiłem. Dlaczego to takie trudne?

– Tak mi po prostu wpadło do głowy – odparłem tylko, bo to przynajmniej nie było czystym kłamstwem.

Rozejrzałem się po salonie. Przy kominku wisiało zdjęcie przedstawiające ptaka unoszącego się ponad lasem. Mogło tu wisieć już w czasie, gdy tu mieszkałem,

tylko zwyczajnie sobie tego nie przypominałem. Nie wiedziałem, kiedy w mojej pamięci pojawiły się te dziury.

Wstałem.

– Obiad będzie gotowy za pół godziny. Lazania. – Jenny puściła do mnie oko. – Gdybyś chciał wziąć prysznic, ręcznik leży na łóżku.

Podziękowałem i wszedłem na górę po schodach. Zatrzymałem się na chwilę przed drzwiami do mojego pokoju, wsłuchując się zarówno w cudowną ciszę tam, w środku, jak i w dające poczucie bezpieczeństwa rozmowę i odgłosy krzątania w kuchni. Dlaczego potrafiłem zdobyć się na wyznanie miłości wobec ludzi, których nie kochałem, a wobec tych, których kochałem naprawdę, nie? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Możliwe, że jestem skrzywiony w bardziej fundamentalny sposób, niż mam tego świadomość.

Pchnąłem drzwi. Nic się tu nie zmieniło. Pokój wyglądał jak muzeum poświęcone Richardowi Hansenowi. Albo Richardowi Elauvedowi. W każdym razie moje spojrzenie – jak zawsze – odruchowo skierowało się na deski podłogi pod oknem, żeby sprawdzić, czy nie wpatruje się we mnie magi-cykada z czerwonymi oczami Grubasa.

Rozdział 25

Było dziesięć po siódmej i zapadł już wieczorny mrok, kiedy wchodziłem do klasy.

Poczułem się tak, jakbym wysiadł z wehikułu czasu. Wszystkie twarze w ławkach odwróciły się w moją stronę, podobnie jak panna Ćwir-Ćwir, która stała przy tablicy ze wskaźnikiem w ręku. Różnice między terażniejszością a tym, co było przed piętnastoma laty, stanowiły jedynie pajęczyna, którą ktoś rzucił na te twarze, przesunięta linia włosów u chłopaków i kilka dodatkowych kilogramów. Mogło się też wydawać, że niektóre okulary zmieniły właścicieli – jedni nie chcieli już dłużej źle widzieć bez szkieł, za to drudzy pozbyli się swoich po wykonaniu operacji laserowej lub zamienili je na soczewki kontaktowe.

– Jak zawsze się spóźniasz, Richardzie – powiedziała panna Ćwir-Ćwir z udawaną surowością w głosie.

Buchnął śmiech z gwałtownością budzącą podejrzenia zbyt długo tłumionej nerwowości, ale pewnie tak zwykle bywa na tego rodzaju spotkaniach klasowych. Powiodłem wzrokiem po ławkach, wesołym głosem mówiąc:

– Przepraszam, ale uświadomiłem sobie, że zapomniałem zabrać z domu książkę do matematyki, więc musiałem zawrócić, a po drodze jeszcze przebiłem dętkę w rowerze.

Odpowiedzią był oczywiście znowu śmiech.

Wszyscy mieli przed sobą kieliszki z czymś musującym. Dostrzegłem twarze, które pamiętałem, lecz też kilka takich, o których całkiem zapomniałem – połączenie mojej dziurawej pamięci z tym, że pewni ludzie potrafią przejść przez życie innych, nie pozostawiając po sobie kompletnie żadnych śladów. W każdym razie nie zauważyłem tej twarzy, której szukałem.

Karen.

Dopiero na samym końcu klasy.

Najpierw zobaczyłem Oscara. Przytył, ale zdołał zachować włosy. W uśmiechu odsłaniał zęby równie białe, jak dawniej, a patrząc na mnie, uniósł kciuk.

Karen siedziała w sąsiedniej ławce. Nie wiedziałem właściwie, na co liczyłem. Chociaż jednak wiedziałem. Miałem nadzieję, że będzie wyglądała gorzej. Że straci blask, urok, nieodparty wdzięk, który płynął być może właśnie z jej świadomości nieodpartego wdzięku, działającego przynajmniej na niektórych chłopaków. Miałem nadzieję, że przyjadę, stwierdzę to i będę mógł się śmiać z nostalgicznego wspomnienia, teraz, kiedy moja Karen Taylor zniknęła, strącona z piedestału. Że przyjemnie spędzę czas na swobodnych wspominkach i wrócę do domu jako wolny człowiek, uwolniony od tego marzenia, które właściwie nawiedzało mnie jak koszmar i kosztowało tyle czasu i energii.

Ale tak oczywiście nie było.

Karen wyglądała dokładnie tak samo, może miała bardziej wyraziste rysy twarzy i więcej krągłości na ciele. I uśmiechnęła się do mnie tak, jakbym był jedyny na świecie, z naturalną oczywistością dając mi znak, że ławka obok niej jest wolna. Serce zabiło mi szybciej ze szczerzej radości. Niech to szlag.

Pochyliła się do mnie, gdy tylko usiadłem.

– Wstręciuch – szepnęła, kładąc mi rękę na ramieniu. – Już zaczęłam się bać, że jednak nie przyjdiesz.

– Staram się nie wypaść z roli – odszepnąłem.

Sięgnąłem po napełniony kieliszek, który stał przede mną, i stuknąłem się z Karen. Wypiłem. Miałem wrażenie, że bąbelki szampana uderzają mi wprost do mózgu, więc upomniałem się w duchu, że ponieważ ledwie skubnąłem lazanie, nie mogę przeszarżować, żeby za bardzo się nie wstawić.

– Dzieci, proszę tam z tyłu o spokój! – przywołała nas dobrodusznie do porządku panna Ćwir-Ćwir. Oczywiście nie nazywała się tak jak w mojej książce, ale za skarby świata nie mogłem sobie teraz przypomnieć jej prawdziwego nazwiska.

Zdążyłem zauważyć skierowane na mnie lekko badawcze spojrzenie Oscara, zanim przeniósł je na naszą wychowawczynię, która opowiadała o tym, co się wydarzyło w szkole od czasu, gdy ją opuściliśmy. Głównie dotyczyło to remontów i nowych budynków, zmian na stanowisku dyrektora, reform i innych nudnych faktów.

Po „lekcji” przeszliśmy do sali gimnastycznej, przyozdobionej jak na bal maturalny. Dziewczyna z komitetu organizacyjnego stanęła wśród baloników przy

stole ze sprzętem stereo i głośno przedstawiła plan przebiegu wieczoru.

Miałem przed sobą plecy Karen i Oscara. Objął ją, a ona przechyliła głowę, opierając ją na jego ramieniu.

– Gratuluję sukcesu, Richard – rozległ się szept.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem jedną z tych twarzy, których nie pamiętałem, choć należała do przystojnego mężczyzny. Szczupłego, ale szerokiego w barkach. Prawdę mówiąc, skojarzył mi się z agentem Dale'em – właśnie tak go sobie wyobrażałem, pisząc książkę.

– Dziękuję – odpowiedziałem i przyjrzałem mu się uważniej, bo jego głos miał w sobie coś znajomego.

Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Ale czy to możliwe?

– Grubas? – wyrwało mi się.

Roześmiał się bez cienia urazy.

– Dawno tego nie słyszałem, ale tak, to ja, Grubas.

Zniknął nie tylko tłuszcz, zniknęły również okulary. Dostrzegłem, że pod świetnie leżącym garniturem ma umięśnione ciało.

– Jack! – zawołałem. – Przepraszam, po prostu tak mnie to... Czym się zajmujesz?

– Tańcem – odparł. – W tym samym mieście co ty.

– Tańczysz?

– Tańczyłem. Skończyłem szkołę baletową. Teraz jestem głównie choreografem. To przyjemniejsze i... No cóż, o wiele lepiej płatne. Przynajmniej jeśli już wyrobisz sobie nazwisko.

– A ty je wyrobiłeś?

– Nie tak jak ty, Richard, ale radzę sobie.

– Masz rodzinę, dzieci?

– Mam męża. Dzieci na razie jeszcze nie. A ty?

Pokręciłem głową.

– Ani jednego, ani drugiego.

– No to jesteś wyjątkiem. Tutaj ludzie się żenią i produkują dzieci taśmowo... – Skinieniem głowy wskazał Karen i Oscara. – Troje dzieci. I największy dom

w Ballantyne. Oscar go kupił, zburzył i odbudował od zera. Założę się, że zaprosi nas na afterkę, żeby mógł się nim pochwalić. I...

Reszta słów utonęła w muzyce, która w tej chwili ryknęła podkrecona i wśród moich kolegów nastąpił wybuch radości. Irytujący przebój, którego nienawidziłem, kiedy chodziłem do szkoły, teraz zabrzmiał zupełnie na miejscu.

Podeszła do nas jakaś dziewczyna i bez słowa zabrała Jacka w miejsce, które w jednej chwili zmieniło się w parkiet taneczny. Wszyscy zaczęli tam podrygiwać. W tym chaosie straciłem Karen z oczu, ale w końcu sama objawiła się koło mnie.

– O rany, ależ ten Jack się rusza! – przekrzyczyła muzykę, gdy przez chwilę obserwowaliśmy jego akrobatyczne wyczyny. – A co tam u Richarda, dalej nie tańczy?

Pokręciłem głową. Chłopcę grzywka Karen załaskotała mnie w policzek, kiedy się do mnie nachyliła, żeby nie musieć krzyczeć.

– Spadamy?

– O czym ty mówisz?

– Pora na dużą przerwę. Urwijmy się na trochę, niech ci idioci się bawią.

Pomachała mi przed nosem starym, tak dobrze znanym kluczem i roześmiała się tym swoim cudownym wariackim śmiechem.

Ostre jesienne powietrze schłodziło mi twarz, kiedy stanęliśmy na dachu.

Podeszliśmy do krawędzi i spojrzeliśmy w dół na szkolne podwórze.

Silne podmuchy wiatru szarpały grzywką Karen. Na południu od strony Hume błysnęło pod chmurami.

– Mam nadzieję, że uda mu się wylądować – rzekła z westchnieniem Karen.

– Komu?

– Tomowi. Powinien już tu być, ale jego samolot najwyraźniej krąży nad Hume z powodu niepogody.

Pokiwałem głową. Pioruny zdawały się zmierzać w naszą stronę.

Karen podniosła świeżo napełniony kieliszek z szampanem.

– No i znów tu jesteśmy. Ileż tu było zwierzeń!

Moich, pomyślałem. To ja się zwierzałem, a ty tylko pytałaś i słuchałaś.

– A mimo to nigdy nie zdradziłem ci swojej najgłębszej tajemnicy. – Stuknąłem kieliszkiem o jej kieliszek.

Wypiliśmy. Karen, milcząc, wpatrywała się w ciemność. To do niej należała następna zagrywka i dobrze o tym wiedziała.

– Masz na myśli to, co się stało z twoimi rodzicami? – spytała w końcu.

Nie odpowiedziałem. Stwierdziłem tylko, że odbiła piłeczkę. I może tak było lepiej dla nas obojga.

– Zawsze mówiłeś, że słabo ich pamiętasz – dodała. – Teraz potrafisz już opowiedzieć, co się stało?

Zastanowiłem się.

– Nie wiem.

– Powiedz, co pamiętasz.

Na papie przy kominie rozłożyła kurtkę, którą zabrała ze sobą z dołu, usiadła na niej i dała mi znak, że mam zrobić to samo. Zająłem więc miejsce, plecami opierając się o komin. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że moje udo w spodniach od garnituru dotykało jej uda osłoniętego sukienką.

– Zginęli w pożarze – zacząłem.

– Co to był za pożar?

– Podpalenie. W naszym mieszkaniu.

– A kto podłożył ogień?

Z trudem przełknąłem ślinę. W ustach zaschło mi tak, że nie mogłem wydusić z siebie żadnego dźwięku. Dotarł do nas ledwie słyszalny huk grzmotu. Głos Karen zabrzmiał delikatnie, jakby stąpała po kruchym lodzie:

– Ty?

– Nie. Mój ojciec. – Wypuściłem powietrze z płuc.

– Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

– Ponieważ był chory. A matka wyrzucała go z domu, kiedy stawał się agresywny.

– Więc podpalił dom, z którego został wyrzucony, ale sam zginął w pożarze?

– Tak, włamał się do mieszkania, kiedy spaliśmy, i podłożył ogień.

– Bez żadnego ostrzeżenia?

– Tak. To znaczy nie. Dzwonił.

– Do twojej matki?

– Tak. Zwłaszcza w nocy. Ale przestała odbierać telefon, a wtedy czasami ja się zakradałem i podnosiłem słuchawkę.

– Dlaczego?

– Ponieważ... nie wiem. Ponieważ chciałem, żeby telefon przestał dzwonić. Ponieważ chciałem go poprosić, żeby przestał nas straszyć. Ponieważ... chciałem usłyszeć jego głos.

– Usłyszeć jego głos?

– Był moim ojcem. Jemu też było źle.

– A co mówił?

Zamknąłem oczy. Było mniej więcej tak jak wtedy, kiedy pisałem, to po prostu do mnie przychodziło. Obrazy, dźwięki, sceny, co do których nigdy nie miałem pewności, czy je wymyśliłem, czy rozegrały się naprawdę, lecz mimo wszystko wydawały mi się równie rzeczywiste, jak to, że siedzę tu teraz z Karen.

– Powiedział, że ona spłonie. Że ta, którą kocham, spłonie i nic nie będę mógł zrobić. Bo jestem mały, słaby i tchórzliwy. Bo jestem taki jak on, jestem... – Z trudem łapałem powietrze. – ...śmieciem. I kazał mi to powtarzać. „Powiedz, że jesteś śmieciem, inaczej ją zabiję”.

– Więc powtarzałeś?

Otworzyłem usta, żeby potwierdzić, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Miałem wrażenie, że to dotyczy kogoś zupełnie innego, nie mnie, jakby moje ciało, mój głos były jedynie czymś, co wymyślił obcy autor. Że wypluł pierwszą lepszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Jednocześnie wiedziałem, że każde słowo jest prawdą, bo właśnie tak było. Kiwnąłem głową i poczułem, że coś ciepłego spływa mi po policzku. Odwróciłem się. Jednak za szybko wypilem tego szampana.

Karen dotknęła mojego ramienia.

– Ale on mimo wszystko ją zabił?

Otarłem tę łzę.

– Zdiagnozowali u niego schizofrenię. Miał być w szpitalu. I zabrali go. Na oddział zamknięty. Raz udało mi się go odwiedzić. Szpital psychiatryczny stał w polu, otoczony wysokim płotem. Nazywał się Liep. A potem, nie uprzedzając nas, znów go wypuścili. Trzy dni później podpalił nasze mieszkanie.

– Jak przeżyłeś pożar?

– Skoczyłem.

– Skoczyłeś?

– Obudziłem się, gdy w moim pokoju były już płomienie. Podbiegłem do okna. Mieszkaliśmy na dziewiątym piętrze, a na ulicy stały wozy strażackie. Rozłożyli płachtę ratowniczą i wołali, że mam skakać. Więc skoczyłem. Nie pytając wcześniej, czy wyciągnęli moją matkę. Mogłem ją uratować. Przecież miałem już trzynaście lat.

– Jeśli ogień dotarł do twojego pokoju, to raczej nie mogłeś.

– Tego nigdy się nie dowiem.

– Och, Richard. – Dotknęła dłonią mojego policzka.

Zacząłem płakać. Płakałem i płakałem, jakbym dostał skurczu wszystkich mięśni i ciało nie chciało przestać się trząść. Prawie jak w mojej książce, kiedy dotknąłem ogrodzenia pod prądem. I jeszcze w mglistym wspomnieniu czegoś, czego nie umiałem uchwycić.

Karen mnie objęła. Teraz już nie czułem bólu. Przeciwnie, jakby ktoś wyciągnął korek z rury kanalizacyjnej i wreszcie mógł się wylać cały szlam. Puściła mnie dopiero, kiedy przestałem szlochać.

– Proszę – powiedziała.

Podniosłem głowę i wziąłem od niej to, co mi podawała. Roześmiałem się.

– O co chodzi?

– Tylko matka dba o to, żeby mieć dostęp do chusteczek higienicznych nawet w sukni wieczorowej. – Wytarłem nos.

– Matka? – powtórzyła Karen.

– Słyszałem, że ty i Oscar macie troje dzieci. Mieszkacie w jakimś idiotycznie wielkim domu.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Potem i ona zaczęła się śmiać. Teraz z kolei ja musiałem spytać, dlaczego się śmieje.

– To prawda, że Oscar ma troje dzieci – przyznała. – I podobno wielki dom. Ale ja niestety nie mam ani dzieci, ani domu.

– Nie?

– Oscar i ja zerwaliśmy ze sobą zaraz po liceum, tuż po tym, jak... Po twoim wyjeździe.

– Rozumiem. A dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Wybierałam się na południe studiować medycynę, a on miał tutaj przejąć firmę po ojcu. Tak czy owak, wiedziałam, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Skoro o tym wiedziałaś, to dlaczego tak długo ze sobą chodziliście?

– Wiesz... – Karen patrzyła na mnie, ale spojrzenie miała skierowane jakby w głąb siebie. – Sama się nad tym zastanawiałam. I doszłam do wniosku, że było tak, ponieważ wszyscy uważali nas za taką dobraną parę. Nawet moja matka się zdumiała, kiedy jej oświadczyłam, że chcę z nim zerwać.

– A jak on to przyjął?

Zakołysała głową.

– Tak sobie.

– Wygląda na to, że wciąż ma dla ciebie ciepłe uczucia.

– A ja dla niego. Oscar to najmiłszy chłopak na świecie.

– Dalej się spotykacie?

Pokręciła głową.

– On ciągle próbuje nawiązać kontakt, więc muszę po prostu... – Machnęła ręką, jakby oczywiste było, co ma na myśli.

Mimo wszystko spytałem:

– Po prostu?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Pilnować.

Chciałem spytać, kogo trzeba pilnować – Oscara, jej samej czy obojga, ale przerwały nam nawoływania z podwórza:

– Karen! Richard! Wiemy, że tam jesteście!

Wyjrzelismy poza krawędź. To był, rzecz jasna, Oscar.

– Robimy teraz rundę! – zawołał. – Wszyscy muszą wziąć w tym udział!

Runda polegała na tym, że siedzieliśmy na krzesłach ustawionych w dużym kręgu w sali gimnastycznej i po kolei opowiadaliśmy, co się z nami działo przez ostatnich piętnaście lat. Każdemu dano do dyspozycji trzy minuty. Niektórzy jednak załatwiali sprawę w trzydzieści sekund, a tym, którzy przekraczali limit,

nikt nie przerywał. Większość mówiła więcej o rodzinie i ulubionych sposobach spędzania wolnego czasu niż o karierze. Tylko Oscar rozwodził się nad tym, jak dobrze mu idą interesy, a o żonie i trojgu dzieciach wspominał ledwie jednym zdaniem.

Jack rozśmieszył wszystkich autoironiczną opowieścią o chłopcu, który uwielbiał tańczyć przed lustrem przebrany za dziewczynę z *Dirty Dancing*, ale nie rozumiał, że jest gejem, dopóki nie wyjaśniła mu tego jedna z ciotek. Potem przyszła kolej na Karen. Ku mojemu rozczarowaniu – a może uldze – ujawniła niewiele oprócz tego, że przeniosła się na południe, gdzie zdobyła wykształcenie psychiatry, że za dużo pracuje, chwilowo nie jest z nikim związana i mieszka w domu przy plaży razem z dwiema koleżankami.

Wydawało mi się, że zapadła wyjątkowo pełna wyczekiwania cisza, gdy jako ostatni miałem zabrać głos. Jakby historia klasowego celebryty była deserem, na który wszyscy się cieszą. Może nie tak bardzo interesowała ich następna historia sukcesu, bo o tym mogli poczytać w gazetach. Sądziłem, że bardziej ciekawiło ich, jak przyjąłem ten sukces, tę odrobinę sławy. Czy popadłem w zarozumiałstwo, czy uważałem, że musi ich to obchodzić, czy będę mówił dłużej niż wyznaczone trzy minuty, żeby wszystkim zapadły w pamięć moje osiągnięcia, którymi oni nie mogli się pochwalić.

Powiedziałem zaledwie w kilku zdaniach, że jestem autorem książek dla dzieci i młodzieży – niektóre się spodobały, z innymi poszło gorzej, ale dzięki jednej z nich mogę się z tego zajęcia utrzymać. Dodałem, że jestem singlem, nie mam dzieci i chociaż nie planuję powrotu w te strony, to jednak często myślę o latach spędzonych w Ballantyne. Czasami te wspomnienia są dobre. Kiedy indziej złe.

– Nie tak złe jednak, jak przykre musiały być dla niektórych z was – dodałem, czując, że gardło już mi się sznuruje. To ten przeklęty szampan. – Bo przecież nie byłem miłym chłopcem. Owszem, na moją obronę można powiedzieć, że miałem za sobą trudne przeżycia, ale mimo wszystko. Byłem mobberem. – Zmusiłem się do tego, by powieść wzrokiem po twarzach w kręgu, i zdziwiło mnie, jak podobne do siebie wydają się w słabo oświetlonej sali gimnastycznej. Jak perły na sznurze. Jak twarze obcych. A jednak. – Chcę za to przeprosić, ale nie będę nikogo prosił o wybaczenie – oświadczyłem. – Bo to zbyt wielka prośba ze strony kogoś, kto zaśmiecił innym dzieciństwo. Pragnę jednak, żebyście wiedzieli, że żałuję. – Gardło ścisnęło mi się zupełnie, musiałem przerwać. Nie byłem przygotowany na

to, że moja zaplanowana spowiedź tak mnie wzburzy. Powinienem potrenować tę przemowę przed przyjściem tutaj, wypowiedzieć te słowa na głos w samotności. Wydałem policzki i mruganiem pozbyłem się z oczu łez. – I jeśli po moim oświadczeniu chociaż jedno z was poczuje się odrobinę lepiej, to już warto było tu przyjechać. – Wypuściłem z płuc resztkę powietrza, pochyliłem się na krzesło, podparłem dłonią czoło i zamknąłem oczy.

Zapadła długa cisza.

– Ale... – odezwał się w końcu jakiś damski głos, którego nie umiałem do nikogo przypisać. – Może ktoś ma zupełnie inne doświadczenia... ale z tego, co pamiętam, nigdy nie byłeś mobberem, Richard.

– Ja też sobie niczego takiego nie przypominam – zawtórował jej któryś z mężczyzn. – Inni owszem, ale nie ty.

Czy oni ze mnie drwili? Odsunąłem ręce od twarzy. Nie, wszyscy patrzyli na mnie z poważnymi minami.

– Wiesz, dlaczego nigdy nas nie dręczyłeś? – spytał Jack-Grubas. – Bo nie miałeś na to czasu. Stale przesiadywałeś w bibliotece u pani Zimmer i bez końca coś czytałeś.

Zerwał się śmiech.

– *Sorry*, Richard. – Oscar wyszczerzył zęby. – Nie byłeś takim draniem, jak chciałbyś to pamiętać. Ale pewnie tak działa pamięć pisarza.

Jeszcze głośniejszy śmiech. Ulga. No cóż, przynajmniej rozluźnił tę napiętą atmosferę, którą najwyraźniej wywołałem. Przełknąłem ślinę. Uśmiechnąłem się. I już miałem coś odpowiedzieć, kiedy Jack wskoczył na swoje krzesło, przyłożył do ust ręce na kształt tuby i zawołał:

– Czas na zabawę!

Kilka sekund później wszyscy byli już na nogach. Znów rozległa się muzyka i puściliśmy się w pląsy przy tandetnych hitach z naszej młodości. Po każdej piosence wszyscy zmieniali partnerów – z wyjątkiem Oscara, który, jak zauważyłem, zaanektował Karen. Sam tańczyłem jak opętany, jakbym odurzył się mieszanką szampana, bimbru, wstydu, swojej nietrafionej spowiedzi, a także czystej radości i ulgi, ponieważ moje wyrzuty sumienia przez wszystkie te lata okazały się całkiem bezpodstawne. To znaczy, wciąż nie miałem pewności, kto

pamięta lepiej, klasa czy ja, ale moje postępowanie najwidoczniej nie pozostawiło u nikogo trwałych obrażeń – już samo to należało uczcić!

Nie mam pojęcia, jak długo byłem na parkiecie, w każdym razie mokry od potu tańczyłem z kobietą, którą bardzo słabo sobie przypominałem. Ona natomiast wpatrywała się we mnie z tak nieskrywaną ochotą, że zacząłem podejrzewać, iż może jednak znamy się lepiej, niż pamiętam. Ale z drugiej strony przecież nie widziałem wtedy świata poza Karen, prawda?

Nie wiem, czy kobieta umiała czytać w myślach, kiedy jednak muzyka się skończyła i stanęliśmy naprzeciwko siebie w zupełnej ciszy, powiedziała głośno i wyraźnie z szelmowskim uśmiechem:

– Stodoła.

Uśmiechnąłem się i lekko kiwnąłem głową.

– No nie! – Roześmiała się. – Cholera, już zapomniałeś. Stodoła! Ty i ja... na sianie.

Dalej się uśmiechałem.

– Jak mam na imię? – spytała agresywnie.

Uśmiech miałem jak przyklejony do twarzy. Przełknąłem ślinę.

Jej śmiech zabrzmiał teraz gorzko.

– Wiesz co, Richardzie Hansen? Jesteś, do jasnej cholery...

– Rita.

Przechyliła głowę, patrząc na mnie.

– Masz na imię Rita.

Jej twarz się rozluźniła, a po uśmiechu poznałem, że wszystko mi wybaczyła.

Znów zagrała muzyka. To był pierwszy wolny utwór tego wieczoru, długa ballada. Rita wyraźnie szarpnęła się w moją stronę, gdy nagle ktoś wszedł między nas. Karen.

– Wydaje mi się, że to będzie mój taniec – powiedziała, patrząc na mnie i nie zważając na Ritę.

– Chyba masz rację – potwierdziłem i ująłem rękę Karen.

Wkrótce wirowaliśmy na parkiecie, robiąc dwa kroki w przód, jeden w tył, do rytmu syropu sączącego się z głośników.

– Odważnie z twojej strony tak odsłonić własne uczucia – zauważyła Karen. – Powiedzieć wszystkim, jak przeżywałeś dni w szkole.

Roześmiałem się.

– Chociaż nikt inny tak tego nie postrzegał?

– Wszystkie przeżycia są subiektywne. Pamiętaj, że byłeś wrażliwy, mocno przeżywałeś każde ukłucie, jakie ci zadano. Tę wrażliwość przenieśliś na innych, uznając, że twoje drobne ukąszenia dotkną ich równie mocno.

Czułem jej miękką dłoń w swojej, wygięcie pleców i ciepło bijące z ciała Karen, chociaż trzymałem ją na przyzwoitą odległość. Czy miałem odsłonić również resztę? Wystarczy mi odwagi?

Kiedy piosenka wybrzmiała, Karen położyła mi głowę na ramieniu.

– Mam nadzieję, że następna też będzie wolna – szepnęła.

Stało się tak, jak chciała.

W połowie trzeciej ballady przygarnąłem ją do siebie mocniej. Niewiele, tylko trochę. Ale spojrzała na mnie, podnosząc wzrok, i chyba chciała coś powiedzieć, kiedy nagle to się stało. Salę nieoczekiwanie rozjaśnił potężny błysk. Wpadł przez okna umieszczone wysoko na ścianie – błękitnawe światło zdające się prześwietlać wszystko, tak że przez moment widziałem głowę Karen jak na zdjęciu rentgenowskim. Kształt czaszki, puste oczodoły, wyszczerzone zęby. Po błysku nastąpił głęboki, jakby pełen jęku grzmot. Karen wtuliła się we mnie, a ja zamknąłem oczy, wdychając jej zapach. Rozległ się kolejny huk, jeszcze bliżej. Poczulem, że Karen mnie puszcza, a gdy otworzyłem oczy, uświadomiłem sobie, że muzyka ucichła, a sala gimnastyczna pogrążyła się w zupełnej ciemności.

– Zwarcie! – zawołał ktoś.

Mrok otoczył nas jak peleryna niewidka. To była nasza szansa. Ale kiedy wyciągnąłem ręce do Karen, nie znalazłem jej. Kilka osób zapaliło zapalniczki, znalazły się też dwie świece, a po chwili w drzwiach błysnęło światło latarki.

Woźny.

Oscar, ja i Harry Cooper – łysy gość, którego zapamiętałem, ponieważ już wtedy łysiał, a poza tym był jeszcze większym dupkiem niż ja – poszliśmy razem do piwnicy. Czuć tam było palonym metalem. Kiedy woźny otworzył dużą szafkę z bezpiecznikami, w świetle latarki zobaczyliśmy dym. Patrzyłem na zniekształcone od gorąca pokręta i bezpieczniki. Lecz to zapach, a nie widok,

wydawał mi się mgliście znajomy. Podobnie jak tamta kobieta z chętną twarzą. Jak coś, co się wydarzyło, co powinienem pamiętać, ale zapomniałem.

– Dzisiaj już nie będzie światła – stwierdził woźny. – Koniec zabawy.

– Mamy świece – oświadczył Oscar.

– Chyba widzisz, że tu się paliło – powiedział woźny. – Nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek przebywał w szkole, jeżeli w jakimś przewodzie może się tlić. Tyle chyba rozumiecie?

Wróciliśmy na górę do sali gimnastycznej. Oscar stanął na krześle i obwieścił, że ma dwie nowiny: jedną złą i jedną dobrą. Zła jest taka, że zabawa nie może dłużej trwać w szkole.

– Ale dobra jest taka, że moja żona zabrała na weekend dzieciaki do babci – dodał, a ja zauważyłem, że zaczął już trochę niewyraźnie wymawiać słowa. – To znaczy, że mam wolną chatę i możemy...

Dalszy ciąg zagłuszyły okrzyki radości.

*

Dochodziła północ. Na parkingu przed szkołą wcisnęliśmy się do samochodów osób, które na spotkanie przyjechały autami. Nikt nie przejmował się tym, że w zasadzie żaden z kierowców nie jest trzeźwy, bo wszyscy wiedzieli, że szeryf z Ballantyne ma w sobotni wieczór inne zajęcia niż łapanie podchmielonych gości za kółkiem.

Tkwiałem w elektrycznym SUV-ie, ściśnięty między Harrym Cooperem a Ritą, i dopiero teraz poczułem, jaki jestem zmęczony. Miałem za sobą długi dzień. Zacząłem więc się zastanawiać, czy nie powinienem raczej się poddać i wrócić do swojego dawnego pokoju. Siedziałem jednak dalej z zamkniętymi oczami, myśląc o tym, że Karen też tam będzie. Kiedy samochodem kołysało na krętej drodze, czułem mdłości. Usłyszałem chrzęst żwiru pod kołami, okrzyk podziwu Harry'ego Coopera, zgrzyt otwieranej bramy i znów ostrożny chrzęst żwiru. W końcu się zatrzymaliśmy.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca. – Weźcie ze sobą flaszki.

Gdy drzwiczki się otworzyły, poczułem, że nacisk innych ciał ustępuje i z obu stron wdziera się do samochodu burzowa duchota. Otworzyłem oczy i wysiadłem w próżnej nadziei, że powietrze mnie orzeźwi, przyniesie ulgę w narastającym bólu

głowy. Wyprostowałem się i zdumiony spojrzałem na wznoszącą się przede mną fasadę. Krew zlodowaciała mi w żyłach. Powinienem był się domyślić. Może nawet się domyśliłem. Dom wyglądał na zupełnie nowy, zbudowany od podstaw. Ale musiano się posłużyć starymi rysunkami architekta albo zdjęciami.

– Idziesz, pisarzu? – zawołała Rita.

– Tak – odpowiedziałem.

Wprawdzie nigdzie nie dostrzegłem żadnego dębu, jednak schody, drzwi, wielkie okna, skrzydła – wszystko było takie jak wtedy. Nawet diabelskie rogi na kalenicy. Wróciłem pod adres Lustrzany Las 1. Do Nocnego Domu.

Rozdział 26

Wszedłem do wielkiego holu. Na lśniąco białej marmurowej posadzce stały błyszczący czarny fortepian i szklany stolik z może dwudziestoma zmieszanyymi już drinkami, w których pływały plasterki cytryny. Meble do siedzenia ustawiono w grupach, jakbyśmy byli w hotelowym lobby, a nie w domu. Wrażenie to wzmacniał jeszcze wiszący nad tym wszystkim kryształowy żyrandol.

Sięgnąłem po drinka, szukając spojrzeniem wśród zebranych Karen.

– Nieźle się małemu Oscarowi powiodło – stwierdził Harry Cooper, który stanął obok mnie. Odstawił szklaneczkę, zdecydowanie już opróżnioną, i chwycił nową. – Z tym wyjątkiem, że cytryna do ginu z tonikiem to oczywiście błąd. Powinna być limonka. – Spojrzał na mnie tak, jak gdyby rzucał mi wyzwanie, chcąc mnie wciągnąć do tej klasycznej dyskusji.

Nie odpowiedziałem. Odwróciłem wzrok i dalej omiatałem nim hol. Wreszcie znalazłem Karen – zmierzała w kierunku korytarza prowadzącego do lewego skrzydła. To znaczy, Oscar trzymał ją za rękę i wyglądało właściwie tak, jakby ją tam ciągnął.

– Karen! – zawołałem.

Obejrzała się.

– Oscar chce koniecznie pokazać mi dom. – Roześmiała się jakby z rezygnacją.

– Świetnie! – odkrzyknąłem.

Przełknięcie dumy wraz z resztą drinka okazało się łatwiejsze, niż myślałem.

– Mogę się przyłączyć? – spytałem, podchodząc do nich.

– Oczywiście – rzucił Oscar bez przekonania, nie odwracając się w moją stronę.

Ruszyliśmy w głąb korytarza, w którym wśród zdjęć żaglówek i samochodów wisiały malowane portrety, najprawdopodobniej żony i dzieci gospodarza.

– Pokój gościnny. – Oscar otworzył jakieś drzwi.

– Fantastyczny! – zachwyciła się Karen.

Przeszliśmy dalej. Kolejne drzwi. Kolejny pokój gościnny. I dalej.

– To imponujące, co udało ci się zrobić z tym domem – stwierdziłem, głównie po to, żeby w ogóle się odezwać. – Bo ten poprzedni doszczętnie spłonął, prawda?

– Doszczętnie jak doszczętnie – odparł Oscar. – Rzeczywiście uderzył w niego piorun, kiedy stał pusty. I trochę się w środku spaliło.

– Richard pyta... – Karen zwróciła się w moją stronę, jakby prosiła mnie o pozwolenie. – ...bo w jednej ze swoich książek pisał o płonącym domu, który trochę przypominał ten.

– Naprawdę? – Oscar nawet się nie zatrzymał. – Przyznam się, że nie czytam takich opowiadań fantasy. O, przepraszam, Richardzie. – Teraz się obrócił i położył mi rękę na ramieniu. – Nie twierdzę, że takie książki nie wymagają umiejętności od autora. Najwyraźniej udało ci się dotrzeć do dzieciaków.

– Do młodzieży – poprawiła go Karen. – Tej książki nie czytałabym dzieciom, Oscarze.

Uśmiechnął się niepewnie. Chyba nie spodobała mu się ta aluzja do jego stanu cywilnego.

– Tutaj jest atrium, czy raczej ogród zimowy – oznajmił, obmacując ścianę za drzwiami.

Przed nami otworzyła się przestrzeń i słychać było szmer, chyba fontanny, lecz ponieważ panowała ciemność, niewiele widziałem.

– Dawniej było tu tylne podwórze, więc je zabudowałem ścianami i sufitem ze szkła. Ale ten dom jest dla nas o wiele za duży, bo nie mogę znaleźć przełącznika światła.

W tej samej chwili niebo znów przecięła błyskawica, a w tym rozbłysku zobaczyłem drzewo.

Rosło na środku pomieszczenia, otoczone kręgiem wody. Nie wiem, czy to był dąb, w każdym razie jakieś młode drzewko. Takie, którego korzenie nie zdążyły jeszcze za bardzo się rozrosnąć. Mimo to poczułem strach na samą myśl, że właśnie to robią teraz korzenie: wysuwają swoje białe macki we wszystkie strony pod naszymi stopami, powoli i bez odpoczynku szukając pożywienia. Ofiary.

I znowu błysnęło. Dostrzegłem Oscara stojącego z ręką wyciągniętą w poszukiwaniu przełącznika, prześwietlonego tak jak wcześniej Karen, ale to zdjęcie rentgenowskie było inne niż jej. Nieduża czaszka z ostrymi małymi ząbkami gryzonia. W ręce nie było wyraźnych ludzkich kości – widniała tam siatka

cienkich drucików, takich jak dutki w skrzydle ptaka. Zdecydowanie nie powinienem był tak szybko wypijać tego drinka.

– Jest!

Wreszcie zapaliło się światło.

– Fantastycznie! – zawołała Karen.

– A ty jak myślisz, Richardzie?

– Aż trudno uwierzyć.

– Co jest tam? – Karen wskazała drzwi po drugiej stronie atrium.

– Mieszkanie małżeństwa, które u nas pracuje. Byli tu już wtedy, kiedy przejmowaliśmy dom, więc w pewnym sensie przejęliśmy również ich dwoje. Zajmują się posiadłością, opiekują się dziećmi i gotują. Zadzwoiłem do nich z drogi i poprosiłem, żeby przygotowali drinki. I co o tym myślicie?

– Fantastycznie – powiedziała Karen.

Przez moment chciałem dorzucić, że każdy wie, iż zamiast cytryny powinna być limonka, ale tylko pokiwałem głową, jakbym przyłączał się do zachwytów Karen.

Oscar miał zadowoloną minę.

– Poprosiłem też, żeby przygotowali nam coś do jedzenia, więc mam nadzieję, że jesteście głodni.

– Fantastycznie! – powtórzyła po raz kolejny Karen.

Spojrzałem na nią, ale nie znalazłem śladu ironii.

W powrotnej drodze korytarzem szedłem za nimi; widziałem, jak Oscar ujmie Karen za rękę i prowadzi ją tak, jakby znów byli parą. Miałem ochotę walnąć go w głowę czymś ciężkim. Z holu dobiegły dźwięki muzyki, a gdy tam dotarliśmy, zobaczyłem, że tańce trwają w najlepsze.

– Tom wylądował! – zawołał Jack z parkietu. – Napisał SMS-a, że już tu jedzie taksówką.

– Fantastycznie! – krzyknęła Karen, a ja poczułem, że te jej powtórzenia zaczynają mnie irytować.

– Nie masz przypadkiem tabletek od bólu głowy? – spytałem Oscara, który nie puszczał dłoni Karen.

– Oczywiście, że mam. Znajdziesz je w szafce w łazience. Na górę po schodach, potem w lewo, miniesz kuchnię i trzecie drzwi na prawo. – Spojrzał na mnie

z uśmiechem mówiącym mniej więcej: „Niezła próba odciążenia mnie od Karen, żeby została z tobą, cwaniaku”.

Zostawiłem ich. Na tyle niepewnie trzymałem się na nogach, że musiałem się chwycić poręczy z jednej strony szerokich schodów. Na samej górze zrobiłem sobie przerwę, żeby się trochę pozbierać. Widziałem, że Oscar, Karen i pozostali tańczą wokół Jacka, który królował pośrodku parkietu, popisując się akrobatycznymi łamańcami i sztuczkami *à la* break dance. Salto w tył wywołało wybuch radości.

Zataczając się, szedłem dalej, z zawrotami i narastającym bólem głowy, w której pulsowało teraz, jak gdyby ktoś, naciskając pedał bębna basowego, walił mi o skronie od środka. Zza drzwi, które – jak zrozumiałem – musiały być drzwiami do kuchni, słychać było szurające kroki, głuchoe odgłosy jakby toporka i tłuczenie garnkami. Łazienka rzeczywiście była troje drzwi dalej. Duża, nowoczesna i bardzo czysta, z prysznicem i jacuzzi. Otwarte drzwi prowadziły z niej dalej, najpewniej do sypialni Oscara i jego żony. W szafce nad jedną z dwóch umywalek było pełno słoiczków i pudełek z tabletkami. Zobaczyłem jedną fiolkę z nazwiskiem Sarah Rossi na naklejonej etykietce, ale nie sprawdziłem, na co jest ten lek, bo otoczenie znów zaczęło się kołysać. Rozpoznałem za to wreszcie jedno z pudełek i połknąłem wyjęte z niego dwie tabletki. Potem usiadłem na podgrzewanej podłodze, oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy z nadzieją, że bęben basowy wreszcie zamilknie, a świat przestanie wirować.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wparowała Rita.

– Tutaj jesteś? – wybełkotała, zsuwając majtki pod sukienką i siadając na sedesie. – Źle się czujesz?

– Przepraszam – mruknąłem.

Poderwałem się i cały aż drgnąłem, widząc w lustrzanych drzwiczkach szafki twarz, która nie była moją twarzą, chociaż rozumiałem, że musiała nią być.

– Nie było wielkich powodów do dumy – stwierdziła Rita, wypuszczając z siebie strumień, który zapluskiał o wodę w sedesie. – Wtedy, w stodole. Nie pytałam, bo musiałam okazać ci trochę dobroci, ale przypuszczam, że to był twój pierwszy raz. Mam rację?

– Przepraszam – powtórzyłem i chwiejąc się na nogach, wyszedłem na korytarz. Podpierając się o ścianę, minąłem drzwi kuchni, z której dochodziły teraz na

zmianę kroki i szuranie, jakby małżonkowie tańczyli w środku powolnego walca.

Zatrzymałem się, nasłuchując. Dosłyszałem też inny dźwięk. Jakiś mokry chrzęst. Nacisnąłem klamkę, żeby otworzyć. Ale coś – może mgliste przeczucie – kazało mi się zatrzymać. Serce mi waliło, z czoła płynął pot. Puściłem klamkę, spojrzałem na drzwi. Wszystkie dźwięki w środku ucichły, jakby tam stanęli i na mnie czekali. Cofnąłem się, odwróciłem i ruszyłem dalej galerią ponad holem. Muzykę wyłączono, z dołu dobiegał wesoły gwar rozmów. Wyjrzałem przez balustradę. Ludzie stali, siedzieli na krzesłach lub półożeli na kanapach i jedli. Zobaczyłem tacę z hamburgerami, która zastąpiła drinki na szklanym stoliku. Może ja też właśnie tego potrzebowałem, czegoś do przekąszenia.

Zszedłem po schodach i skierowałem się w stronę tacy, ale zorientowałem się, że się spóźniłem, bo chłopak, w którym rozpoznałem Henrika, klasowego geniusza matematycznego, właśnie sięgał po ostatniego hamburgera. Widząc mnie, cofnął się jednak i dał mi znak, żebym się częstował.

– Ależ nie, byłeś pierwszy. – Uśmiechnąłem się z pewnym przymusem.

– Wielcy pisarze muszą się dobrze odżywiać. – Odpowiedział dobrodusznym uśmiechem. – Ja już jednego zjadłem, a wiem, że szykują więcej.

– Wobec tego chętnie skorzystam. – Sięgnąłem po hamburgera. Wbiłem w niego zęby i poczułem, jak usta wypełnia mi sok wypływający ze świeżego mięsnego farszu. Pomyślałem sobie, że my, ssaki, mimo wszystko składamy się głównie z wody. Ugryzłem jeszcze kęs. Boże, ależ to było pyszne! Zdecydowanie tego potrzebował mój organizm.

– Mój syn pytał, czy ten geniusz matematyczny w twojej książce to ja.

Spojrzałem na mężczyznę, który ciągle stał obok mnie. Był jednym z tych, którzy podczas rundy w sali gimnastycznej wykorzystali bardzo niewiele czasu. Księgowy, czy nie tak mówił? Czy też mierzył wyżej? Może chciał być naukowcem? Sądził, że spodziewaliśmy się po nim czegoś więcej, dlatego tak prędko się rozprawił z prezentacją siebie, skracając męki? Czy może przeciwnie, był bardzo zadowolony z życia, tylko uważał, że nie ma zbyt wielu interesujących rzeczy do opowiedzenia?

– Jasne – odparłem z ustami pełnymi hamburgera. – To ty.

– Nie byłem geniuszem matematycznym, ale dziękuję.

– Ależ byłeś.

Roześmiał się.

– Nigdy nie wolno ufać swojej pamięci – powiedział. – Ona daje ci tylko to, czego potrzebujesz. Więc... równie dobrze można jej zawierzyć. – Znow się roześmiał.

Ugryzłem kolejny kęs i żułem powoli, żebym nie musiał odpowiadać. Skinieniem głowy podziękowałem za hamburgera, a potem odszedłem stamtąd i usiadłem na kanapie obok Karen. Aż jęknąłem z przyjemności, jaką można poczuć tylko po ustąpieniu naprawdę nieprzyjemnych wrażeń.

– Czujesz się lepiej – zauważyła, ściskając mnie dwoma palcami za kark.

– Owszem – potwierdziłem, przełykając kawałeczki hamburgera. – Jak długo mnie nie było?

– Bardzo długo. Zaczęłam się niepokoić.

– Już wszystko w porządku. A jak z tobą? Widzę, że znalazłaś sobie kanapę, na której miałaś nadzieję posiedzieć przez chwilę sama. Czy to nie okropne mieć takie powodzenie?

– Straszne! – Zaśmiała się i otworzyła notes. – Ale nie, wybrałam tę kanapę, bo Tom tu siedział.

– Tom? Już przyjechał? – Rozejrzałem się. – Gdzie jest?

– Poszedł do kuchni, żeby pomóc – odparła, notując.

– Widzę, że zachowałaś swoją zakładkę. – Wskazałem na różową spinkę do włosów wpiętą w okładkę notesu. – Ciągle zamierzasz zostać pisarką? Jeśli będziesz cytować moje słowa, zażądam podania źródła i tantiem.

– Umowa stoi – stwierdziła. – A tak w ogóle Tom pytał o ciebie.

– Tak? A po co poszedł do kuchni?

– Żeby pomóc, już ci mówiłam.

– Ale dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Tom to chłopak, który dużo daje z siebie.

– To znaczy?

– Tak powiedział.

– Co powiedział?

– Że pójdzie do kuchni, żeby dać coś z siebie. Najwyraźniej to działa, bo hamburger chyba ci smakował.

– Tom go zrobił? – Spojrzałem na ostatni kawałek bułki z mięsem, który wciąż trzymałem w ręku.

– W każdym razie kucharze, którzy go serwują, nazywają go hamburgerem *à la* Tom. O, niosą więcej...

Usłyszałem szurające kroki na schodach. Przełknąłem ślinę. Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Potem powoli się obróciłem. Dosłownie czułem, jak zasycha mi w ustach, a język staje kołkiem.

Krab. To było moje pierwsze skojarzenie. Poruszali się po schodach bokiem na czterech nogach, ponieważ byli zrośnięci biodrami. W prawej ręce uniesionej niczym szczypcy kraba każde trzymało tacę z parującymi hamburgerami. Byli do siebie podobni jak rodzeństwo, utykali i mieli na sobie białe stroje.

Napotkałem jej spojrzenie. Vanessy.

A potem, kiedy obróciła się na bok, aby jej partner mógł postawić stopę na następnym stopniu – wzrok Victora.

Miałem wrażenie, że głowa zaraz mi pęknie. Tabletki. To musiało być przez te tabletki. Jak inaczej mogłem wytłumaczyć to, co rozgrywało się na moich oczach?

– Mmm! Wyglądają pysznie! – zawołała Karen.

– Nie ruszaj tych hamburgerów! – syknąłem. Wyrzuciłem resztkę, którą miałem w ręku, i wstałem.

– Coś nie tak, Richardzie?

– Owszem – odparłem szeptem. – Bardzo nie tak! Chodź!

Ująłem Karen za rękę i pociągnąłem ją za sobą, a kiedy ów groteskowy ludzki krab zszedł ze schodów i skierował się w stronę szklanego stolika, wbiegliśmy na górę. Drzwi do kuchni były uchylone. Podeszliśmy bliżej i usłyszałem ten sam odgłos, który sobie wyobrażałem, opisując scenę zjadania Toma przez słuchawkę telefonu. Mokry chrzęst, taki, jaki wydają larwy zjadające trupa. Kopniakiem otworzyłem drzwi.

– R-r-rany! To naprawdę Richard? – Mężczyzna, który stał przy kuchennym blacie i kręcił korbą wielkiej maszynki do mięsa, cały się rozpromienił. Był piętnaście lat starszy, przytył i zapuścił wąsik, ale bez najmniejszych wątpliwości to był Tom. – S-s-smakowałem ci? – spytał.

Nie mogłem oderwać oczu. Przełknąłem ślinę. Rękaw koszuli na ręce, która nie kręciła korbą, miał podciągnięty aż po bark, a ramię było wepchnięte tak głęboko w maszynkę, że prawie nic już z niego nie zostało. Mokra chrząstka wydobywała się z dolnego otworu maszynki, z którego przez dziurki wypełzały wstążki mięsa. Chwilę wisiały, po czym spadały prosto na patelnię ustawioną na stołku.

– Co ty robisz? – spytałem niskim głosem, czując, że zaraz zwymiotuję.

– To, co w-w-wszyscy powinniśmy robić. Daję coś z siebie. R-R-Richardzie, ty też powinienesz spróbować.

– Nie, dziękuję – wykrztusiłem i zacząłem się wycofywać przez drzwi.

Tom puścił korbę i jego ręka wystrzeliła w przód. Mimo że stałem w odległości ponad dwóch metrów, dosięgnął mnie. Cienkie białe palce zacisnęły się na moim nadgarstku i Tom zaczął mnie do siebie ciągnąć.

– Nalegam – powiedział.

Opierałem się, wbiłem obcas w podłogę, ale Tom był po prostu za silny.

– No dalej! Ławicę trzeba nak-k-karmić.

Przyciągał mnie coraz bliżej. Resztkę drugiej ręki wysunął z gardzieli maszynki. Kikut był poszarpany, z czerwonego mięsa wystawała biała kość, ale krew nie płynęła. Zobaczyłem na boku maszynki wypukłe litery, które ułożyły się w napis „Pirania”. Tom wcisnął moją rękę w otwór.

– Karen! – wrzasnąłem, odwracając się.

Wciąż stała w drzwiach i tylko się przyglądała jak bierny obserwator. Owszem, była przerażona, ale na jej twarzy dostrzegłem jeszcze coś, jakby podniecenie czy – bo ja wiem? – fascynację?

Poczułem, że moja dłoń dotknęła czegoś ostrego w gardzieli maszynki.

– K-K-Karen, kochana – odezwał się Tom. – Jak widzisz, nie mam wolnej ręki. Mogłabyś pokręcić k-k-korbą?

Ku mojemu przerażeniu Karen skinęła głową i weszła do kuchni.

– Nie, nie, nie! – krzyknąłem, kiedy złapała uchwyt.

Omiotłem wzrokiem blat. Dostrzegłem kuchenny toporek, chwyciłem go wolną ręką, zamachnąłem się i z całej siły uderzyłem w przytrzymującą mnie rękę. Stał zaskakująco lekko przeszedł przez ciało i kości, a następnie wbiła się w blat. Gorący strumień trysnął mi na dłoń.

– Ojej! – zawołała Karen ze śmiechem, patrząc na swoją zbryzganą krwią sukienkę.

– Ojej! – zawtórował jej Tom, również ze śmiechem, patrząc na swoją odciętą rękę leżącą na blacie.

Z niedowierzaniem wpatrywałem się w to, co z niego zostało – krwawiący żywy tors na dwóch nogach. Nagle zorientowałem się, że Karen zaczęła kręcić korbą. Zdażyłem poczuć na skórze nacisk ostrzy, zanim udało mi się wyciągnąć rękę.

Nasze spojrzenia się spotkały. Co zobaczyłem w jej oczach? Ciekawość? Współczucie? Nie wiem. To wszystko było bardzo mylące.

Wybiegłem.

Na korytarz w stronę holu.

W głowie kręciło mi się tak, jakbym poruszał się po pokładzie statku podczas sztormu. Kiedy wyszedłem na galerię, obiema rękami chwyciłem się balustrady i zwymiotowałem. Zarejestrowałem, że część wymiocin chlusnęła na marmurową posadzkę na dole. Odzyskałem oddech. A potem usłyszałem cichy szum – jakby z ula. Spojrzałem w dół. Wszyscy ustawili się w kręgu, lecz akurat w tej chwili zadzierali głowy i patrzyli na mnie. A ja wpatrywałem się w tego pośrodku koła. To był Jack. Nagi stanął w klasycznej pozycji baletowej ze wzrokiem utkwionym we mnie. Ręce wyciągnięte nad głową, dłonie nachylone do siebie, stopy równoległe jedna przed drugą. Piąta pozycja baletowa. Skąd ja to wiedziałem? Czyżbym gdzieś o tym czytał? Oglądał rysunki w którejś z książek w bibliotece, gdzie – jak mówili – przesiadywałem całymi dniami? Tak było?

Ten szum okazał się szumem skrzydeł. Wystawały mu z pleców. Cienkie, przezroczyste i bijące tak szybko, iż wydawało się, że jedynie wibrują.

Jack uniósł się na obciążonych stopach, kontakt z marmurową posadzką miały tylko czubki palców. A za moment... już nie.

Wzbił się w powietrze.

Znów wstrzymałem oddech. Słyszać było jedynie szum skrzydeł. Ciało Jacka, jakby zamrożone w jednej pozycji, wznosiło się coraz wyżej. Widziałem zwrócone w górę twarze innych. Nie wyglądali właściwie na zaskoczonych, raczej pełnych uniesienia. Jak gdyby to był zapowiedziany cud lub coś, co widzieli już wcześniej. Oscar uśmiechał się błogo. Rita wydawała się bardzo przejęta, a jej wargi poruszały

się, jakby odmawiała modlitwę. Vanessa/Victor stali z dwiema parami złożonych dłoni.

Jack dotarł na wysokość galerii i ruszył w moją stronę. Już czułem powiew wywołany ruchem skrzydeł. Tęczówki w jego oczach się zmieniły, poczerwieniały. O mało nie wybuchnąłem śmiechem. Te halucynacje były tak rzeczywiste, że gdybym wyciągnął rękę i go dotknął, poczułbym pod palcami jego skórę. Czy to te tabletki? Czy to one sterowały halucynacjami, czy ja? Nie mogłem tego wiedzieć na pewno, bo miałem wrażenie, że utrzymuję coś w rodzaju kontroli, że tworzę; że mogę, a zarazem nie mogę decydować o tym, co się stanie, jakby opowieść miała własną wolę, wewnętrzną logikę. Jeżeli tak było, to czy mogłem to powstrzymać? Czy też był to zwyczajny koszmar senny, przedstawienie, które urządzasz dla siebie, będąc bezbronny widzem, a on nie chce tego słuchać i oglądać, ale musi? W takim razie miałem wielką ochotę już się obudzić. Chrząknąłem.

– Rzeczywiście imponujące, Jack. – Staralem się panować nad głosem. – Naprawdę udało ci się zmienić w Dzwoneczka.

– Natomiast ty jesteś tym, kim zawsze byłeś – odparł Jack. – Imu.

– Co?

– Sam zobacz. – Wskazał na wielkie okno.

Odwróciłem się, ale widziałem jedynie czarną ciemność na zewnątrz.

– Co masz na myśli...? – zacząłem, gdy nagle błyskawica oświetliła świat i dostrzegłem w szybie własne odbicie. Tyle że to nie była moja twarz, lecz tamta, którą wcześniej widziałem w lustrze w łazience. I ta, którą w dzieciństwie zobaczyłem na jakimś szkolnym zdjęciu. Którą wyobrażałem sobie, pisząc *Nocny Dom*, kiedy główny bohater, Richard, stoi przed gabinetem dyrektora poprawczaka. Teraz miałem już nie tylko uczucie, ale wręcz nadzieję, że głowa mi pęknie. To była twarz Imu Jonassona.

– Widzisz już? – spytał Jack. – Rozumiesz, Richardzie?

– Nie – odpowiedziałem. – Rozumiem tylko, że to zaplanowaliście.

Jack w odpowiedzi jedynie się uśmiechnął.

– Od jak dawna...?

– Och, odkąd wysłaliśmy ci zaproszenie na to spotkanie klasowe.

– Ale... dlaczego?

– Dlaczego? Ależ, Richardzie, przecież dobrze wiesz.

Powoli pokręciłem głową.

Jack lekko westchnął.

– Sam to powiedziałaś.

– O mobbingu?

– Byłeś sam przeciwko gromadzie, Richardzie. Ale w twoim przypadku „mobbing” to zbyt słabe określenie, nie uważasz?

– Eee...

– Zastanów się teraz. „Zło” to określenie celniejsze. Spójrz. – Ręką wskazał na kolegów z klasy zebranych na dole. – Patrz i przypominaj sobie. Tom, ja, Vanessa, Victor, Oscar. Nawet Karen. Wszyscy tutaj. Brałeś nas pojedynczo, łamałeś nas, terroryzowałeś. Uczyniłeś z naszego życia prawdziwe piekło.

Patrzyłem. I usiłowałem sobie przypomnieć. To wracało. Kolejne twarze. Kolejne ofiary. Przypominałem sobie mantrę, którą stosowałem. „Jesteś śmieciem”. Bo nikt nie przekona cię tak dobitnie, że jesteś śmieciem, jak ten, kto wie, jak się nim jest.

Przełknąłem ślinę.

– To znaczy, że skłamaliście, mówiąc, że źle coś zapamiętałem?

– Przepraszam, ale musieliśmy uspić twoją czujność. Ściągnąć cię tutaj.

– Aha. I co teraz?

Jack wzruszył ramionami.

– Teraz cię zjemy.

W gromadzie na dole zapanowało poruszenie.

– Nie mogę ot, tak po prostu wam na to pozwolić – stwierdziłem, patrząc, jak wlewają się na schody niczym ludzka rzeka.

– Liczyliśmy się z tym – powiedział Jack. – Prawdę mówiąc, z chęcią przyjmujemy próbę ucieczki. Adrenalina, jak wiadomo, nadaje mięsu lepszy smak.

Gromada dotarła do szczytu schodów i kierowała się w moją stronę, na czele sunęły przypominające kraba bliźnięta. Dopiero gdy machnąłem w ich kierunku toporkiem do mięsa, zatrzymali się. Wspiąłem się na balustradę, wyprostowałem i balansując z rękami wyciągniętymi na boki, krzyknąłem:

– Chcecie zobaczyć, że umiem fruwać?

Kiedy ruszyli w moją stronę, skoczyłem.

Zacząłem spadać. Leciałem wprost na lśniąca marmurową posadzkę holu. Uderzyłem w równie lśniący fortepian. Poczulem, że wieko się przełamuje. Usłyszałem, że pękają struny, i instrument rozpadł się na dwie części.

Leżąc na plecach, wpatrywałem się w kryształowy żyrandol, w unoszącego się nade mną Jacka i we wszystkie twarze na galerii.

Zacząłem macać ręką w poszukiwaniu toporka, znalazłem go i wstałem.

Gromada już pędziła po schodach na dół, pobiegłem więc do drzwi wejściowych i otworzyłem je szarpnięciem. To znaczy spróbowałem je otworzyć. Okazały się zamknięte, bez żadnego zamka, który można było przekręcić. Szarpnąłem jeszcze raz. Z takim samym rezultatem.

– Czujesz teraz, jakie to uczucie stanąć przed zamkniętymi drzwiami? – spytał Jack. Unosił się z szumem tuż nad moją głową, ale był za daleko, żebym mógł go dosięgnąć toporkiem. – A zamknęli je ci, którzy, jak sądziłeś, cię kochają. Co zrobisz w takiej sytuacji?

Z rozpaczą uderzyłem w drzwi pięścią.

– O właśnie – zaśmiał się Jack. – Pukasz. Masz nadzieję, że ktoś otworzy. Ale co, jeśli nie otwierają?

Odwrociłem się.

Gromada była już u stóp schodów. Teraz na przedzie znaleźli się Oscar, Harry Cooper i Henrik. Ich twarze nie wyrażały nienawiści, nie wyrażały właściwie niczego, jedynie dziwną obojętność, jak gdyby ich ciała wypełniały rozkazy niebędące ich wolą.

– No owszem, dzwonisz – podjął Jack. Uniósł rękę na wysokość głowy, kciuk przystawił do ucha, a mały palec do ust, jak telefon. – Dzwonisz z nadzieją, że ktoś odbierze. Że słuchawkę podniesie jedyna osoba, nad którą ciągle jeszcze masz władzę. I że ci otworzy.

Puściłem klamkę i biegnąc łukiem, wyminąłem sunącą naprzód gromadę; popędziłem przez hol do korytarza, po którym Oscar wcześniej oprowadzał mnie i Karen. Dalej biegłem w głąb, słysząc echo szybkich kroków odbijające się od ścian za moimi plecami. Wpadłem do atrium. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i spostrzegłem, że jest w nich zamek, który da się zablokować. Zamknąłem więc i oparłem się plecami o drzwi. Słyszałem lawinę napierających ciał. Drzwi drżały.

Słyszałem krzyki i walenie. Podniosłem głowę. Światło kolejnych błyskawic wpadało przez szklane ściany i rozjaśniało wnętrze atrium.

Drzewo.

Coś na nim wisiało. Głowa zwieszała się na pierś, odsłaniając węzeł zawiązany na linie. Spod nocnej koszuli wystawały bosa stopy, wyciągające się ku ziemi, której nie dosięgały.

Oderwałem się od drzwi i ruszyłem w tamtą stronę. Krzyki z tyłu nieco przycichły.

Jasna chłopięca grzywka opadła, zasłaniając twarz.

Podchodząc bliżej, uświadomiłem sobie, że drzewo urosło od czasu, gdy widziałem je poprzednio, tak jakby się najadło. Może dlatego ta wisząca postać skojarzyła mi się z pustą skorupą, pancerzykiem owada, który ciągle wisi w pajęczej sieci, chociaż pająk już wyszał jego zawartość.

Stałem pod drzewem i popatrzyłem na nią. Piegowata twarz była taka blada. Taka piękna i taka blada. Odebrano mi ją, jedyną, którą kochałem. W ogóle nie myślałem, słowo samo się ze mnie wyrwało:

– Mama.

Jakby w odpowiedzi potężna błyskawica rozdarła niebo. Rozległ się ogłuszający łoskot i postać nade mną zadrzała niczym w spastycznym tańcu. Moment później nocna koszula stanęła w płomieniach, a wokół mnie posypało się szkło. Kiedy znów otworzyłem oczy, poczułem na twarzy nocne powietrze i zobaczyłem, że szklany dach i jedna ściana się zawaliły, więc mogłem ot, tak po prostu stąd wyjść na teren posesji. Na końcu jaśniejącej białą żwirowej ścieżki dojrzałem bramę. W tej samej chwili usłyszałem, że drzwi za moimi plecami się otwierają. Zapewne Oscar przyniósł klucz.

W porządku, pomyślałem. Nie mam już siły. Niech to się skończy tutaj, teraz.

Zamknąłem oczy. Poczułem, że mój oddech się wyrównuje i że ogarnia mnie dziwny spokój. Ale po chwili otworzyłem oczy. Bo to nie była prawda. Bo miałem jeszcze siły. Zawsze mamy więcej sił. Ruszyłem biegiem.

Rozdział 27

Przebiegłem po żwirze przez otwartą bramę i pogałem dalej wąską ślepią drogą w stronę lasu. Nie było tu żadnych latarni, ale błyskawice przecinały niebo w tak krótkich odstępach czasu, że mogłem trzymać się drogi. Właśnie tak, pisząc *Nocny Dom*, wyobrażałem sobie mrok i duchotę, naładowane elektrycznością, gotowe do potopu. Biegłem ile sił w nogach, a mimo to odgłosy za mną wskazywały, że gromada się zbliża. Kto by przypuszczał, że okaza się tacy wytrzymali? Mnie już bolały płuca, uda miałem tak sztywne, jakby zmieniły się w kawałki drewna, wiedziałem, że wkrótce przestanę słuchać poleceń mózgu. Droga się zwężała, pamiętałem, że niebawem się skończy. Ale pamiętałem też, że chwilę wcześniej dotrę do ścieżki biegnącej przez las aż do mostku i dalej do szosy. Dzielił mnie od niej jeszcze spory kawałek, lecz gdyby tylko udało mi się na nią trafić, gromada z tyłu musiałaby się przeorganizować, bo na ścieżce zmieściłyby się na szerokość dwie, najwyżej trzy osoby. To mogło ich opóźnić. A szosa była oświetlona i uczęszczana, przynajmniej w ciągu dnia. Gdyby udało mi się do niej dotrzeć...

Lecz oni tak prędko się zbliżali. Sapanie i odgłos szybkich, lekkich kroków były teraz tuż za mną. Próbowałem przyspieszyć, nic to jednak nie dało. Wiedziałem już, że nie dotrę do ścieżki przed nimi. Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, gdy podcięto mi nogi od tyłu i runąłem na ziemię. W ciemności zacząłem szukać toporka, ale było za późno. Już się na mnie rzucili. Ręce zaczęły mnie szarpać, dostałem cios w skroń, kopniaka w brzuch. Zwinąłem się jak piłka, osłaniając głowę rękami.

Czyjeś dłonie pochwyciły mnie i obróciły na plecy, ktoś usiadł mi okrakiem na piersi. Przy następnej błyskawicy przekonałem się, że to Rita. Usiłowałem ją z siebie zrzucić, ale była silna. Nieprawdopodobnie silna. Nachyliła się nade mną i chuchnęła mi w twarz alkoholem.

– Richardzie Hansen – szepnęła. – Nienawidzę cię.

Potem się wyprostowała i uniosła obie ręce nad głowę. Trzymała w nich bramkę do krokietu, której zaostrome stalowe końcówki wskazywały na mnie. Leżąc na

plecach jak bezradny żuk, zacząłem wymachiwać rękami i wierzgać nogami. Zrozumiałem, że zaraz stanę się polem do gry w krokieta.

W tej samej chwili w twarz Rity uderzyło oślepiające światło, cała zdrętwiała.

– Nie ruszać się, w imieniu prawa!

Na moment zapadła całkowita cisza i wszyscy zwrócili się ku źródłu światła. Nic nie widziałem, pojąłem jednak, że ów metaliczny głos musiał dobiec przez megafon. Coś poruszyło się w świetle. W naszą stronę ruszyła po chrzęszczącym żwirze jakaś postać. Wiedziałem, kto to jest, zanim jeszcze zbliżyła się na tyle, abym mógł zobaczyć wysoką sylwetkę o szerokich barach i granatowoczarnych włosach. W rękach trzymała – oczywiście – pistolet.

Rozdział 28

– Cofnąć się! – rozkazał agent Dale, a gromada usłuchała. – Ty też, kochaniutka – zwrócił się do Rity, która ciągle siedziała na mnie.

Syknęła coś do nas obu, ale wstała i wycofała się do pozostałych, którzy obserwowali, co się dzieje, osłaniając oczy przed ostrym światłem.

Agent Dale pomógł mi się podnieść i podtrzymawał mnie, gdy szliśmy w stronę tego światła.

– C-co pan tu robi? – wyjąkałem.

– Ja? Zawsze tu jestem.

– Tutaj? W Lustrzanym Lesie? – Spojrzałem na niego, czując pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Oczywiście. Przecież nie udało nam się do końca rozwiązać tej zagadki. Dlatego jestem tu, na wypadek gdyby on miał wrócić.

– Imu Jonasson?

Światło biło z reflektorów pontiaca lemansa. Oczywiście. Nie czerwonego, nie zielonego, tylko jasnoniebieskiego. Kiedy do niego wsiedliśmy, niebo wreszcie się otworzyło i już po kilku sekundach deszcz walił o dach auta.

– Jest tak jak tamtej nocy. – Agent Dale dotknął przycisku, który z kliknięciem zamknął wszystkie drzwi. – Pamiętasz? – Uśmiechnął się, jakby to było drogie sercu wspomnienie. – Deszcz, pożar, ucieczka, Karen, która skoczyła z dachu.

– Nic nie pamiętam – szepnąłem, próbując dostrzec coś przez zasłonę wody spływającą po przedniej szybie.

– Oczywiście, że pamiętasz – powiedział Dale. – Przecież napisałeś o tym książkę.

– Do dzisiejszego wieczoru wydawało mi się, że to wszystko wymyśliłem – wyznałem i zobaczyłem, że wciąż trzymam w ręku toporek do mięsa. – Włącznie z panem.

– Ze mną?

Potarłem skronie.

– Możemy już jechać, agencie Dale?

– Tak, jedźmy. – Nacisnął drążek przy kierownicy, włączając wycieraczki.

W ciągu paru sekund uporały się z wodą i mieliśmy dobrą widoczność. W świetle ich twarze były blade, prawie białe. Zdawali się nie zważać na deszcz. Ani na oślepiające światło. Szli w naszą stronę powoli jak roboty. Jakby mieli mnóstwo czasu, a my wcale. Coś błysnęło. Toporek do mięsa. Zwiślał z dłoni Jacka, który prowadził gromadę.

– Ruszajmy! – krzyknąłem. – Niech pan ich rozjedzie!

– To na nic – stwierdził agent Dale. – Spójrz!

Spojrzałem. Zobaczyłem, że za nimi bezszelestnie podjechał elektryczny SUV i zaparkował w poprzek, zagradzając drogę.

– Zaczekaj tutaj. – Dale wyciągnął pistolet z kabury pod pachą, otworzył drzwiczki i wysiadł na deszcz. Nachylił się do wnętrza samochodu: – Podaj mi megafon.

Wziąłem go ze środkowej konsoli. Szeroka szara tuba zawadziła o drążek przy kierownicy, wyłączając wycieraczki. Drzwiczki się zamknęły, ale metaliczny wzmocniony dźwięk głosu agenta Dale'a przedostał się przez bębnienie deszczu.

– Stać, w imieniu prawa!

Przerwa.

– Zatrzymajcie się, bo będę strzelał!

Szturchnąłem drążek, żeby znów włączyć wycieraczki, bo chciałem widzieć, co się tam dzieje, ale udało mi się jedynie zmienić przednie światła z długich na krótkie. Usłyszałem strzał, we wnętrzu samochodu zabrzmiał jak ciche puknięcie. Potem jeszcze jeden. I głośny huk, ale to był przeciągły grzmot, w towarzyszącym mu ryku nie słyszałem już nic. Przyszło mi do głowy, żeby obrócić drążek, zamiast go popychać, i wreszcie uruchomiłem wycieraczki. Kiedy znów zaczęły ścierać wodę, rozległ się kolejny huk. Na masce samochodu wylądowało jakieś ciało. Agent Dale. Twarz była przyciśnięta płasko do przedniej szyby, padał na nią lekki odbłask urządzeń wewnątrz kabiny. Czarne, jakby odlane z metalu włosy rozwichrzyły się, a oczy patrzyły we mnie pusto. Krew jeszcze nie wypływała spod ostrza toporka do połowy zagłębionego w jego czole. Na twarzy miał wypisane strach i rezygnację, kiedy ściągano go do tyłu. Rozpaczliwie próbował chwycić się

maski tą ręką, w której nie trzymał pistoletu, gdy jednak się to nie udawało, złapał wycieraczkę po stronie pasażera i ją ułamał, a potem zniknął mi z oczu.

Rzuciłem się na lewą stronę i wdusiłem przycisk zamykający w drzwiach kierowcy akurat w chwili, gdy poczułem, że ktoś szarpie za klamkę. Wsunąłem się za kierownicę i wcisnąłem pedał gazu. Silnik ryknął jakby ostrzegawczo, niczym bawół wodny na atakujące stado lwów.

Przesunąłem drążek skrzyni biegów na D, koła zabuksowały na żwirze, lecz zaraz złapały przyczepność i samochód ruszył do przodu. Rejestrowałem miękkie stuknięcia, wpadając na jakieś ciała, które pojawiały się i znikły z pola widzenia. Pontiac uderzył w SUV-a nieco z tyłu. Liczyłem, że tamten pojazd będzie lżejszy i może uda mi się go odwrócić tak, żebym mógł przejechać. Ale rozbieg okazał się za krótki na odpowiednie rozpędzenie pontiaca; w rezultacie SUV przesunął się tylko trochę, natomiast mój samochód wpadł w poślizg i oba auta stanęły obok siebie bok w bok. Błyskawice strzelały już teraz rzadziej, a światła mojego wozu kierowały się w las, dostrzegłem jednak ruchy w ciemności. I zobaczyłem także ścieżkę. Była tuż przed maską samochodu. Czy zdołam wysiąść i dobiec do niej, zanim tu dotrą? Odpowiedź otrzymałem, kiedy coś uderzyło w boczną szybę. Przy kolejnej błyskawicy rozpoznałem Henrika. Szczęki mu się poruszały, jakby coś żuł, a z kącików ust spływała krew. Podniósł przypominający pałkę przedmiot, żeby znów uderzyć. Zobaczyłem, że to ręka. Urwana ręka, wciąż ubrana w czarny rękaw marynarki. Henrik uderzył i szyba pękła. Dłonie sięgały po mnie, paznokcie rozorywały mi twarz. Wszystko jest proste, kiedy nie ma już innego wyjścia. Dodałem gazu.

Rzuciło mną do przodu, gdy maska pontiaca uderzyła w przeciwległą ścianę rowu, nie na tyle jednak głębokiego, żeby to potężne auto nie zdołało się przedostać na drugą stronę i wjechać na ścieżkę. Ścieżka miała półtora metra szerokości, była więc za wąska dla samochodu. Dopóki jednak utrzymywałem na niej jedno przednie i jedno tylne koło, mogłem chyba przejechać chociaż kawałek, żeby zyskać przewagę. Poszło mi lepiej, niż się spodziewałem. Prawą stroną maski ścinałem krzaki, zarośla i małe drzewka, wkrótce stłukłem w ten sposób prawe przednie światło. Na razie udawało mi się utrzymywać na ścieżce, z jednym reflektorem i jedną wycieraczką. Ścieżka lekko opadała w stronę rzeki. Namierzyłem się na mostek. Nagle jednak paskudnie huknęło, samochód zarył w miejscu, a ja walnąłem czołem o szybę. Pontiac znieruchomiał. Zobaczyłem, że

prawa strona rozwaliła się o drzewo. Wrzuciłem wsteczny i dodałem gazu. Ale koła nie chwyciły, w deszczu droga stała się zbyt błotnista, grzęzły więc coraz głębiej.

Kopniakiem otworzyłem drzwi i ruszyłem biegiem po ścieżce w stronę mostku i rzeki, którą dostrzegłem między drzewami. Za plecami słyszałem trzask łamanych gałęzi. Już nadciągali. Gdyby tylko udało mi się dobiec do rzeki, dotarłbym do szosy wcześniej niż oni.

Byłem już na skraju lasu, gdy błyskawica oświetliła ostatnie sto metrów dzielące mnie od mostku. Gwałtownie zahamowałem. Na środku kładki stały trzy osoby. Byłem przekonany, że mnie nie zauważyły, więc ukryłem się za drzewem i wyjrzałem. Znowu piorun. Mieli rowery. Chyba marki Apache. Najwyższy z tamtych był w kurtce drwala. Sprawiali wrażenie, jakby pełnili straż. Po cóż innego mieliby tu stać? Musiałem podjąć szybką decyzję.

Została podjęta za mnie.

W następnej serii błyskawic ujrzałem postać spadającą z góry i lądującą na mostku. Jack. Trzej pozostali wcale nie wyglądali na zdumionych tym, że nagi latający mężczyzna niespodziewanie znalazł się wśród nich – przeciwnie, natychmiast wdali się w dyskusję, pokazując coś sobie i kręcąc głowami. Ci trzej byli bezsprzecznie zaangażowani w całą akcję i teraz meldowali, że mnie nie widzieli.

O przejściu przez mostek mogłem zapomnieć.

Spojrzałem w lewo. Na rzekę wypływającą z lasu w odległości zaledwie dziesięciu metrów ode mnie. Miała tu nie więcej niż sześć, maksymalnie osiem metrów szerokości, ale wyglądała jak muskularny wąż dusiciel, gdy jej bystry i czarny nurt wił się w stronę mostku. Pięćdziesiąt metrów za mostkiem rzeka gwałtownie skręcała i tam można było przedostać się na drugi brzeg, pozostając niewidocznym z kładki. Stamtąd zostałyby sto, może sto pięćdziesiąt metrów do szosy. Do jakiegoś życzliwego miejscowego, który wybrał się na wieczorną przejażdżkę, lub do ciężarówki przewożącej drewno. Do bezpiecznego miejsca.

Zza moich pleców dobiegły głosy i między drzewami zatańczyło światło latarki. Przekradłem się na brzeg rzeki. Przygotowałem się na szok zimna, ale woda, która natychmiast mnie pochwyciła, wydała mi się cieplejsza, niż przypuszczałem. Może dlatego że tyle biegłem. Unosiłem się na plecach i pożałowałem, że nie zdjęłem marynarki, bo miałem wrażenie, że ściąga mnie w dół, udawało mi się jednak

przynajmniej utrzymać twarz nad wodą i oddychać. Oczy automatycznie rejestrują ruch. Liczyłem więc, że jeśli nie będę się poruszał, to mnie nie odkryją.

Wpatrywałem się w niebo, pioruny były teraz tak gęsto, że wyglądało to tak, jakby nad chmurami wisiała zepsuta świetlówka. Głosy z mostku szybko się zbliżały. Nie przeniosłem wzroku. Leżałem tylko sztywny i nieruchomy niczym posąg lub pierwsza lepsza kłoda drewna. Potem w polu widzenia pojawił się mostek, a na nim czterej faceci. Jack i ten w kurtce drwala dyskutowali, dwaj pozostali stali oparci o balustradę, wpatrzeni w rzekę. Było coś znajomego w ich twarzach, ba, w całej tej sytuacji, jakby lustrzane odbicie wspomnienia. Przez ułamek sekundy zetknąłem się spojrzeniem z jednym z nich. Przypominało to patrzenie w lustro. Kiedy przepływałem pod mostkiem, usłyszałem kroki na drewnianych deskach, a gdy wyłoniłem się po jego drugiej stronie, mignęła mi ta sama twarz. Czekałem na okrzyk, ale nie nastąpił. W końcu mężczyzna zniknął z mojego pola widzenia i znów patrzyłem tylko w czarne niebo z pulsującym światłem. Może tamten uznał, że coś zobaczył, ale doszedł do wniosku, że to musiał być jedynie drewniany bal. Głosy z mostku oddalały się. Rzeka zakręciła. Obróciłem się na brzuch, pięć czy sześć razy mocno machnąłem rękami i już byłem przy brzegu. Nie miałem jednak czego się uchwycić, wyrwałem tylko trochę trawy z błotnistej ziemi, i nagle znów płynąłem, dalej niesiony prądem. Próbowałem ściągnąć z siebie marynarkę, lecz prawa ręka utkwiała mi w rękawie, unieruchomiona za plecami. Napilem się wody. Usiłowałem odbić się nogami od dna, but jednak uwiązł mi pod korzeniem czy czymś innym na dnie i wciągnęło mnie pod wodę. Przyszła mi do głowy idiotyczna, wręcz komiczna myśl. Że utonę. Zniknę i już się nigdy nie odnajdę. Ale przypomniało mi się przysłowie: co ma wisieć, nie utonie. Wyszarpnąłem stopę z buta, rękę z marynarki i wydostałem się na powierzchnię. Dopłynąłem do brzegu, odbiłem się i zarzuciłem ramię na wąski pień drzewa nachylonego nad rzeką. Przez chwilę tak wisiałem, czując, jak bardzo jestem wyczerpany. W końcu odepchnąłem się od drzewa i ostatkiem sił wydostałem się na ląd. Tam położyłem się na plecach, ciężko dysząc. I nasłuchując.

Nic. Żadnych głosów. Ale też żadnego ruchu na szosie. Grzmoty dochodziły już bardziej z oddali, a deszcz nie bębnił, tylko szeptał i szeleścił w liściach. Podniosłem się.

Z niewielkiego pagórka nad brzegiem dojrzałem budkę telefoniczną. Ciągle tam stała. A poniżej biegła szosa. Oświetlona i pusta. Serce opadło mi w piersi. Za

chwile jednak na końcu długiego prostego odcinka drogi zobaczyłem zbliżające się reflektory. Powlokłem się w stronę szosy na nogach, które, jak czułem, dużo dłużej nie będą chciały mnie nosić. Światła się zbliżały. Zalśnił mokry asfalt. Zmusiłem się do biegu. I gdy dotarłem do szosy, padłem jak długi. Podźwignąłem się na kolana i zacząłem wymachiwać rękami, zamykając oczy przed oślepiającym światłem. Pojazd wydał z siebie kilka przypominających stękanie odgłosów, kiedy hamował i zmieniał bieg, a zaraz potem rozległ się głośny ryk klaksonu, który poniósł się echem po okolicy.

Ten klakson słyszałem już wcześniej.

Otworzyłem oczy. To był wóz strażacki.

Stał teraz nieruchomo na drodze w odległości pięćdziesięciu metrów ode mnie.

Wstałem.

Drzwi po obu stronach się otworzyły i ze środka wyskoczyli ludzie. Od razu ich poznałem. To był Frank w kompletnym czerwonym uniformie strażackim, szeryf McClelland w swoim mundurze. I Jenny.

– Hej! – zawołałem. – Boże, nie macie pojęcia, jak się cieszę. To...

Urwałem, gdy zobaczyłem, że jest ich więcej.

Pani Zimmer z biblioteki, dyrektor i pani Monroe z Liep. I Lucas, dozorca.

Poczułem skurcz w żołądku.

– Skąd się tu wzięliście? – zawołałem.

Bez odpowiedzi. Te ich obojętne twarze. I ruchy przypominające ruchy robota... Ostatnią postacią, która wysunęła się z wozu strażackiego, był Feihta Rice. Wymachując laseczką, ruszył w moją stronę sztywnym krokiem jak stary ślepy pies, który zwęszył posiłek.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że tam, na wzgórzu za budką telefoniczną, stoi gromada. Nieruchoma i groźna. Jak wojownicy indiańscy w starym westernie. W gardle mnie ścisnęło. Miałem ochotę położyć się i płakać. Może więc to tylko resztki mojego instynktu przeżycia sprawiły, że raczej poczłapałem, niż pobiegłem do budki. Wszedłem do niej i mocno zatrzasałem ciężkie drzwi. Zamknąłem oczy, ale nie rozluźniałem uchwytu. Kroki i mamroczące głosy zaczęły się zbliżać. Ktoś pociągnął za drzwi, ale zdołałem je przytrzymać. Usłyszałem kłapanie zębów i warczenie, jakby otaczało mnie stado głodnych wilków. I znów ktoś szarpnął drzwi, tym razem mocniej. Otworzyłem oczy. Ich twarze przyciskały się do szyby

ze wszystkich stron. Niczym galeria osób, które znałem. Brakowało jedynie Karen. I Imu.

– Mamo – szepnąłem. – Gdzie jesteś? Tato...

Rozdzwonił się telefon.

Wbiłem piętę w kratę na podłodze budki i odchyliłem się do tyłu, z całej siły ciągnąc drzwi, lecz otwierały się centymetr po centymetrze. Telefon dzwonił coraz głośniej.

– Nie z-z-zjadajcie wszystkiego! – dobiegł głos z zewnątrz. – J-j-ja też chcę!

Podniosłem słuchawkę. Jedną ręką przycisnąłem ją do ucha, drugą usiłując przytrzymać drzwi.

– Słucham? – szepnąłem.

– Puść! – odezwał się miękki kobiecy głos. – Puść, Richardzie, i chodź ze mną.

– Ale...

W tej samej chwili poczułem, że słuchawka leciutko, jakby z rozbawieniem gryzie mnie w koniuszek ucha. Próbowałem ją odciągnąć, ale przywarła. Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, i wtedy coś złapało mnie za język, wyciągnęło go. Patrzyłem na dziurkowaną końcówkę słuchawki z mikrofonem – tkwił przy niej mój wysunięty język, który wydawał się pochłaniany przez małe otworki. Szybko to szło. Wkrótce nie będzie już mojej głowy. Wkrótce zniknę cały. Było to dziwnie bezbolesne, więc przestałem się bać. Puściłem drzwi. Puściłem wszystko.

CZĘŚĆ III

Rozdział 29

Światło.

Niezbyt silne, ale było. Na zewnątrz moich powiek.

– Budzi się. – Głos dobiegł z daleka.

Otworzyłem oczy.

Patrzyła na mnie twarz starszej kobiety obramowanej w jasny błękit. Uśmiechała się.

Spróbowałem coś powiedzieć, ale język jakby zwinął mi się w rulon.

– Trochę zagubiony? – odezwała się kobieta. Miała na sobie jasnoniebieski plastikowy czepek, a poza tym była w jasnoniebieskim kombinezonie.

Kiwnąłem głową.

– Woda. – Podała mi szklankę. – Dobrze by było trochę się teraz napić.

Wziąłem łyk. Woda smakowała kwaśno, jakby rozpuszczała moją własną zaschniętą ślinę. Następny był już lepszy.

– Pamiętasz coś? – spytała kobieta, biorąc ode mnie szklankę.

– Pamiętam, że zjadał mnie telefon. Zaczął od dwóch miejsc na głowie.

Roześmiała się.

– Na pewno przez to. – Podniosła coś ze znajdującego się za nią stolika. Wyglądało jak słuchawki z przewodem, tyle że zamiast wtyczek do ucha miało diody. – Przymocowano ci je do skroni i do czoła. Przypominasz już sobie?

Pokręciłem głową.

– Takie luki w pamięci po terapii ECT są czymś najzupełniej normalnym – oznajmiła.

– E... C...?

– Elektrowstrząsy.

Spod czepka wystawało parę siwych kosmyków.

– Miałem... elektrowstrząsy?

– Tak, ale nic nie czułeś, bo dostałeś pełną narkozę.

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu Ballantyne.

– W Ballantyne nie ma szpitala.

– Nie znam żadnego miasta, które się nazywa Ballantyne, Richardzie. Nasz szpital, jak wiesz, jest imienia Roberta Willingstada Ballantyne’a. Przypominasz to sobie czy akurat wyleciało ci z głowy? – Poklepała mnie po ręce. – Niedługo wróci.

Zamrugalem. Moją pamięć wciąż spowijało coś w rodzaju porannej mgły. Ale miałem wrażenie, że już czuję słońce. Wiedziałem, że wkrótce wypali ono ten mglisty woal.

– Czy ja znam tego Roberta?

– Nie, umarł już dawno temu.

– To dlaczego miałbym pamiętać jego nazwisko?

– Hm. Ponieważ jesteś tu już... dość długo.

– Tak? A jak długo?

Na odpowiedź musiałem czekać, bo kobieta w tym czasie stłumiła kichnięcie. Kiedy znów się uśmiechnęła, jej uśmiechowi towarzyszył jakby smutek.

– Piętnaście lat.

Wziąłem prysznic i przebrałem się w swoim pokoju. Był dość skromny. Łóżko, biurko, szafa na ubrania, łazienka. Właściwie jak pokój hotelowy. Luki w pamięci zaczęły się wypełniać. Przypomniałem sobie na przykład, że zostałem poddany terapii ECT, ponieważ miałem zapomnieć. Nie wszystko, tylko coś konkretnego, wspomnienie traumatyczne, jak się to nazywa.

Terapia chyba zadziałała. Chociaż teraz pamiętałem już wszystko wokół siebie, wiedziałem, czym zajmowałem się wczoraj, a co mam robić dzisiaj, to nie byłem w stanie przypomnieć sobie nic związanego z tym przypuszczalnym wspomnieniem traumatycznym. Wyjrzałem przez okno. Słońce świeciło z błękitnego nieba na otwarty, lekko pofalowany krajobraz z zielonymi trawnikami ciągnącymi się między budynkami aż pod las liściasty. Z mojego pokoju teren ten bardziej przypominał kampus uniwersytecki niż szpital. Był znajomy, oczywiście, że taki był, przecież mieszkałem tu od piętnastu lat. Czym więc były te inne rzeczy, które – jak mi się wydawało – również pamiętam? Telefon, który zjadł kolegę z klasy, chłopca, którego nigdy nie znałem. Przerwy spędzane z dziewczyną na dachu szkoły, do której nigdy nie chodziłem. Stary dom w lesie, którego nigdy nie

widziałem. Mężczyzna na wysypisku śmieci, na którym nigdy nie byłem. Czyżby to wszystko było jedynie snem? Resztkami psychozy z urojeniami? A może tam jednak byłem, może pracowano właśnie nad usunięciem tych wspomnień?

Po drodze do stołówki na lunch spotkałem dozorcę, który wymieniał żarówkę przy windzie.

– Dobrze pan wygląda, panie Jonasson – powiedział.

Dozorca mieszkalnej części szpitala zwracał się do mnie per pan, odkąd tu przyszedłem jako nastolatek. Zawsze uważałem to za połączenie dobrodusznego żartu z profesjonalizmem i nigdy nie prosiłem, żeby mówił mi po imieniu.

– Dziękuję, Lucas. Co czytasz ostatnio?

– *Niewyczerpany żart* Fostera Wallace’a – odparł. Stale coś czytał, a niektóre książki mi pożyczał.

– Godne polecenia?

Lucas w zamyśleniu popatrzył na przepaloną żarówkę.

– I tak, i nie. Może znajdę dla pana coś innego, panie Jonasson.

W stołówce nałożyłem sobie sporo smażonego ryżu.

– Dzisiaj jest dobry, ale proszę uważać – odezwał się zza lady małomówny zwykle kucharz, mówiący z wyraźnym czeskim akcentem.

Uznałem, iż zauważył, że wziąłem większą porcję niż zwykle, ale wynikało to stąd, że musiałem pościć przed narkozą.

Uśmiechnąłem się.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Victorze.

Wielu tutejszych pacjentów zażywających leki antypsychotyczne tyje. Mózg i ciało mówią, że chcą więcej jeszcze długo po zaspokojeniu potrzeby jedzenia. Tak jak Jack, który stale tyje i chudnie, w zależności od przyjmowanych leków. Na szczęście nigdy nie miałem tego problemu. Może dlatego, że jem w sposób matematyczny. Biorę to, czego, jak wiem, organizm potrzebuje, a nie to, do czego usiłuje mnie nakłonić. Nie żebym słyszał głosy – tak jak to jest u wielu moich współpacjentów, u których zdiagnozowano schizofrenię – ale wiem, że muszę zachować kontrolę nad ciałem i nad myślami. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyłem się, kiedy rozpocząłem CBT – psychoterapię poznawczo-behawioralną.

Zabrałem tacę i stanąłem przy wolnym stoliku, który właśnie przecierała Vanessa.

– Bardzo proszę – powiedziała takim samym tonem i z identycznym akcentem, z jakim mówił Victor.

Pomyślałem, że może właśnie dlatego Victor zatrudnił ją dwa lata temu – chciał mieć z kim rozmawiać we własnym języku.

Jadłem powoli, myśląc o zajęciach terapeutycznych, które czekały mnie o pierwszej, i patrzyłem przez okno na wypielęgnowane trawniki i las.

– W-w-wolne?

Podniosłem głowę.

– Tak, proszę.

Tom postawił tacę naprzeciwko mojej i wysunął krzesło.

– E-e-elektrowstrząsy?

– Tak. Skąd wiesz?

Wskazał na swoje skronie.

– Widzę. Golą włosy w miejscu przykładania elektrod.

Pokiwałem głową. Tom był tym pacjentem na oddziale, który miał za sobą najwięcej elektrowstrząsów. Zabiegi te stosowano w przypadkach psychozy, kiedy nie działały już inne środki – leki i terapia. Zdaje się, że Tomowi przepuszczano prąd przez mózg już wtedy, gdy robiono to jeszcze bez znieczulenia. Opowiadał o tym z takimi szczegółami, że przed swoim pierwszym zabiegiem ECT miałem koszmary.

– Właściwie nie sądziłem, że ostatnio jesteś psychotyczny – powiedział Tom. – Chyba mówiło się wręcz, że masz zostać wypisany?

Kiwnąłem głową. To prawda, poprawiło mi się. Znacznie. Ludzie uważają, że schizofrenicy nie mogą wyzdrowieć. Ale faktem jest, że u większości tych, którzy są leczeni, następuje poprawa. U niektórych symptomy całkiem mijają. Nie oznacza to, że choroba nie może ponownie wystawić swojego paskudnego łba, lecz – jak mówi moja terapeutka – każdy dobry dzień jest darem, bez względu na to, czy jesteś pacjentem, czy prezydentem.

– To na PTSD, a nie na psychozę – wyjaśniłem.

– PTSD – powtórzył. – Ja też go mam.

Tom powiedział to szybko, poniekąd z dumą, jakby to był tytuł honorowy. I na swój zwichrowany sposób rzeczywiście tak było. W miejscu, w którym życie codzienne koncentruje się na chorobie, często dochodzi do konkurowania o przyznanie sobie najciekawszej, najrzadszej i najgorszej z możliwych diagnozy. Skoro już masz być popieprzony, powinieneś być popieprzony porządnie. Nie żeby PTSD, zespół stresu pourazowego, był akurat taki rzadki wśród schizofreników. Badania pokazują, że ludzie po traumach takich jak wojna, gwałt i przemoc, po których wystąpiły u nich objawy PTSD, mają większą skłonność do tego, że rozwinię się u nich schizofrenia. Czytałem wyniki pewnego badania – wynika z niego, że geny związane z PTSD nakładają się na geny, które zwiększają ryzyko schizofrenii zdiagnozowanej w systemie DSM-5. Krótko mówiąc: wyciągnąłem z tego wniosek, że jeśli ktoś doświadczy poważnej traumy w powiązaniu ze schizofrenią w rodzinie, to ma marne szanse. A ten wniosek opiera się na czymś więcej niż to, co tylko przeczytałem.

– Zaczęli stosować elektrowstrząsy do usuwania traumatycznych wspomnień.

– Ż-ż-żartujesz? – zdumiał się Tom.

– Nie, on wcale nie żartuje – stwierdził Jack, teraz we względnie szczupłym i słabo nafaszerowanym lekami wydaniu, przysiadając się do naszego stolika. – Robią to już od blisko dziesięciu lat. Najpierw na szczurach, teraz na nas, ludziach. Jesteśmy tacy sami, no wiesz. Ile zabiegów miałeś?

– Cztery.

– To działa?

– Nie pamiętam.

Roześmiali się.

– No tak, nie możesz pamiętać tego, co zapomniałeś – zauważył Jack, szuflując smażony ryż.

– Żartuję – przyznałem. – Pamiętam. Ale to się rozwiewa, znika jak... – Grzebałem w jedzeniu.

Zobaczyłem, że Jack poruszył się niespokojnie.

– Jak co? – spytał. Bo tak jak nie znosił niedokończonych partii szachów lub rzeczy asymetrycznych, tak nie wytrzymał niedokończonych zdań.

– ...jak poranna mgła – powiedziałem i zobaczyłem, że Jack się uspokaja.

Twierdził, że nie jest schizofrenikiem, tylko typem schizoidalnym, a więc łagodniejszym. Właśnie dlatego nie cierpi na halucynacje, urojenia, paranoję, głosy w głowie, agresję, czy też nie jest – jak Harry – milczącym, nieruchomym posągiem, który patrzy wyłącznie przed siebie. Przeciwnie, Jack był wdzięczny za tę dawkę szaleństwa, w którą został wyposażony i która – jak uważał – prędzej czy później uczyni z niego światowej sławy malarza, pisarza lub choreografa oraz sprawi, że najpiękniejsze kobiety świata będą mu się rzucać do stóp. Badania wykazały bowiem – i na to rzeczywiście mógł przedstawić dokumentację – że zaburzenia schizotypowe nie tylko są silnie skorelowane z kreatywnością i ze zdolnościami artystycznymi, lecz wiążą się również z atrakcyjnością na rynku płci.

Po lunchu włożyłem sportowe buty i poszedłem pobiegać. Moja stała trasa wiodła z tyłu głównego budynku do prastarej bramy z kutego żelaza z inicjałami BA, które objaśniano gościom jako skrót od „Ballantyne”, ale my, którzy mieszkaliśmy tu już od jakiegoś czasu, wiedzieliśmy, że to skrót od „Ballantyne Asylum”. Biegłem drogą przez dziesięć–dwanaście minut, żeby następnie skręcić w las i zatoczyć łuk prowadzący na jego skraj, od którego rozciągał się aż do frontu głównego budynku przystrzyżony trawnik. W środku lasu uświadomiłem sobie, że nie wiem, gdzie jestem. Nie zaniepokoiłem się, bo wiedziałem, że po zabiegu ECT pojawiają się luki w pamięci, lecz zazwyczaj wypełniają się po kilku dniach, przynajmniej te, których nie chcieliśmy wymazać. Ale kiedy wyszedłem na skraj lasu i zobaczyłem główny budynek, przez krótki, straszny moment wydało mi się, że mam nawrót, że to halucynacja.

Zaraz jednak wszystko sobie przypomniałem i puls znów mi się uspokoił.

Budynek był utrzymany w stylu nazywanym, zdaje się, *Collegiate Gothic*, z trzypiętrową partią środkową i niższymi skrzydłami po obu stronach. Kalenica na dachu najwyższej części zakończona była dwoma rogami. Niektórzy nazywali go Nocnym Domem, ponieważ wielu pacjentów – jak ja – potrafiło się tu obudzić i konstatować, że lata, które minęły, odkąd tu przybyli, były tylko snem. Ale to był piękny przyjazny dom, poza tym świeciło słońce. Mimo to z jakiegoś powodu przeszedł mnie dreszcz. Może coś mi się przyśniło pod narkozą. Biegiem wróciłem do swojego pokoju, wziąłem prysznic, ubrałem się i przygotowałem na zajęcia terapeutyczne. Czuję, że serce bije mi trochę mocniej. Zawsze tak było, gdy miałem się spotkać ze swoją terapeutką.

– Jak się dzisiaj czujesz, Richardzie?

- W porządku.
- Słyszałam, że ECT dobrze poszło.
- Tak.

Terapeutka wyjęła swój notatnik i odgarnęła krótką chłopięcą grzywkę z czoła i okularów do czytania. Byliśmy tylko we dwoje. Jak zwykle siedzieliśmy w sali terapeutycznej, dużym jasnym pokoju, umeblowanym jak domowy salon. Przez chwilę obracała w palcach różową spinkę do włosów, której używała jako zakładki, po czym utkwiała we mnie spojrzenie niebieskich oczu. Uśmiechnęła się tym uśmiechem, który sprawia, że słońce jaśniej świeci. Czujesz wtedy, że ona nie tylko cię widzi, lecz że widzi tylko ciebie. Ale nie trzeba być schizofrenikiem, żeby mieć tego rodzaju urojenia. Zakochiwanie się w terapeutce przeciwnej płci w podobnym wieku, o w miarę atrakcyjnym wyglądzie, jest podobno tak powszechne, że ludzie zaczynają się zastanawiać, co może być nie tak, jeśli pacjent się nie zakocha. Karen Taylor spełniała te kryteria, więc niestety ze mną wszystko było w porządku. Kochałem się w niej na zabój i okazałem się tak zabójczo głupi, że pozwalałem sobie myśleć, iż moje uczucie jest odwzajemniane, a Karen powstrzymuje tylko jej odpowiedzialność z racji zawodu. Mimo że była moją terapeutką już od blisko czterech lat i znała najbrudniejsze, najohydniejsze zakątki piwnicy mojej duszy. Na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie to, że moje zarozumiałstwo było jej dziełem – to ona pozwoliła mi uwierzyć, że mogę być kochany taki, jaki jestem. No cóż, trzymam się teraz tej wiary, wmówionej sobie czy nie, ponieważ przekonałem się, że prawdą jest wyhaftowana i oprawiona w ramki maksyma na ścianie za jej plecami: *Rich Are The Loved*. Bogatsi, weselsi, zdrowsi.

– Pomyśl tylko, że dotarłeś tak daleko – powiedziała. – Pamiętasz, jak zaczynaliśmy?

Kiwnąłem głową. Oczywiście po drodze było kilka wpadek, ale postęp nie podlegał dyskusji. Chociaż prawdopodobnie będę musiał brać leki już do końca życia, to jednak dawałem sobie teraz radę z tak niewielkimi dawkami, że skutki uboczne można było puścić w zapomnienie. Karen w porozumieniu z ordynatorem oceniła, że jeśli zdołają wymazać traumatyczne wspomnienie stanowiące podstawę diagnozy PTSD, zredukuje to znacząco ryzyko ponownego popadnięcia w psychozę. Krótko mówiąc, mogę zostać wypisany.

Czy miałem na to ochotę?

Dylemat był oczywisty. Zamieszkałem tu jako nastolatek. Nigdy nie pracowałem, nie zdobyłem wykształcenia, nigdy nie miałem dziewczyny ani nie nauczyłem się społecznych reguł obowiązujących w świecie zewnętrznym. Odziedziczyłem sporo pieniędzy po rodzinie ze strony ojca i dzięki wynajęciu mieszkania stać mnie było na pobyt w prywatnym szpitalu, takim jak Ballantyne. Do czego więc mógłbym się nadać na zewnątrz? Zacząłem postrzegać rolę pacjenta jako swoją pracę, swój wkład dla społeczeństwa. Dbałem przecież o potrzebę miejsc pracy, oddawałem się do dyspozycji podczas testowania nowych metod w walce z bardziej nieszczęśliwymi stronami schizofrenii. Ponadto kiedy się mówi, że jakość społeczeństwa można zmierzyć jego dbałością o najsłabszych, to ktoś musi przecież – żeby dało się to zmierzyć – stawić się jako ten najsłabszy?

To było, rzecz jasna, racjonalizowanie. Konstruowanie rzeczywistości, która nada sens mojemu istnieniu, temu, że wstawałem rano, że wpychałem w siebie jedzenie, które przede mną stawiano, że przeżywałem jeszcze jeden dzień. A jednak. Gdy oceniałem, jaki pożytek mógłby być ze mnie w świecie zewnętrznym, to czy nie lepiej, żebym został tutaj i był wykorzystywany do dalszego uczenia psychiatrów tego, jak psychoterapia w powiązaniu z terapią ECT może zostać wykorzystana do wymazywania traumatycznych wspomnień wywołujących psychozy? W dużym uproszczeniu metoda ta polegała na tym, że opowiadałem ze szczegółami o traumie, a zaraz potem dostawałem narkozę i mały wstrząs elektryczny. To prawda, że metoda ta miała już dziesięć lat, wciąż jednak nie wiadano i nie rozumiano wszystkiego.

– Siedzieliśmy tu dziś rano przed twoim zabiegiem ECT – powiedziała Karen. – Pamiętasz?

– Nie – odparłem. – Ale widziałem, że zostało to zapisane w kalendarzu w moim pokoju, więc wiem. Pamiętam wszystko z wczoraj, z zeszłego tygodnia i z poprzednich lat. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– A pamiętasz w ogóle cokolwiek z dzisiejszego dnia, zanim przebudziłeś się z narkozy?

– Tak. Dużo.

– Dużo? To znaczy co?

– Byłem na spotkaniu po latach z klasą, do której chodziłem po pożarze.

– Pamiętasz, że po pożarze chodziłeś do jakiejś klasy?

– Nie, to mi się tylko śniło.

– Mówisz tak, żebym nie pomyślała, że wróciły ci urojenia.

– Bycie schizofrenikiem nie oznacza, że nie ma się snów jak każdy inny człowiek.

Karen roześmiała się cicho.

– No dobrze, mów dalej.

Wiedziałem, że mi ufa, ponieważ przez pewien czas udowadniałem, że nie kłamię. Że zapraszam ją do siebie i się przed nią odsłaniam. Mówiła, że samooszukiwanie się to sposób na ochronę przed bólem, a moja szczerość jest oznaką tego, że staję się silniejszy, zdrowszy, że więcej wytrzymuję.

– Najpierw śni mi się, że mieszkam w niedużej miejscowości, do której mnie wysłano po śmierci rodziców w pożarze. Tam jeden z moich kolegów z klasy zostaje zjedzony przez słuchawkę telefoniczną, a inny przemienia się w owada. I wszyscy, z wyjątkiem dziewczyny, w której jestem zakochany, uważają, że to ja jestem temu winien. I... – Przełknąłem ślinę. – Mają rację. To moja wina. Ale potem w końcu ratuję tę dziewczynę.

Zobaczyłem, że Karen coś notuje. Przypuszczam, że chodziło jej o słowo „wina”.

– To już cały sen? – spytała.

– Nie. Nagle mija piętnaście lat, a ja jestem pisarzem, który wymyślił całą tę historię z telefonem i ze znikającymi kolegami. To wszystko jest teraz tylko thrillerem dla młodzieży, który odniósł wielki sukces. Trochę tak, jakby śniło mi się, że mi się śniło. Rozumiesz?

– *Sen we śnie*, Edgar Allan Poe.

Uśmiechnąłem się. Karen lubiła książki. To była jedna z tych rzeczy, które nas łączyły.

– No właśnie. W każdym razie mija piętnaście lat, a ja wracam do miasta na spotkanie z dawnymi kolegami z klasy. Wieczór rozpoczyna się normalnie, ale potem stopniowo zaczynają się dziać dziwaczne rzeczy i odkrywam, że to, co zmyśliłem, mimo wszystko jest prawdą. Albo przynajmniej przeżywam to jako prawdę. A oni, moi koledzy, chcą mnie dopaść. Chcą mnie zjeść.

– Jak myślisz, czy to jest sen we śnie? Czy też śni ci się psychoza?

– Nie wiem. Ja to widzę od środka. Wszystko wydaje mi się rzeczywiste. Powiedziałaś kiedyś, że sny mogą pokazać innym, czym są urojenia.

– Po części tak. We śnie tak jak w urojeniach akceptujemy nieobowiązywanie praw fizyki, niemożliwe paradoksy i sprzeczności.

– Właśnie tak było. Tyle że to wszystko się ze sobą wiązało. Miało sens, jeśli mnie rozumiesz.

– Jaki to był sens?

– Że... – Urwałem. Jakbym przemyślał to sobie do tego momentu, a dalej już nie. Ale za chwilę podjąłem: – Że to jednak moja wina. Że wszyscy chcieli mnie dopaść, ponieważ to była moja wina.

– Co było twoją winą, Richardzie?

– Wszystko. – Zakryłem twarz dłońmi. – Zdaję sobie sprawę, że przekonanie, iż wszyscy się na mnie uwzięli, to klasyczna paranoja. Ale czy nie można mieć leciutkiej paranoi, kiedy się śni?

Byłem przekonany, że gdzieś w tym notatniku Karen ma zapisane słowa „schizofrenia paranoidalna”, bo tak brzmiała moja pierwsza diagnoza.

– Owszem – przyznała. – Większość z nas miewa od czasu do czasu paranoidalne sny.

– Ty też?

Uśmiechnęła się przelotnie, zdjęła okulary i przetarła szkła.

– Zerkniemy na twoje traumatyczne wspomnienie, Richardzie?

– Dobrze.

– Nie będziemy się za bardzo w nie zagłębiać, bo przecież nie chcemy go odświeżać. Chcę tylko sprawdzić, czy to ostatnie, dzisiejsze ECT wymazało jeszcze trochę.

– No dobrze.

– Więc co pamiętasz o pożarze? Tylko krótko.

Pożar. Musiałem się zastanowić. Pamiętałem przecież, że chodziło o pożar, ale, o dziwo, w głowie miałem zupełną pustkę. W końcu jednak sobie przypomniałem.

– Podpaliliśmy dom – oznajmiłem.

– My?

– Ja i bliźnięta. Potem uciekliśmy. Korzenie dębu rzuciły się za nami. Uratowało mnie przed nimi to, że brama w ogrodzeniu była pod prądem, dzięki temu się jej trzymałem. Ale w końcu straciłem kontakt z ziemią i zostałem pociągnięty w stronę drzewa. Na szczęście zjawili się Frank i agent Dale. To oni mnie uratowali.

– Frank i Dale? – spytała Karen, notując.

– Tak.

– I to wszystko?

– Mówiłaś, że mam mówić krótko.

– Tak, tak, bardzo dobrze – powiedziała, ale zauważyłem u niej zaniepokojenie, które, jak sądziła, udało jej się ukryć. – Tylko że to nie jest ten pożar, który miałam na myśli.

– Nie? Aha, chodzi ci o tamto trawiaste boisko, które podpaliłem. To w pobliżu wysypiska śmieci, kiedy mieszkałem u Franka i Jenny, tak?

– U Franka i Jenny – powtórzyła spokojnie. Tym razem lekkie uniesienie ramion ujawniło, że moje ostatnie słowa ją zestresowały.

– Spokojnie, Karen – dorzuciłem. – To nie są urojenia. Po prostu opowiadam swoje sny. Bo tylko ze snów pamiętam coś, co ma związek z pożarami.

Rozległo się ciche stuknięcie, gdy jej długopis upadł na parkiet, ale zdawała się tego nie zauważać.

– To prawda, Richardzie?

– Dlaczego miałbym kłamać?

Odpowiedź była równie oczywista, jak prawdziwa. Żeby sprawić ci przyjemność, Karen Taylor. Ponieważ zrobiłbym wszystko, aby zobaczyć, jak się uśmiechasz.

Nachyliłem się, podniosłem długopis i jej podałem.

Powoli opuściła ramiona, a na jej twarzy ukazał się uśmiech... Tak, uśmiech szczęścia.

– Wiesz, Richardzie, uważam, że to wygląda nieźle. Naprawdę nieźle. Możesz tu poczekać, a ja pójdę po kogoś z pozostałych?

Kiwnąłem głową. „Pozostali” to był zespół terapeutów, psychiatrów i psychologów, blisko pracujących z pacjentami. Ludzki umysł bowiem – jak się

wyrażali – jest zbyt złożony, by można było od jednej tylko osoby oczekiwać wyciągnięcia właściwych wniosków.

Słuchając, jak jej kroki oddalają się za drzwiami korytarzem, spojrzałem na notatnik, który zostawiła na krześle. Nigdy wcześniej go nie zostawiała. No cóż, chyba podczas żadnej z naszych sesji w ciągu tych czterech lat nigdy nie zostawiała mnie samego. Już to powiedziało mi, że dzień jest naprawdę wyjątkowy. Oczywiście ciekaw byłem, co się teraz stanie, lecz jeszcze bardziej ciekawiło mnie, co Karen przez te lata zapisała w notatniku. Bo to był ciągle ten sam notatnik. Znałem każdą rysę i każdy odcień brązu skórzanej oprawy. Ileż to razy snułem fantazje o tym, co mogła tam o mnie wypisywać. Bo jedna rzecz to sprawozdania pisane na komputerze po każdej sesji i przekazywane do archiwum. Te były, rzecz jasna, w pełni profesjonalne. Ale ten notes to coś zupełnie innego. Zapisywała tam prawdopodobnie swoje bezpośrednie osobiste refleksje dotyczące pacjenta. A może zdradzała tam siebie?

Chwilę się zawahałem.

W końcu nachyliłem się, wziąłem notes z krzesła, wyciągnąłem różową spinkę do włosów i zacząłem go przeglądać. Nie spodziewałem się wprawdzie bezpośrednich wyznań w rodzaju tych, które dziewczęta wypisują w piórnikach, na przykład *I love Kurt Cobain*. Z własnego doświadczenia wiedziałem jednak, że kiedy się tak siedzi, bazgrząc, to te nie do końca świadome myśli, które trafiają na papier, często ujawniają więcej aniżeli te rozsądne i sformułowane do końca. Dlatego poczułem rozczarowanie, gdy się zorientowałem, że te notatki są utrzymane w takim samym profesjonalnym tonie jak ostateczne sprawozdania, które zawsze dawała mi do przeczytania, jeśli tylko o to poprosiłem.

Status praesens. R.J. jest zadbany, można z nim nawiązać dobry kontakt formalny i nieformalny. Zorientowany w czasie, przestrzeni i sytuacji. Żadnych oznak zerwania kontaktu z rzeczywistością czy halucynacji. Nastrój neutralny. Zdolność do werbalnego formułowania myśli dobra.

Przeczytałem jeszcze kilka stron. To był znajomy materiał, trochę jak oglądanie własnych zdjęć.

11 kwietnia, godzina 11.15. R.J. jest rozluźniony, zabawny i czarujący, kiedy mówi o swoim bieganiu. Podejmujemy wątek z wczoraj i znów rozmawiamy o dorastaniu, wtedy R.J. powtarza, że przed chorobą ojca miał harmonijne, czułe relacje i z ojcem, i z matką. Mowa ciała i nastrój R.J. są neutralne i opanowane,

lecz to się, jak zwykle, zmienia, gdy poruszamy temat pożaru. Można jednak zaobserwować poprawę w stosunku do początków terapii (zob. nagłe rozglądanie się na boki, długie okresy milczenia, ewidentne oznaki halucynacji). Mowa ciała i głos świadczą o stresie, bardziej przy opisie tego, co się stało z rodzicami, niż niebezpieczeństwa, w którym sam się znajdował. Nie mam wątpliwości, że to zdarzenie stanowiło czynnik, który wywołał wiele problemów R.J., i że wciąż jeszcze jest dużo do przepracowania w związku z tą traumą. Czy alternatywą może być ECT? W każdym razie zalecę zespołowi przemyślenie takiej propozycji. Może R.J. zdołałby opowiedzieć o zdarzeniu w nowy, dogłębszy sposób? Akurat w tej chwili wydaje się, że powtarza tylko to, co mówił już wcześniej, z tym samym bólem, ale bez nowej świadomości.

Kiedy rozpiąłem spinkę łączącą kilka stron, z notesu wypadły dwie złożone kartki formatu A4. Rozłożyłem je i zobaczyłem, że są gęsto zapisane. Tytuł brzmiał *Pożar*. Przeczytałem pierwsze zdania i zdziwiłem się, nie rozpoznając treści ani w żaden inny sposób nie przypominając sobie, że bym to napisał. Charakter pisma był bowiem bez wątpienia mój. Zawahałem się. Miałem świadomość, ile ryzykuję. Terapia CBT, elektrowstrząsy, wszystko mogło się okazać daremne, gdybym to teraz przeczytał. Ale z drugiej strony dowód na to, że terapia podziałała, że naprawdę zdołali usunąć z mojej pamięci to, czego pamięć nie chciała przetrzymać, mogłem zdobyć jedynie, czytając te zapiski.

Zamknąłem oczy. Wzięłem głęboki oddech. I znów je otworzyłem.

Pożar

Kiedy miałem trzynaście lat, choroba taty tak się rozwinęła, że zacząłem się go bać. Już wcześniej miewał okresy, kiedy zachowywał się dziwnie, ale teraz pojawiły się urojenia. Między innymi zarzucał mamie urządzenie w domu orgii pod jego nieobecność, sprowadzanie z ulicy obcych mężczyzn i kobiet. I sprzedawanie im jego rzeczy. Na dowód tego wymieniał garnitury, zegarki, instrumenty muzyczne, radia, a nawet samochody, których nigdy nie miał, a które jego zdaniem zniknęły. Kiedy indziej całymi godzinami siedział nieruchomo wpatrzony w ścianę, nie odzywając się ani słowem i nic nie jedząc, co było niemal jeszcze gorsze. Bałem się wtedy, że go stracę. Mama próbowała załatwić przymusową hospitalizację, ale nie dopuściła do tego rodzina taty, twierdząc, że inni jej członkowie z takimi samymi ekscentrycznymi „tendencjami” poradzi sobie bez szpitala, bo potrzebowali

jedynie odpoczynku. A umieszczenie taty w szpitalu dla psychicznie chorych miało oznaczać hańbę dla rodziny, zupełnie niepotrzebną.

Którejś nocy tata mnie zbudził i oznajmił, iż głosy powiedziały mu, że on i ja jesteśmy bliźniakami syjamskimi, urodziliśmy się zrośnięci biodrami, ale nas rozdzielono. Jestem jednak od niego młodszy, ponieważ gen starzenia się jest w jego części naszego wspólnego ciała i dlatego ja starzeję się o wiele wolniej. Pokazał mi nawet ranę na biodrze jako dowód. A gdy mówiłem, że ja nic takiego nie mam, nie uwierzył mi i ściągnął mi spodnie od pizamy, żeby sprawdzić. Zbudzona hałasami mama weszła i źle zrozumiała tę sytuację. Chociaż tłumaczyłem jej, w czym rzecz, i mówiłem, że tata nigdy, przenigdy nie tknął mnie nawet palcem, w każdym razie nie w ten sposób, to widziałem, że mama ma wątpliwości.

Kilka dni później wyznała mi, że tata ją pobił i groził jej nożem. Zabrała go policja, ale zapowiedziała, że wypuści tatę, jeśli mama nie złoży zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa. Babcia ze strony ojca jej to odradziła, wręcz groźbami zmusiła, żeby tego nie robiła. Mama umówiła się z babcią, że tata przeprowadzi się do niej i do dziadka, a od nas będzie trzymał się z daleka, dopóki mu się nie poprawi. Zmieniła zamki w drzwiach do naszego mieszkania, a kiedy spytałem dlaczego, powiedziała, że tacie nigdy się nie poprawi, wystarczy tylko spojrzeć na jego dwóch wujków. Na moje pytanie o to, co się z nimi stało, odparła, że lepiej, abym nie wiedział.

Dzień później tata przyszedł do naszego mieszkania. Kluczem otworzył sobie drzwi od ulicy na dole, ale kiedy dotarł na nasze dziewiąte piętro i zrozumiał, że zamek w drzwiach jest zmieniony, wpadł we wściekłość i zaczął w nie walić.

– Wiem, że tam jesteście! – ryczał. – Otwierajcie! Richard, słyszysz mnie?

Mama i ja staliśmy w głębi kuchni, obejmowała mnie, a teraz zatkała mi usta ręką.

– Nie odpowiadaj – szepnęła z płaczem.

Tata dalej walił w drzwi.

– Wiem, że twoja matka nie chce mnie wpuścić, ale ty masz to zrobić, Richardzie! Jesteś moim ciałem i krwią! To mój dom! Stworzyłem go dla nas!

Chciałem się wyrwać, ale mama mocno mnie trzymała. Po dziesięciu minutach walenia, kopania i ryku w głosie taty słychać było łzy.

– Śmieć! – krzyczał. – Richardzie, jesteś śmieciem! Twoja matka spłonie w piekle, a ty nic na to nie poradzisz. Bo jesteś mały, słaby i tchórzliwy. Jesteś śmieciem, słyszysz? Jesteś śmieciem! I masz otworzyć!

Minęło blisko pół godziny, zanim usłyszeliśmy, że kroki i przekleństwa się oddalają.

Mama zadzwoniła do babci i opowiedziała, co się stało, a babcia obiecała, że załatwi leki przez lekarza rodzinnego. Oświadczyła, że dobrze wie, co dolega tacie, i że będzie potrafiła zająć się swoim synem.

Ale minęły zaledwie dwa dni, gdy tata znów się zjawił pod naszymi drzwiami.

– Oboje spłoniecie! To moje mieszkanie, a chłopak to moje ciało i moja krew! Ciało i krew!

Wreszcie z mieszkań wyszli dwaj sąsiedzi, słyszeliśmy ich głosy na korytarzu. Uspokoiłi tatę i po jakimś czasie wyprowadzili go z budynku. Przez okno widziałem, jak przechodził przez ulicę. Wydawał się taki mały i taki samotny.

Tej nocy przyśnił mi się koszmar. W tym śnie nie istniałem jako odrębna osoba, byłem jedynie naroślą na jego plecach. Dziwne było to, że kiedy tata stał, waląc w drzwi i wyzywając mamę, ja robiłem to samo. Czuję jego rozpacz, wściekłość i strach. Może dlatego, że kochałem i podziwiałem tatę ponad wszystko na świecie. Chociaż mamę też kochałem. Co konkretnie podziwiałem w tacie, trudno powiedzieć, bo był zwyczajnym człowiekiem. Pracował ciężko jako sprzedawca ubezpieczeń, nie posiadał żadnych szczególnych talentów, oprócz tego, że umiał włożyć do ust dwa palce i gwizdnąć głośniejsz niż ktokolwiek inny. Co prawda pochodził z zamożnej rodziny, ale podejrzewam, że właściwie przyniósł jej pewne rozczarowanie. Dla mnie jednak tata był najważniejszą osobą na świecie i marzyłem o byciu dostrzeganym przez niego i o jego uznaniu. Pewnie dlatego zawsze bez najmniejszych oporów spełniałem każde jego polecenie. Mama mówiła, że zachowuję się jak dobrze wytresowany pies. Mógł też być inny powód tego, że – przynajmniej we śnie – stanąłem po stronie taty, chociaż była to z pewnością niewłaściwa strona. Bo mama go zdradziła, wiedziałem przecież. Rok wcześniej miała romans ze swoim szefem. Oboje pracowali w bibliotece obok szkoły. To jeden z chłopaków z klasy powiedział mi, że widział, jak się całują między regałami, i dodał, że moja mama to dziwka. Pobitem go, wysłano mnie wtedy pod osławione czerwone drzwi do gabinetu dyrektora. Ale to wcale nie było takie straszne. Musiałem tylko wysłuchać jego kazania, a sam nic nie mówiłem. Nic też nie

powiedziałem tacie po powrocie do domu. Ale mamie przekazałem, co mówią w szkole. Rozpłakała się i przyznała, że miała romans z szefem, ale że to już skończone. Jakby na dowód tego następnego dnia przy obiedzie oznajmiła, że rzuciła pracę, co bardzo zaskoczyło tatę, bo przecież taka była z niej zadowolona. I dodał, jakby na pociechę, że najważniejsze, aby praca sprawiała przyjemność. Mama uśmiechała się do niego, a ja spuściłem głowę i przeżuwałem jedzenie, walcząc z chęcią objęcia taty.

Wieczorem przed tą nocą, kiedy tata podpalił mieszkanie, leżałem w łóżku i słuchałem odgłosów miasta. Nasłuchiwałem zwłaszcza syren policyjnych, które uwielbiałem. Ten ich to wznoszący się, to opadający ton, jakby skarga, wywoływał we mnie drżenie, bo syreny mówiły przecież, że doszło do jakichś dramatycznych wydarzeń, do czegoś emocjonującego. Jednocześnie dźwięk ten dawał poczucie bezpieczeństwa, bo przecież policja zajmowała się sprawą, wszystko było pod kontrolą, ktoś czuwał. Ja też chciałem czuwać, pilnować. Zamierzałem zostać policjantem, najchętniej agentem FBI, jeździć radiowozem z kogutem na dachu i syreną, która wyśpiewuje mieszkańcom miasta kołysankę na dobranoc.

Gdy się obudziłem, w pierwszej chwili myślałem, że to syrena, ale w końcu pojąłem, że to telefon w przedpokoju.

Leżałem przez chwilę, zanim zrozumiałem, że mama nie odbierze. Może to przez tabletki nasenne, które dostała od lekarza po tym, jak wyrzuciła tatę z domu. Telefon ucichł i już zasypiałem, kiedy znów się rozdzwonił. Serce mi waliło, bo wiedziałem, kto dzwoni. Wstałem, wyszedłem do przedpokoju na palcach, żeby całymi bosymi stopami nie dotykać lodowatej podłogi.

Odebrałem telefon.

– Halo – powiedziałem cicho.

Usłyszałem, że ktoś ciężko oddycha.

– Richard, synku. – To był jasny, prawie kobiecy głos taty. – Otwórz mi.

– Mam otworzyć?

– Chcę wejść, a ty mi otwórz.

– Tato...

– Cicho. Jesteś moim synem. Ciałem z mojego ciała i kością z mojej kości, więc zrobisz, co powiem.

– Ale...

– Żadnych ale. Jestem już zdrowy, tylko mama tego nie rozumie. Nie chce słuchać. Muszę z nią porozmawiać, żeby zrozumiała, że my troje musimy być razem. Jesteśmy rodziną, prawda?

– Tak, tato.

– Tak, tato...?

– Tak, tato, jesteśmy rodziną.

– Dobrze, więc otwórz drzwi, a potem idź do łóżka. Kiedy się obudzisz jutro rano, mama i ja będziemy pogodzeni, zjemy razem śniadanie i wszystko będzie jak dawniej.

– Ale ty...

– Dostałem leki, w głowie mi się uspokoiło, jestem zdrowy. Otwórz, a potem się połóż, Richard. Jutro idziesz do szkoły.

Zamknąłem oczy. Wyobraziłem sobie to śniadanie. Ze swojego krzesła przy kuchennym stole miałem widok na budynek po drugiej stronie ulicy, poranne słońce wciąż było za nim schowane, ale jego światło otaczało dom aureolą, która przesuwała się coraz wyżej, podczas gdy rodzice porozumiewali się krótkimi zdaniami w sprawach praktycznych, koordynowali plan dnia. Rodzina. Miłość. Bezpieczeństwo. Związek. Sens.

Pamiętam, że leżałem w łóżku. Obudził mnie jakiś sen. Jechałem z rodzicami samochodem przez płaski, porośnięty lasem krajobraz. Zmierzaliśmy do więzienia, gdzie mieliśmy odwiedzić jednego z wujków taty. Z drogi podnosił się kurz, przednia szyba była brudna. Czuć było zapach płynu do mycia szyb. Leżałem w łóżku i nasłuchiwałem. Ciągle czułem zapach płynu do szyb, a potem usłyszałem odgłos czegoś, co się przewraca i upada, może krzesła. Wstałem z łóżka i wyszedłem na korytarz. Woń spirytusu kręciła w nosie, a parkiet pod moimi bosymi stopami był mokry i lepki. Z uchylonych drzwi do sypialni mamy biło światło. Podszedłem na palcach i zajrzałem.

Rzeczywiście na podłodze leżało krzesło. Nad nim wisiała mama. Nieruchomo. To znaczy, wolniutko się obracała, a jej bosa stopy jak gdyby próbowały dosięgnąć podłogi, żeby znaleźć podparcie. Z przemoczonej białej nocnej koszuli kapą. Kap, kap, kap. Jej ciało się odwróciło, tak że zobaczyłem plecy i związane z tyłu ręce. Kiedy obróciło się przodem do mnie, podniosłem wzrok. Włosy lepiły jej się do twarzy, jakby padał deszcz. Usta zasłaniała srebrna taśma Gaffa. Oczy były

otwarte, ale wiedziałem, że nic nie widzą, chociaż wpatrują się przed siebie. Sznur, który miała na szyi, był przymocowany do sufitu, do tego samego haka, na którym wisiała lampa. Chociaż nigdy wcześniej nie widziałem trupa, z taką samą pewnością, z jaką wiedziałem, że żyję, orientowałem się, że mama nie żyje. Poczułem ściskanie w gardle, a mimo to na widok malutkiego żółtego płomyka zdołałem wydusić z siebie słowa:

– Nie, tato, nie rób tego.

Stojący obok mamy tata obrócił się powoli i popatrzył na mnie spojrzeniem lunatyka. Na jego twarzy ukazał się łagodny uśmiech.

– Przecież już ci mówiłem, synku, że jeśli naprawdę chcesz ich zabić, musisz to zrobić dwa razy. Inaczej wróć.

Uniósł zapalniczkę i język płomyka liznął brzeg nocnej koszuli mamy. Rozległo się miękkie pufnięcie, jakby ktoś wciągnął całe powietrze z pokoju. Mama stanęła w ogniu. Ledwie mogłem ją dostrzec. Iskry padały na podłogę, która też zaczęła się palić. Cofnąłem się, wpatrzony w płomienie pełzające do mnie po śladach spirytusu jak długie żółto-niebieskie palce. Nie chciałem się cofać, chciałem wejść do środka, złapać kołdrę, owinąć nią mamę i ugasić pożar. Ale moje ciało nie słuchało rozkazów. Bo tata jak zawsze miał rację. Byłem tchórzem. Słabeuszem. Śmieciem. Więc się cofałem. Jak najdalej od drzwi, tyłem w głąb korytarza, wciąż otoczony głodnymi płomieniami, które biegły za mną, aż w końcu mogłem otworzyć drzwi do swojego pokoju, wejść tam i odciąć się od wszystkiego. Potem przycisnąłem ręce do uszu, zamknąłem oczy i zacząłem krzyczeć.

Nie wiem, jak długo tak stałem. Kiedy poczułem falę gorąca na twarzy i ciele, otworzyłem oczy i zobaczyłem tatę wypełniającego otwór drzwiowy. Za nim cały przedpokój stał już w płomieniach. Przestałem krzyczeć, ale ten krzyk wciąż trwał. Minęła sekunda, zanim pojąłem, że to nie krzyk, tylko alarm przeciwpożarowy. Tata wszedł i zamknął drzwi za sobą. Kucnął przede mną i położył mi ręce na ramionach. Alarm z jednostajnego przenikliwego dźwięku zmienił się w pulsujące wycie. Między jednym a drugim rykiem słyszałem narastające trzaski i chrzęsty, jakby tysiący larw zjadających trupa.

– Trzeba było tak zrobić – powiedział tata łagodnym głosem. Tym, którego używał, kiedy chciał mi wytłumaczyć, dlaczego muszę pozwolić szkolnemu lekarzowi zrobić sobie zastrzyk albo że nie może zabrać mnie do klubu filmowego

na Noc żywych trupów, bo mama się nie zgadza. – Głosy tak mówią, a one wiedzą najlepiej, rozumiesz?

Kiwnąłem głową. Wprawdzie nie rozumiałem, ale nie chciałem, by pomyślał, że go nie rozumiem, że nie jestem po jego stronie.

Tata przyciągnął mnie do siebie.

– Ty też słyszysz głosy? – szepnął mi do ucha.

Nie wiedziałem, czy mam pokręcić, czy pokiwać głową. Między jednym a drugim sygnałem alarmu słyszałem coś w oddali, ale to nie były głosy, tylko syreny.

– Słyszysz? – powtórzył, lekko mną potrząsając.

– A co one mówią? – spytałem.

– Nie słyszysz? Mówią, że mamy odfrunąć. My dwaj, ty i ja. Odfruniemy jak... jak iskrzyki.

– A dokąd? – spytałem, próbując opanować płacz, który już wzbierał w brzuchu i w gardle.

Tata zakasłał. Potem wstał i podszedł do okna. Rozsunął zasłony i otworzył skrzydła okna po obu stronach środkowego słupka. Natychmiast poczułem na twarzy strumień zimnego nocnego powietrza, jakby mieszkanie wstrzymało oddech. Tata wyjrzał, popatrzył w niebo.

– Nie możesz tego zobaczyć, bo jesteśmy w mieście. Ale wiesz co, Richard? Tam w górze fruwać miliony takich jak my. Iskrzyki, które zakrzepły w czasie. Gwiazdy. Świecą i wskazują drogę. Ale nikt nie może ich złapać. Chodź.

Wdrapał się na parapet i przykucnął. Wyciągnął do mnie rękę. Dalej stałem przy drzwiach.

– Chodź! – powtórzył, a jego głos się zmienił, nabrał ostrości.

Od razu usłuchałem.

Złapał mnie za rękę i wciągnął na parapet obok siebie. Kucaliśmy tak po obu stronach środkowego słupka z głowami na zewnątrz, on mocno ścisnął moją rękę. Gdyby tylko któryś trochę się wychylił i spadł, pociągnąłby za sobą tego drugiego. Albo pofrunął. Syreny się zbliżyły i ujrzałem, że w dole, na ulicy, gromadzą się ludzie, a z wejścia do naszego budynku wychodzi ich więcej. Kiedy zadarłem głowę, rzeczywiście wydało mi się, że widzę gwiazdy tańczące na niebie. Ręka taty była taka ciepła. To się wydawało nierzeczywiste, jak sen.

– *Czy to nie piękne? – spytał tata.*

Nie odpowiedziałem.

– *Policzę do trzech i fruniemy. Gotowy? Jeden...*

– *Tato – szepnąłem. – Proszę cię, nie ściskaj mi ręki tak mocno.*

– *Dlaczego? Musimy się trzymać razem.*

– *Nie dam rady frunąć, jak będziesz mnie tak ściskał.*

– *Kto tak mówi? – Zamiast poluzować chwyt, ścisnął moją rękę jeszcze mocniej.*

– *Głosy – oświadczyłem. – Głosy tak mówią. A one chyba wiedzą najlepiej.*

Długo na mnie patrzył.

– *Dwa – powiedział spokojnie, a jego ciało już się przechylało.*

To nie jest sen, pomyślałem. To się dzieje naprawdę. Pofruniemy.

– *Trzy – obwieścił w momencie, gdy jego wielka ciepła dłoń przestała się zaciskać na mojej.*

Przyciągnąłem rękę do siebie, chwyciłem się mocno środkowego słupka. I zobaczyłem, że tata odwraca głowę w moją stronę, a na jego twarzy maluje się zdumienie. Ale zaraz przestałem go widzieć.

Przez kilka sekund obserwowałem, jak jego ciało spokojnie spada wzdłuż fasady. Znikało w ciemności, a potem pojawiało się, przelatując obok tych okien, za którymi paliło się światło. Alarm przeciwpożarowy ucichł, słyszałem jedynie dźwięk syren wozów strażackich: „Już jedziemy, już jedziemy”. Nie słyszałem, jak ciało taty uderzyło o asfalt w dole, dobiegł do mnie tylko krzyk tłumu. A potem dalsze okrzyki, gdy ludzie zobaczyli mnie w oknie na dziewiątym piętrze. Nie wiem, jak długo siedziałem na parapecie i czekałem, ale kiedy wóz strażacki wreszcie przyjechał, kiedy rozłożono płachtę ratowniczą i zaczęto krzyczeć, że mam skakać, paliło się już łóżko za moimi plecami. Teraz wołali wszyscy zebrani na ulicy, brzmiało to jak melodia:

– *Skacz, skacz, skacz!*

Więc skoczyłem.

W tym momencie zapiski się urywały. Przeczytałem początkowe zdania jeszcze raz, szukając czegoś, czego nie znalazłem. Nie znalazłem jego. Tego obcego dla mnie człowieka, który najwyraźniej przez to przeszedł. Albo to zmyślił. Wciąż jednak nie budziło to żadnych wspomnień. Czy to znaczyło, że zostałem

wyleczony? Oczywiście wyleczony do takiego stopnia, do jakiego można wyleczyć amputację.

Tak. Rzeczywiście tak się czułem. Ale jaką mogłem mieć pewność?

Usłyszałem kroki, zapiąłem spinkę do włosów, zamknąłem notatnik i odłożyłem go z powrotem na krzesło.

– Richard! – przywitał mnie z uśmiechem doktor Rossi, ordynator oddziału.

Ujął moją dłoń w obie ręce, jakbym był bliskim przyjacielem. Może i nic dziwnego, zważywszy, że pracował w Ballantyne przez osiem lat z moich piętnastu tu spędzonych. Preferowałem jednak pewien dystans. Rossi natomiast wierzył w zmniejszanie dystansu między lekarzem a pacjentem. Jeśli ludzie są dobrzy, to nie ma nic złego w nawiązaniu bardziej osobistych relacji, powtarzał zwykle. Przypuszczam, że łatwiej się to mówi i praktykuje, kiedy się pracuje w takim miejscu, gdzie pacjentom poświęca się tyle uwagi, ile w Ballantyne.

Za nim przyszli Karen i Dale. Dale był psychologiem i prowadził badania na uniwersytecie. Zajmował się analizą terapii ECT mającej na celu usuwanie wspomnień traumatycznych u pacjentów cierpiących na PTSD i obserwował mnie oraz dwóch innych mężczyzn poddawanych w Ballantyne tej samej terapii. Dale jak zwykle – i w przeciwieństwie do Rossiego – był nienagannie ubrany w czarny garnitur pasujący do jego niemal granatowoczarnej gęstej czupryny.

– Słyszę, że świetnie się z tobą spisujemy, a przez to pojawiło się ryzyko, że cię stracimy. – Rossi rozsiadł się w jednym z trzech krzeseł naprzeciwko mnie. Odchylił się, skrzyżował nogi w starych najkach i odpowiednio wytartych dżinsach. Rossi zaliczał się do tych, którzy chodzą w bluzach uniwersyteckich, a gabinety zdobią relikwiami z czasów młodości, takimi jak oryginalna figurka Luke’a Skywalkera lub oprawione w ramki pierwsze wydanie *Potwora z Bagien*, to z wielkim odsłaniającym zęby nietoperzem na okładce. Prawdopodobnie miał nadzieję, że dzięki temu będzie się prezentował bardziej chłopięco i czarująco. Gdy któregoś dnia Rossi zostawił mnie samego w swoim gabinecie, z czystej złośliwości rozważyłem, czy nie ukraść którejś z tych relikwii.

– To się jeszcze zobaczy – powiedziałem, zerkając na Dale’a, który też usiadł. Trzymał się prosto i tylko potakiwał głową.

– Wygląda to obiecująco – stwierdził psycholog. – Ale nawet jeśli zostaniesz wypisany, chciałbym dalej cię obserwować.

– Rzeczywiście dobrze to wygląda, Richard, nie uprzedzajmy jednak wypadków – oświadczył Rossi. – Przyszedłeś do nas tuż po przeżyciu rodzinnej tragedii i przebywasz tu od tej pory. Nie uczestniczyłeś w życiu poza szpitalem i nie możemy oczekiwać, że to przejście będzie całkiem bezproblemowe.

– Instytucjonalizacja – mruknąłem.

– No właśnie. Zamierzaliśmy ci zaproponować, żebyś zaczął od dwóch dni w tygodniu na zewnątrz, a ten czas będziemy stopniowo wydłużać, jeśli zobaczymy, że wszystko dobrze się układa. Co ty na to, Richardzie?

Byłem zdrowy już tak długo, że miałem kompetencje, jak to się mówi, do wyrażania zgody we wszystkich dotyczących mnie sprawach.

– Na pewno będzie dobrze... – zapewniłem i miałem nadzieję, że nie zauważył, jak zbieram się w sobie, żeby zakończyć to zdanie, mówiąc „Oscarze”.

Rossi chciał, żebyśmy zwracali się do niego po imieniu, ale nie wiem dlaczego nigdy nie potrafiłem się przemóc. Nie miało to chyba związku z chęcią zachowania dystansu, lecz raczej ze sposobem, w jaki patrzył na Karen.

– Świetnie! – Rossi klasnął w ręce. – Spójrzmy teraz na wyniki, na postęp, jaki osiągnąłeś, a potem przedyskutujemy kwestię leków i terapii na przyszłość.

Oczywiście nie było żadnej dyskusji, ale po takiej zapowiedzi pacjenci chętniej współpracowali, mając poczucie, że uczestniczą w podejmowaniu decyzji.

– Będzie nam ciebie brakowało – powiedziała Karen, gdy spacerowaliśmy we dwoje ścieżką w stronę lasu. Po wyjściu Dale’a i Rossiego oświadczyła, że ma dla mnie małą niespodziankę, coś w rodzaju prezentu pożegnalnego.

– Przecież nie będzie mnie tylko dwa dni w tygodniu – zauważyłem.

– No to będę za tobą tęsknić dwa dni w tygodniu. – Uśmiechnęła się.

Rzecz jasna, zorientowałem się, że w ostatnim zdaniu powiedziała „ja”, a nie „my”. Oczywiście mogło to wynikać z przejęzyczenia, a freudowska pomyłka czy nie, to nie miało znaczenia. Była terapeutką, ja pacjentem, a dwie takie osoby – według wytycznych dotyczących etyki Stowarzyszenia Psychiatrów – nigdy nie mogły stać się jednością. Najwyżej w wyobraźni.

– Boisz się? – spytała.

– Życia na zewnątrz? – Wyczułem, że podświadomie naśladowę głos i uczony ton Oscara Rossiego. – Przecież już to testowałem. I szło w miarę dobrze. Okresami. Problem polega na tym...

– Na czym?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam nic konstruktywnego do robienia. Nie istnieję w żadnym kontekście. Jako pacjent człowiek jest przynajmniej jakimś ogniwem w maszynerii.

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziała.

– Naprawdę?

– Wszyscy potrzebujemy robienia rzeczy dających nam poczucie, że się do czegoś przyczyniamy. – Pomachała staremu ogrodnikowi Feihcie, który siedział jak król na japońskiej kosiarce jeżdżącej tam i z powrotem po trawniku, ale on nas nie widział. – I wiem, że możesz się przyczynić czymś innym niż bycie pacjentem.

– Na przykład czym, jeśli wolno spytać?

Ścieżką weszliśmy w las. Słońce sączyło się teraz przez liście.

– Przypominasz sobie, jak przed rozpoczęciem terapii ECT poprosiłam, żebyś spisał swoje traumatyczne wspomnienie ze wszystkimi zapamiętanymi szczegółami?

– Nie. A powinienem?

– Nie, nie, to akurat bez znaczenia. Zrobiłam to, żebyśmy podczas omawiania wspomnienia przed każdym kolejnym zabiegiem ogarniali wszystko, nie pozostawiali żadnych wątków, które później mogłyby doprowadzić pamięć do tej traumy. Ale czytając to, co napisałeś, odkryłam coś jeszcze.

– Co takiego?

– Lubisz pisać.

– Co masz na myśli?

– Napisałeś nie tylko raport o tym, co się faktycznie wydarzyło. Nie wiem, czy to sobie zaplanowałeś, czy po prostu tak ci wyszło, ale nagle stałeś się narratorem, próbowałeś ożywić to, co się stało. Dla czytelnika. Próbowałeś zrobić z tego literaturę.

– Okej – odpowiedziałem z udawanym sceptycyzmem, czując jednak podekscytowanie. Jakbym właśnie na to czekał. – I co, udało mi się?

– Tak – stwierdziła po prostu. – Przynajmniej ze mną ci się udało. Potem pokazałam ten tekst jeszcze paru osobom, które się ze mną zgodziły.

Miałem wrażenie, że moje płuca i serce się rozszerzają, tak jak wtedy, gdy ostro trenuję i czuję, że przestrzeń między żebrami a kręgosłupem robi się za ciasna. Ale teraz wywołała to radość. I duma. Duma z tekstu, którego napisania nie pamiętałem, lecz który właśnie przeczytałem. Paru innym osobom, powtórzyłem w myślach. To mi wystarczało aż nadto.

Weszliśmy na drewniany mostek nad leśnym strumieniem. Wokół nas głośno śpiewały ptaki, tak jak za moim oknem tuż przed wschodem słońca. Wspięliśmy się na wzgórze, gdzie stała altana, którą zwykle mijalem podczas swoich przebieżek.

– Chodź – powiedziała Karen, ręką zawadzając o moją dłoń, kiedy ujmowała mnie pod łokieć.

Altana była sześciokątna, przeszklona, niemal jak szklarnia, zbudowana wokół pnia starego dębu, który dawał cień. Karen otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Zobaczyłem tam stół i krzesło, których nie było wcześniej. Na stole stały maszyna do pisania i kubek z ołówkami, obok leżał plik kartek.

– Nie wiem, czy będziesz chciał korzystać z komputera, czy z maszyny do pisania. Albo może wolisz pisać ręcznie. A może w ogóle nie będziesz chciał pisać?

Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się szeroko, ale nerwowo mrugała, a na szyi wystąpiły jej gorączkowe plamy.

– Ależ tak – odparłem i rozejrzałem się po otaczających nas wzgórzach. – Chcę pisać. I chętnie wypróbuję maszynę do pisania.

– Świetnie! – Usłyszałem w jej głosie ulgę. – Wydaje mi się, że to może być inspirujące miejsce. Takie, w którym można przynajmniej zacząć.

Kiwnąłem głową.

– Miejsce, w którym można zacząć.

– No cóż. – Karen złożyła ręce i stanęła na palcach, jak miała w zwyczaju, kiedy była zadowolona i ucieszona. – Wobec tego pozostawiam je tobie. Możesz tu przebywać, ile tylko zechcesz.

– Dziękuję – powiedziałem. – To twój pomysł, prawda?

– Owszem, rzeczywiście można to tak ująć.

– Jak mogę ci się odwdzięczyć?

– Hm... Kiedy zostaniesz już ostatecznie wypisany i przestaniesz być moim pacjentem, to co powiesz na bilet do kina?

Próbowała to rzucić swobodnie i zwyczajnie, bez flirtu, ale widać było, że musiała ćwiczyć, by wypowiedzieć to zdanie od niechcienia.

– Zgoda – odparłem. – Jakieś szczególne życzenia co do filmu?

Wzruszyła ramionami.

– Może być jakaś romantyczna bzdura.

– No to jesteśmy umówieni.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Przez szklaną ścianę obserwowałem, jak znika w lesie. Kilkakrotnie okrążyłem stół. Odsunąłem krzesło. Usiadłem na próbę. Podłoga była niezbyt równa, więc krzesło się kiwało. Włożyłem kartkę do maszyny do pisania. Dotknąłem kilku klawiszy. Naciskało się je trudniej, niż sądziłem. To pewnie kwestia wprawy. Wsunąłem się głębiej w krzesło i wyprostowałem. Ciągle się kiwało. Dwoma palcami z wysiłkiem napisałem:

NOCNY DOM

– *Z-z-z-zwariowałaś – powiedział Tom, a ja zrozumiałem, że się boi, bo zająknął się o jeden raz więcej niż zwykle.*

**Autor bestsellerowych thrillerów igra z gatunkiem.
Powieść, która zaskakuje do ostatnich stron...**

Po tragicznej śmierci rodziców czternastoletni Richard Elaved trafia do zapyziałego miasteczka Ballantyne, gdzie zamieszkuje z ciotką i wujem. W szkole musi się mierzyć z opinią wyrzutka, a gdy znika jego kolega z klasy Tom, Richard zostaje głównym podejrzanym.

Chłopak jest przekonany, że Tom zniknął w budce telefonicznej na skraju lasu, jednak nikt mu nie wierzy. Nikt oprócz Karen – intrygującej outsiderki, która zachęca go do badania poszlak ignorowanych przez policję. Numer, pod który Tom dzwonił z budki, prowadzi Richarda do opuszczonego domu. W jego oknie widzi przerażającą twarz i od tego momentu zaczyna słyszeć głosy...

Kiedy kolejny kolega z klasy przepada bez śladu, Richard musi zachować trzeźwość umysłu i udowodnić swoją niewinność. Czy wygra z mrocznymi siłami, które opętały Ballantyne?

PATRONAT MEDIALNY

 **lubimy czytać**



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6415-5

EAN 9788327164155

U.WD.THR003.1.01.01